HISTORYA
O PRA-PRA-PRA.... WNUKU
I O PRA-PRA-PRA.... DZIADKU.

HISTORYA
O PRA-PRA-PRA.... WNUKU
I O PRA-PRA-PRA.... DZIADKU.

POWIEŚĆ

we Dwóch Częściach

PRZEZ

Teod. Tom. Jeża.

CZĘŚĆ DRUGA.

PRA-PRA-PRA.... DZIADEK.

Tom II.

WILNO.
Nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego.
1864.

Za pozwoleniem Cenzury, 11 Września 1862 roku. Wilno.

VII.

Obóz Polski leżał nad Żwańcem. Był to oddział wojsk, znajdujący się pod bezpośredniém dowództwem Starosty Kamienieckiego. Przeznaczeniem jego było doglądanie nieprzyjaciela z boku, podczas kiedy Zamojski z głównemi siłami zagrażał mu z przodu. Przez to Michał, wciąż jeszcze oblegający Chocim, był— że tak się wyrażę— zaszachowanym i nieruchomie musiał oczekiwać na skutek manewrów Hetmana Koronnego, który, przeprawiwszy się przez Dniestr pod Kołobródką, ciągnął przez Pokucie na Bukowinę.

Pod Żwańcem nie wiele zgromadziło się wojska: ilość ogólna nie przechodziła liczby pięciu tysięcy, w znaczniejszéj, bo w 3/4 części, przypadającéj na Zaporożców. Reszta składała się z chorągwi pańskich, z najemnéj piechoty i artyleryi. Ciury zwiększali liczbę nie o wiele,

dla tego, że ani Zaporożce, ani piechota ciurów nie posiadali, tylko szlachta, której liczba nawet tysiąca ludzi nie dochodziła. Szlachcice stanowili chorągwie wyborcze, usarskie i pancerne.

W ślicznéj pozycyi, jakby ci co obóz wytykali estetycznem powodowali się uczuciem, rozłożyło się wojsko polskie. Malowniczo wyglądały pyszne wodzów i skromniejsze rycerstwa namioty, rozrzucone po zielonych wzgórzach, których stopy Dniestr podmywał. Wodzów namioty były oddzielone, na osobnem wzgórzu, wyższem nad inne, z którego obejmowało się okiem szeroki horyzont, wkluczający w siebie lewo i prawo-dniestrzańskie okolice i sięgało się aż do niektórych części wołoskiego obozu, leżącego pod Chocimem. Na niższem wzgórzu, we dwa szeregi wyciągniętemi były namioty usarskiego i pancernego towarzystwa, u stóp zaś tego wzgórza, pośrodku obozowała piechota, a na skrzydłach kozacy. Artylerya stała za kozakami, w połowie na prawem, w połowie na lewem skrzydle. Do koła otaczały obóz wozy, związane jedne z drugiemi i tém związaniem formujące pewien rodzaj kwadratowéj zagrody, któréj bez boju nie można było przekroczyć. Zagroda ta miała cztery, po jednéj w każdéj kwadratu ścianie, bramy. Jedna z nich wyłącznie służyła dla wodzów i była przez towarzyszów strzeżoną, a straż trzech innych powierzoną sobie mieli kozacy i piechury. Oprócz bram, stały warty wzdłuż wozów, tak wewnątrz jak na zewnątrz obozu.

W ogólności powiedzieć należy, że wszystkie ostrożno-

ści wojskowe jak najściślej zachowane i przestrzegane były, a to z powodu blizkości nieprzyjaciela, który, pomimo że był Dniestrem oddzielony, mógł jednakże pokusić się o zniesienie słabego w porównaniu z jego siłami oddziału polskiego. Z téj też przyczyny, wybrzeże dniestrowe było pilnie strzeżone przez nieustannie wysyłane podjazdy i przez rozstawione w pewnych odstępach posterunki, ciągnące się, z jednéj strony, aż do ujścia Uszycy, z drugiéj — do ujścia Seretu. Przytém po górach stali wartownicy, a przy nich słupy nadziegciowaną słomą okręcone, które służyły jako telegraf, mający dać znać o przeprawie nieprzyjaciela.

A i samo położenie obozu zastosowane było do tego przypuszczenia, że nieprzyjaciel będzie go atakował, wojsko bowiem mogło się bronić na tém samém miejscu gdzie stało, mając wszystkie swoje boki i wszystkie punkta jednakowo od niespodzianéj zabezpieczone napaści, pomimo że niespodziana napaść żadną miarą miejsca mieć nie mogła. Pan Potocki jednakże wolał zbytnią przezorność nad zaniechanie ostrożności, trzymał się bowiem tego prawidła, którego wszyscy bojownicy trzymać się powinni, że zbytnia przezorność nic nie zaszkodzi, a zaniechanie ostrożności przyzwyczaja do niedbalstwa, mogącego na smutne narazić wypadki.

Więc w obozie pod Żwańcem wszystko szło jak w dobrze naregulowanym zegarku. Warty się zmieniały; podjazdy wysyłano; konie stały jedne pokulbaczone, drugie poubierane w chomąty i w pogotowiu do zaprzęgu; każdy

żołnierz miał swoją broń na podorędziu a uzbrojenie na sobie. Wojska często występowały na przeglądy i co dnia manewrowały w obozie i za obozem. Przed każdém karmieniem i czyszczeniem koni i przed wszystkiemi spoczynkami ludzi, sam Starosta osobiście, z podjazdowych raportów i relacyj szpiegów, przekonywał się o zamiarach nieprzyjaciela. Przezorność Starosty tak była wielką, że łatwiéj, zdaje się, byłoby z ziemi na księżyc się dostać, jak zejść niespodzianie obóz jego dowództwu powierzony.

Naczelne dowództwo było przy Staroście Kamienieckim. Pod nim dowodzili Aleksander i Jan Karol Chodkiewicze. Każdy z nich miał władzę nad pewną częścią wojska. Starosta dowodził środkiem, Aleksander Chodkiewicz prawém skrzydłem a Jan Karol lewém.

Przykład wodza działał i na podwładnych: przezorność Starosty powtarzała się w Chodkiewiczach, potęgując się w nich potęgą zapału, którym zwykle młodsi starszych przewyższają. Wodzowie sami obchodzili i objeżdżali posterunki i czaty, nieraz wyprawiali się z podjazdami i zawsze prawie osobiście przewodniczyli manewrom.

Namioty ich stały jeden opodal nieco od drugiego, a za każdym z nich gruppowały się licznéj służby namioty.

Liczna służba była chorobą wieku; wystawność była takąż chorobą. Wódz traciłby na wziętości i poważaniu, gdyby nie otaczał go świetny orszak i gdyby namiot jego nie świecił przepychem.

Z tego powodu namiot Starosty, pod płócienną przykrywą zawierał w sobie wszystkie życia wygody. A pło-

cienna ta przykrywa, biała jak mleko i ustrojona w złocisto-barwne frenzle i kokardy, obwodem swoim obejmowała zwykły miernéj wielkości domu obwód, który wewnątrz podzielonym był na kilka większych i mniejszych komnat. Sprzęty w komnatach były niby obozowe, tak jednakże kosztowne, że wartość ich mogłaby śmiało tworzyć zamożność całego życia dla licznéj a biednéj rodziny. Na wszystkiém świeciły złote i drogie kamienie, meble drogiemi okryte były materyami. Cała ich obozowość na tém zależała, że można je było z łatwością złożyć, skórzanemi futerałami okryć i na wozy spakować. Więc obozowe były tylko kształty naczyń i sprzętów, dozwalające przenosić je z miejsca na miejsce.

Naczyń owych jednakże i sprzętów było tyle, że pod nie dwadzieścia szło wozów. Dwadzieścia wozów — na użytek jednéj osoby!... to wydaje się dziwném dziś, kiedy wszystkie wojenne przybory naczelnego nad kilkudziesięcio-tysięcznym korpusem wodza w jednym mieszczą się furgonie. W owych wszelako czasach nie tylko nie było to dziwném, ale nawet potrzebném: wozy bowiem stanowiły ruchomą fortyfikacyę, którą otaczano obozy, szykowano do boju i w któréj nie rzadko długie odbywano marsze. Naprzykład: Żołkiewski z pod Cecory przez dni kilka maszerował śród wozów, odbijając się po kilka razy na dzień od tłumnych tatarsko-tureckich napadów;— Kozacy uderzyli na Polaków pod Beresteczkiem falangą związanych ze sobą wozów i zwycięztwo nad niemi byłoby niepodobném, gdyby nie nadzwyczajne męztwo Jeremiasza

Wiszniowieckiego, który potrafił rozerwać falangę. Więc im kto z większą ilością wozów do obozu wchodził, tem większą obozowi przynosił pomoc. Z tego powodu, wodzowie starali się mieć ich jak najwięcej. A ponieważ z przyczyn wypływają skutki, przeto z powodu wozów, na których liczne można było wozić sprzęty, dogadzali przepychowi, który — jak wyżej powiedziałem — był chorobą wieku.

Z mniejszemi, z powodu odległości, orszakami sług i szeregami wozów stanęli w obozie Chodkiewicze. Namioty ich jednakże, pod względem przepychu, w niczem nie ustępowały namiotowi Starosty.

W orszaku służby tego ostatniego byli i dworzanie, nie zmieszani jednakże w jedną całość z ciurami i pachołkami, lecz stanowiący pewien rodzaj gwardyi przybocznéj, towarzyszącéj wodzowi nieodstępnie, szczególnie na polu bitwy. Ich obowiązkiem była ochrona osoby wodza. On na ich czele, jeżeli tego potrzeba przeważenia na swoją stronę szali zwycięztwa wymagała, rzucał się w bój. Oni przeto najlepiej byli uzbrojeni i stanowili pewien rodzaj żywego taranu, którym złamać było można najgęstszy nieprzyjacielski szyk.

Gwardya owa przyboczna Starosty Kamienieckiego odznaczała się doborem, nie tyle pod względem zewnętrzności, ile pod względem wewnętrznéj jéj wartości. Wyrażenia jednakże «pod względem zewnętrzności», niech nikt w złym sensie nie bierze. Ktoś bowiem gotów pomyśleć, że składała się albo z niepokaźnych, albo z licho uzbro-

jonych ludzi. Bynajmniéj. Chłopy wszystko byli jak dęby i uzbrojenie na nich odznaczało się i wytwornością i doskonałością, ale także i rozmaitością. Każdy podług własnéj fantazyi i gustu się uzbroił. Z tego powodu, jeden był w gładkim, lśniącym stalowym pancerzu, drugi w łuszczkowym; jeden na hełmie miał pióropusz, drugi ogon; jeden całe uzbrojenie miał takim, drugi owakim kształtem; jeden siedział na karym, drugi na gniadym, inny na białym, kasztanowatym, bułanym lub innéj jakiéj maści koniu, a w rycerskich barwach, obok jednakowości barw herbu Pilawa, noszonych na proporcach, pstrzyły się barwy rozmaitych herbów, dla oznaczenia, że każdy z dworzan, będąc dworzaninem Potockiego, jest zarazem samym sobą, szlachcicem Potockiemu równym.

Orszak przyboczny Potockiego liczył dwadzieścia z górą koni. W nim ze znajomych naszych byli Wolski i Słupski. Nie było zaś ani Lisowskiego, ani Kuźmy, ani signora Gerolamo.

Dla odszukania dwóch piérwszych, trzeba było udać się do namiotów na niższém wzgórzu, we dwa szeregi ustawionych i tam ich szukać, bliżéj prawego skrzydła, gdzie obozowała starościńska rota. Oni bowiem służyli w tak w naszych czasach zwanym technicznie froncie. Wolski zaś i Słupski— w sztabie.

Wiedzieć potrzeba, że jak w naszych tak i w owych czasach, te dwie służby — frontowa i sztabowa — były spółzawodniczącemi, i jako takie, krzywém na siebie spoglądały okiem. Powodem tego były czysto materyalne po-

budki. W sztabie lepiej się żyło: przybocznym wodza lepiej się zawsze działo, jak tym, którzy sami o sobie myśleć i sami o siebie dbać musieli, a do myślenia i dbania często czasu, częściej środków nie mieli. Kto był żołnierzem— rozumie się— nie od parady ale od wojny, ten wie co to znaczy; kto zaś nim nie był, temu powiem: że najdokuczliwszą dla żołnierza jest potrzeba troszczenia się o zaspokojenie brzucha: potrzeba ta bowiem przypada w takich chwilach, w których ciało domaga się spoczynku. Zrobiłeś np. forsowny marsz,— bolą cię nogi, ręce, krzyże,— chciałbyś poleżeć, a tu trzeba kłopotać się o to, aby było co zjeść. Z tego powodu los sztabowca, któremu wszystko gotowe podają, tak że całym jego kłopotem jest tylko otworzyć gębę, napełnia zazdrością serca frontowych żołnierzy. Są jednakże takie pomiędzy nimi harde dusze, że gdyby ich nie wiem jak prosili, za nic nie weszliby do sztabu.

Taką hardą duszą był Lisowski. Taką byłby może Kuźma, ale go nie proszono. Na dworze Starosty Kamienieckiego był on nie dworzaninem, ale gościem, i gdy przyszło do wystąpienia w pole, stanął, nie w przybocznym Starosty orszaku, lecz w rocie, we froncie.

Wspomniałem umyślnie, że w orszaku Starosty nie było signora Gerolamo, dla tego, aby powiedzieć, że pozostał on w Kamieńcu. On bowiem nie liczył się do rodzaju dworzan, lecz, w dworskiem pojęciu, był narzędziem wyłącznie do białych-głów należącem, pozytywką, która grała i śpiewała. Z tej przyczyny nikt mu nie proponował że-

by w pole wystąpił; on zaś o ten zaszczyt u nikogo się nie upominał. Ze swoją harfą i miłością pozostał w Kamieńcu.

Kontent on był, gdy chrapliwy wrzask trąb i kotłów zwiastował, że Starosta z orszakiem opuszcza zamek. Wyjrzał przez okno i przypatrywał się, jak rycerstwo żegnało się z paniami, jak wsiadało na koń, jak wiały proporce, jak błyszczały zbroje i bronie; przysłuchiwał się dysharmonijnemu wrzaskowi wojennéj muzyki i tententowi koni i szczękaniu żelaza. I był kontent. Zmarszczył się tylko, gdy ujrzał jak Słupski pochylił się ukłonem przed Barbarą, a ona go uśmiechem pożegnała. Ukłon ten i uśmiech były konwenansową zamianą grzeczności, zimną jak wszelka konwenansowa grzeczność, lecz ukłóły Włocha, bo *on był Włochem*— podejrzliwym, niewierzącym i namiętnością zaślepionym. Przeminęło to jednakże, a w myśli stanęło mu:

— Ona zostaje sama:

W téj chwili o słuch jego odbiły się ostatnie wyrazy Starosty, już na koniu siedzącego:

— Do widzenia!... w obozie!...

Na wyrazy te starościna i kilka pań, a pomiędzy innemi piękna Barbara, uśmiechem, głowy skinieniem i machaniem chustką odpowiedziały.

Starosta spiął konia. Koń wspiął się, dał szczupaka, lecz pociągnięty silną i wprawną jeźdźca ręką, chrapnął, parsknął, kark wygiął i przysadzistym stępem przez dziedziniec ku bramie poszedł i zniknął pod jéj sklepieniem.

Za Starostą posunęło rycerstwo. W kilka chwil później słychać już było tylko echo tententu, jakie kute kopyta pod sklepieniem bram budziły. W kilka chwil jeszcze później i echo ucichło i rycerze znikli.

— Z kim to: « do widzenia, w obozie »?...— zapytał sam siebie zadumany Włoch.

Odpowiedź na to zapytanie znalazł tego samego dnia, wieczorem, kiedy o zwykłéj porze przyszedłszy z harfą, zastał w gościnnéj komnacie same kobiety, a z mężczyzn tylko księdza kapelana i staruszka wojskiego, który w nieobecności Starosty miał sobie powierzoną obronę twierdzy, zamku i niewiast.

Staruszek, osiwiały w bojach szlachcic, łagodnego był i wesołego humoru. Właśnie w chwili, w któréj wszedł Włoch, żartował z kobietami, usiłując rozegnać te chmury smutku, jakie ich serca po odejściu rycerstwa owiały. Żartami, prześladował tę tym, owę owym.

— Jéjmość pani starościna...— powiadał naprzykład— może sobie, dla rozerwania się, w nieobecności jegomość pana Starosty, na niewierność małżeńską pozwolić...

Starościna się uśmiechnęła, a któraś z pań odezwała się:

— Dobrze imćpan wojski białogłowami się opiekuje, kiedy je na niewierność namawia...

— Do téj niewierności— podchwycił wojski— będziem mogli przed Starostą się przyznać...

— Jakaż to?...— zapytała starościna.

— Oto...— odrzekł staruszek, nastrajając patetycznie minę— niech jejmość pani we mnie się rozkocha...

Kobiety w śmiech.

— Czegoż się aśćki śmieją?... — niby surowo napominał wojski. —Cóż macie do zarzucenia?... Może moje białe włosy?...

— Ale nie!... nie!... bynajmniej!... — odpowiedziały mu różne głosy.

— Pewny jestem — ciągnął staruszek — iż nie jedna z aściek byłaby niepomału uszczęśliwioną, gdybym do niej w konkury posunął...

Śmiech się wzmógł a śród śmiechu słychać było pojedyncze odezwania:

— Czemuż jegomość nie konkuruje?... czemu jegomość nie sunie!...

— Bo to dla mnie łatwo, a to co łatwe tego ja nie lubię... Dla tego porywam się na najtrudniejsze rzeczy, na serce jejmość pani starościny...— grzmiał staruszek dominującym ogólny śmiech głosem.

— Cóż mi po aśćkach!...— wołał.— Oto naprzykład: gdybym zechciał, to natychmiast od jejmość pani Wolskiej wysadziłbym panów Wolskiego i Słupskiego i zajął ich miejsce...

— Aż dwóch?...— odezwała się któraś z pań zapytaniem.

— A tak, dwóch...— odparł staruszek.— Jednego nie sztuka, dwóch trudniej, to bardzo naturalne. Dwóch silniejszy stawić opór są w stanie niż jeden... Nie prawdaż?..

Kręcił się stary wojski po komnacie i przyczepiał — jak mówią — łatki to téj, to owéj. Ksiądz kapelan dopomagał mu. Wesołość ogarnęła wszystkie panie. Sam tylko harfiarz zpochmurniał, wcisnął się w ciemny kąt, spuścił głowę i sledząc, milczał. Rozgłosy śmiechów raziły go. Od czasu do czasu podnosił głowę i wzrok, niby sztylet w Barbarze topił. Ponurość jego nie uszła uwagi wojskiego.

— Czemu ten Włoch taki smutny?....— zapytał po cichu jedną z pań.— Czy i on żałuje za rycerstwem?...

— Signorze!... rzekł głośno do harfiarza — nie smuć się... Za dni kilka będziesz oglądał naszych rycerzy.... Nie tak wprawdzie prędko powrócą oni do Kamieńca, ale jéjmość pani starościna, z kilkoma paniami pojedzie do nich w odwiedziny, do Żwańca.... Będziesz mógł paniom towarzyszyć...

Włoch się uśmiechnął i głową skinął. Uśmiech jego był gorzki, zwyczajnie jak człowieka rozkochanego a niepewnego wzajemności, a skinienie oznaczało, że mu propozycya wojskiego się podoba. Czego jednakże ani uśmiechem, ani skinieniem nie wyraził, to było to:

— Pojadę, ale w takim tylko razie, jeżeli i Barbara pojedzie...

Pojechanie zaś pani Wolskiéj najmniejszéj nie podpadało wątpliwości. Jechała starościanka, więc i ona jechała.

Co znaczyć miała ta wizyta starościny, ta milowa przejażdżka kobiety, mającéj nieprzełamany wstręt do wszel-

kiego znużenia? — Było to z jéj strony poświęcenie, o którém głośno mówiło się, że pobudką onego było przywiązanie do starosty, a po cichu, brało się na uwagę tę okoliczność, że starościanka była na wydaniu, a w obozie znajdowali się panowie na ożenieniu. Co zaś było ważniejszém: głośna owa, czyli też cicha pobudka?— Pytanie to żonom i matkom, mającym mężów na wojnie i córki na wydaniu, pozostawiamy do rozwiązania.

Odległość z Kamieńca do Żwańca nie przechodzi jednéj mili. Nie była to więc wyprawa daleka: wszakże, gdybyśmy wszystkie przygotowawcze jéj szczegóły opisali, mogłoby się komuś wydać, że starościna o sto przynajmniéj mil się wybiera.

Przygotowaniami zajmowała się panna Zatorska.

— O! jéjmość pani tak się zmęczy!... to taka podróż!... — powtarzała niezmiennie po każdém zdaniu raportu o postępie przygotowań, którego to raportu większą połowę zajmowały szczegóły i szczególiki, tyczące się toalety starościny i starościanki, mniejszą zaś szczegóły tyczące się uprowidowania w jedzeniowe zapasy całego towarzystwa. Więc się nagromadziło: tłómoków, pudeł, pudełek, pudełeczek, pak, paczek, zawiniątek, worów, worków i woreczków, różnych zwitków i torbeczek, że oprócz trzech kolas, czterech bryk i dwóch bryczek, szło jeszcze dziesięć potężnie obładowanych wozów. W naczelnéj kolasie jechała starościna z panną Zatorską, poprzedzane przez oddział nadwornych kozaków Starosty; za niemi starościanka z panią Wolską; następnie dwie

inne panie; dalej panny respektowe i służące, po trzy do starościny i starościanki, a po dwie do innych pań; dalej służba męzka — marszałek, pachołki, kucharze i kuchty; dalej prowianty. Na jednej z bryczek siedziało czterech rosłych, zdrowych, silnych i ubranych w Potockich barwy chłopów, a pomiędzy niemi leżało jakieś narzędzie, z którego widać było cztery grube ze złocistemi gałkami złocone drągi, do pół obwinięte w skórzany futerał. Możnaby było pomyśleć, że są to cztery razem złożone sztandary, których złożone drągi były drzewcami. Lecz jak na sztandary, byłyby za duże, bo futerał zbyt wielkiej był objętości. Była to lektyka z baldachimem, wzięta na przypadek, gdyby starościna zmęczyła się w kolasie i wypocząć zechciała.

Wyjazd starościny z zamku odbył się uroczyście. Cały dwór odprowadzał ją do kolasy a staruszek wojski podtrzymywał pod rękę i pomagał do wsiadania. Niektóre z pań płakały, jakby na długie rozstanie, inne bardzo były smutne. Starościna żegnała je skinieniami głowy i doszedłszy do stopni kolasy, tak się tem pożegnaniem czuła wzruszoną i zmęczoną, że wahała się czy do kolasy, czyli też od razu do lektyki ma siadać. Zdecydowała się jednakże tymczasem na kolasę.

Wojski stał przy progu, i w miarę jak zachodziły kolasy, podawał damom rękę do wsiadania, do każdej po kilka słów przemawiając, jako to:

— Jejmość pannę starościankę proszę najuniżeniej, aby

się wszystkim panom kłaniała, jednym szczerze a drugim jeszcze szczerzéj...

— Którymże szczerzéj?...— zapytała panienka, lekko do kolasy wskakując.

— Tym, którzy się jéjmościance lepiéj podobają...— odparł staruszek z filuternym ukłonem.

— Przez jéjmość panią Wolskę zasełam ukłon panu Słupskiemu.

Na te słowa ktoś zgrzytnął zębami. Był to Włoch, o parę kroków obok stojący, przygotowany do podróży.

Całe jego przygotowanie zawierało się w przywieszeniu u boku sztyletu. Zresztą ubranym był jak zwykle.

Wojski odwrócił się i spojrzał na niego.

— Jegomość pan *signor* jedzie z paniami?... — zapytał go.

— Jadę...— odparł Włoch.

— W tym stroju?...

— W tym...

— To tak się waszmość wybrałeś?... A przecież to wojna.— Wypadało jakoś inaczéj okryć się i uzbroić...

Signor uderzył ręką po sztylecie, na znak, że to uzbrojenie zupełnie mu wystarcza.

Wojski pokiwał głową.

— Tym nożykiem, to chyba żaby kłuć...

— Tym nożykiem można wszystką krew wytoczyć z człowieka...— odparł Włoch od niechcenia i poszedł dosiąść konia, na którym miał damom towarzyszyć.

Signor Gerolamo, pomimo że na weneckich urodził się

lagunach, wcale nieźle siedział na koniu i wcale fantastycznie, w aksamitnym czarnym z białą kryzką stroju i w kapeluszu piórami ocienionym, na dzielnym rumaku wyglądał. Prowadził konia śmiało i dobrze, a trzymał się wciąż kolasy, w której pani Wolska jechała, a to z téj przyczyny, że napisał sonet następującej treści:

— «Gdy cień twój, o piękna! pada na mnie, to mi duszę przenika i ciałem mojém wstrząsa, jakby je na wskroś słoneczny przeszył promień.

«Bo cień twój jest częścią ciebie, od twojéj postaci odłamaną. Rzucasz go niebacznie, o piękna! rzucasz go, jak ten, co perły pomiędzy nieczyste stworzenia sieje.

«Ja chodzę i zbieram te skarby. Staję w twoim cieniu i zdaje mi się, że twoja postać w moje się przychyla objęcia. Łudzę się, ale łudzę słodko. Och! w takiém złudzeniu chciałbym umrzeć. Chciałbym umrzeć twoją ocieniony postacią.»

Sonet ten był napisany po włosku. Przetłómaczyłem go na polski język, przez wzgląd na czytelników po włosku nie umiejących. Przetłómaczyłem go prozą, dla tego że wierszami nie potrafiłbym.

Autor tego sonetu, stosując się snać literalnie do sensu onego, jechał przez całą drogę w cieniu pięknéj Barbary, który to cień można było poetyczną tylko rozpoznać wyobraźnią, bo raz, był ruchomy— padał to na prawo, to na lewo kolasy, to nikł— powtóre, jeżeli i padał to wraz z cieniem ogromnéj landary, i znać go nie było, chyba domyślając się, że w cieniu kolasy jest i cień Bar-

bary. Jakby tam jednakże nie było, dość że signor Gerolamo jechał w cieniu.

Podróż zaczęła się około dziesiątej przed południem a skończyła o dwunastej. Była ona długą na taką niewielką przestrzeń. Przewlekła się jednakże, bo kołasy nadzwyczajnie powoli się wlokły. Starościna, obawiając się znużenia, nie pozwalała pospieszać, a do niéj wszyscy musieli się stosować. Często kazała zatrzymywać się i wypoczywała, pomimo że siedzeniu jéj w kolasie nic pod względem wygody nie można było zarzucić. Pani Zatorska, z poświęceniem wiernym tylko i przywiązanym sługom właściwém, podtrzymywała siły biednéj, zmęczonéj pani i podziwiała jéj wysokie i nieocenione dla męża poświęcenie.

— Która pani na toby się odważyła!... O! mój Boże!.. Pani starościna za wzór całemu światu może posłużyć... A możeby kazać stanąć, żeby jéjmość pani nieco wypoczęła?...

— Niech stanie...— ledwie zrozumiałym wymawiała starościna głosem.

Lecz ucho panny Zatorskiéj dosłyszało.

— Macieju! stań!...— krzyczała natychmiast na woźnicę.

Na koźle rozlegało się:

— Tprrr!...— którego napisać wyraźnie nie można.

I cały szereg pojazdów, bryk, bryczek i wozów zatrzymywał się.

Podróż skończyła się przed namiotem Starosty, przed

którym podróżniczki nasze przyjętemi zostały przez Starostę, panów Chodkiewiczów i przez wszystkich dworzan rycerzy.

Starosta wprowadził żonę do namiotu, oświadczając, że go dla niéj i dla pań, na cały czas pobytu ich w obozie, ustępuje. Dla siebie zaś kazał obok zrobić namiot inny, trochę mniejszy, ale niemniéj wygodny.

Starościna długo odpoczywała. Starościanka i panie przypatrywały się ciekawie obozowi, będącemu dla nich całe nową rzeczą. Dworzanie na wyścigi, jako ciceroni, im służyli. «Co to?... Na co to?...— były pytaniami, na które co chwila to téj, to owéj, trzeba było odpowiadać.

Pomiędzy dworzanami Wolskiego nie było. On nie mógł strawić harbuza; ale Słupski go strawił i względem pięknéj wdowy był, jakby z nią nigdy tak przykrego nie miał zajścia. *Pani Wolskiéj to się podobało.*

— Bo... — myślała sobie — można się gniewać za to, jeżeli jakaś osoba nie może zrobić tego, czego chce druga...

I starała się być grzeczną i uprzejmą dla Słupskiego, jakby dla wynagrodzenia mu téj przykrości, jaką mu harbuzem sprawiła. Z nim najwięcéj mówiła, jego o wszystko się pytała.

Za takie postępowanie nie możemy nie przyznać pani Wolskiéj wielkiego taktu. Miało ono jednakże złą swoją stronę, tę mianowicie, że odżywiło upadłe Słupskiego nadzieje.

— Kto wie...— mówił sobie w duchu— może się ona

do mnie nawróci... Dała mi harbuza, dla tego żeby nie obrazić Wolskiego... Co to za mądra białogłowa!...

A signor patrzał na to takiemi oczami, jakby mu kto największe jego dobro, najdroższy skarb wydzierał.

Namiot starosty zamienił się na salon, w którym zakrólowała nominalnie starościanka, ale rzeczywiście pani Wolska. Rycerstwo otoczyło piękną wdowę. Do dawnych jéj konkurentów przybyło dużo nowych hołdowników, pomiędzy którymi niepoślednie miejsce zajmowali młodzi Chodkiewicze, nie mogący jako młodzi pozostać nieczułymi na niewieście wdzięki, połączone w pani Wolskiéj z pewną rycerskością — nie z tą rycerskością, co się rwie sama i słabą dłonią sięga po oręż, ale z tą iście niewieścią, co pobudza płeć męzką, co grozi jéj wstydem za zniewieściałość i ukazując drobnym paluszkiem, zdaje się mówić:

— Naprzód!

Takiego «naprzód!» niepodobna nie posłuchać. Kobiety na taką komendę posiadają ogromną moc. Najuczeńsze rozprawy, najwymowniejsze przemowy nie mają często takiéj siły przekonywającéj, co jeden ich uśmiech, jedno malutkiego paluszka skinienie.

Nie dziw.

Ta moc ich pochodzi z tego, że w łonie ich zawartém jest macierzyństwo rodzaju ludzkiego. Mężczyzni, powodując się podniecającym ich rozkazem, bronią sami siebie, ochraniają bowiem to co ich ochrania, to co ludzko-

ści w ogóle, a w szczególe narodom i rodom trwałość zaręcza.

W kobietach jest coś wzbudzającego mimowolnie głębokie poszanowanie. Tajemnica tego «coś» w tém spoczywa, że każdemu mężczyźnie sumienie mówi cichym głosem:

— I twoja matka jest kobietą...

Ta więc analogia z matką pochyla głowy nasze przed niewiastami, i jeżeli która umie z tego korzystać, to nie masz takiéj trudności, któréjby mężczyźnie przełamać nie kazała, nie masz takiego niebezpieczeństwa, na któreby go nie rzuciła. Na to potrzeba tylko, aby w jéj piersi biło serce obywatelki.

W piersi pani Wolskiéj biło takie serce. Przytém była piękną. To także wiele znaczy.

Pochylały się więc przed nią głowy rycerstwa, a ona królowała w namiocie, królowała w obozie. W towarzystwie dworzan, obeszła wszystkie onego zakątki, przypatrywała się przeglądom i manewrom. O niéj wszyscy, od wodzów począwszy, a na ciurach skończywszy, na raz zagadali, i gdyby ona zechciała, to, zdaje się, że ta garstka pod Żwańcem przeprawiłaby się przez Dniestr, uderzyła na Wołochów i pobiła ich.

Włoch marszczył się na to. Był on i piérwéj ponurym i milczącym, lecz w obozie stał się bardziéj jeszcze ponurym i bardziéj milczącym. W nim potęgowały się dwie rzeczy: miłość i nienawiść — miłość dla Barbary, nienawiść dla wszystkiego co jéj hołdowało. W miarę wzra-

stania jednéj, wzrastała i druga: W piersi jego wrzała zazdrość; a że ten siew padł na grunt włoski, przeto zakiełkowało na nim uczucie zemsty, które rosło, rozrastało się i serce mu rozsadzało. On zapragnął mścić się za hołdy, któremi Barbarę otaczano. Mścić się— ale na kim?.. Oko jego szukało w tłumie ofiary i złowrogo zatrzymywało się na Słupskim.

Było jeszcze i drugie serce, które także zazdrościło, lecz zazdrościło po szlachecku, to jest: zazdrość tłómaczyło sobie obrazą honoru. Serce to należało do imćpana Wolskiego. I on się marszczył i gniewał i milczał, kręcił wąs i chrząkał, i on zapałał zemstą, ale nie włoską. Jemu potrzeba było wygadać się. Ta potrzeba męczyła go. On tém mocniéj się gniewał, im dłużéj zwlekała się okazya wygadania się, po którém, niby konieczny skutek po naturalnéj przyczynie, musiało nastąpić «skrzesanie ognia w pałasze.» Wolskiemu aż ręka świerzbiała, tak mu się rąbać chciało— rąbać z kimkolwiek, byle gniew spędzić. A że ten ktokolwiek przedstawiał się mu pod postacią naszego bohatera, głównego w przekonaniu Wolskiego powodu harbuza, na niego przeto ostrzył broń i zęby.

«Kto chce psa uderzyć, łatwo kij znajdzie», powiada przysłowie. Wolski znalazł okazyę wygadania się.

Działo się to w szynku.

Za wojskami, jak dziś tak i dawniéj, wóczyli się przemysłowce, przemyślający nad tém, jakby od żołnierzy wyciągnąć żołd i zześrodkować go we własnéj kieszeni.

Przemysł to łatwy, bo żołnierz pieniędzy nie ceni. Potrzeba więc tylko podsunąć mu coś takiego, coby on najchętniej mieniał na pieniądze.

Tém «coś» jest trunek. Jak pająki na muchy, zasiadają handlarze trunków na żołnierzy i zaplątują ich w płynne swoje sieci. Nazywają ich dziś markietanami, kantynierami, wujaszkami. Jak się dawniéj nazywali? — nie wiem. Z téj niewiadomości mojéj tém się wykręcę, że głównego markietana żwanieckiego obozu nazwę wujaszkiem. Nazwa to prawdo-podobna, nie jest bowiem nazwą w techniczném znaczeniu, a tylko przezwiskiem (sobriquet), takiém, jakie się dają niewiedzieć dla czego, jakie się i dawniéj dawały.

Wujaszek ów był żydem. Rozbił namiot nie opodal od szeregów pancernych i husarzy, otworzył go szeroko i wystawił w nim na widok publiczny stoły, ławy, dzbany, kufle a nieco w głębi, jakby wstydzące się beczki. W beczkach tych zawierały się: wino, miód i gorzałka. Było kilka podobnych namiotów, lecz namiot wujaszka miał przewagę nad innemi, z tego względu, że służył jako punkt zbioru dla szlachty. Towarzysze, nie mając co robić, schodzili się, obsiadali stoły i bawili się gawędką i kuflem. Niekiedy po stole stukały koście. Przepędzano czas jak można najlepiéj.

Rzadko u wujaszka pokazywali się Lisowski i Kuźma, rzadzéj jeszcze dworzanie, zdarzało się jednakże, że wszyscy nasi znajomi obecnymi byli pod namiotem markietana.

To zdarzenie miało miejsce w wilią wyjazdu staro-ściny z obozu. Rano, kiedy jeszcze panie spały, po manewrach, które zwykle do dnia się odbywały, liczne u wujaszka zebrało się towarzystwo. Najpierwszy przyszedł Wolski i wewnętrzném jakiemeś pożerany pragnieniem, jeszcze nie zasiadł a już krzyknął:

— Gorzałki!...

Wypiwszy potężny haust duszkiem, kazał dać miodu, potém wina, potém znów gorzałki—siedział, milczał, marszczył się, chrząkał i pił i gdy towarzysze schodzić się poczęli, poprobował już z każdego gatunku napoju.

Naprzeciwko Wolskiego usadowił się Słupski, a nie opodal od Słupskiego nasz bohater. Lisowski siedział przy innym stole.

Wiedzieć należy, że Kuźma zupełnie z pod opieki Lisowskiego się wyemancypował. Ten ostatni, wprowadziwszy go w świat i pierwszych jego kroków dopilnowawszy, odstąpił go i samego zostawił. Nie była to żadna dla Kuźmy krzywda, on bowiem, w przeciągu kilkomiesięcznego ze szlachtą obcowania, zeszlachciał dostatecznie i mógł obejść się bez przewodnika.

Lisowski obcym był temu wszystkiemu co się działo za stołem, przy którym siedzieli: Wolski, Słupski i Kuźma.

Wolski długo milczał, aż wszczęła się rozmowa o pięknéj wdowéj.

— Że takiéj białogłowy nie znajdzie na całym świecie, to nie znajdzie...—mówił jakiś usarz.

Na to odpowiedział mu pancerny:

— Taka bestya ładna!..

— To głupstwo, że ładna...—pochwycił inny—ale ona od niejednego mężczyzny rozumniejsza...

Nie rozumniejsza!..—krzyknął raptem Wolski piorunującym głosem, uderzając potężnie kułakiem o stół.

Wszyscy zastolni spojrzeli na niego, z lekkim na ustach, wyjąwszy Słupskiego, uśmiechem, bo wszyscy wiedzieli, że Wolski gniewa się za harbuza.

— Tego to i jegomość pan Słupski waszmości nie potwierdzi...—rzekł jeden z towarzyszy do Wolskiego.

— Potwierdzi!...—odkrzyknął Wolski.—Jakby miał nie potwierdzić!... Jeżeli jejmość przekłada nademnie i nad niego jakiegoś smarkacza, jakiegoś durnia, to jakże miałby nie potwierdzić!..

Słupski spojrzał z ukosa na Kuźmę, który, nie wiedząc że o niego chodzi, przypatrywał się Wolskiemu z zupełnym spokojem w duszy, a na ustach z nieco ironicznym uśmiechem, oznaczającym:

— Czego ty się gniewasz!... bawisz sobą ludzi...

Ten uśmiech tknął Słupskiego, bo chociaż on był pod adresem wyłącznie Wolskiego, ale z powodu podobieństwa położenia, mógł się tak samo i do niego adresować. Z tego powodu, na zapytanie Wolskiego:

— Wszak prawda, że mi to waszmość potwierdzisz?..

Odpowiedział:

— Potwierdzę...

— A co!...—krzyknął Wolski.—To to rozumna kobieta tak postępuje!..

— Może ten waszmościn rywal potrafił się lepiéj jejmość pani Wolskiéj, jak waszmość i pan Słupski, podobać...—odezwał się ktoś za stołem.

— Jakto potrafił!..—odparł Wolski z oburzeniem—jak mógł potrafić się podobać jakiś smarkacz, niedorostek, dureń, prostak, jakiś niewiedzieć kto i niewiedzieć zkąd!..

Słupski znów spojrzał na Kuźmę. Ten jeszcze ironiczniéj Wolskiemu się przypatrywał i od niechcenia palcami po stole bębnił, uderzając coraz silniéj im Wolski wyżéj głos podnosił.

— Toż to nie głupia baba!?..—wrzasnął Wolski, z akcentem zapytania.

To wrzaśnięcie sprawiło momentalną ciszę, a w ciszy rozległa się odpowiedź:

— A nie...—spokojnie wymówiona przez Kuźmę, nie głośno, jakby tylko dla siebie, z powodu jednakże ciszy w słuch wszystkim obecnym a szczególnie Wolskiemu i Słupskiemu.

Wolski oniemiał i zadrżał.

Słupski zbladł i usta mu się trząść poczęły.

Ktoś z siedzących za stołem zapytał:

— Cóż to za jeden ten niegodziwiec, którego jejmość pani Wolska nad waszmościów przełożyła?...

— Kto!..—krzyknął Wolski.—Kto?.. A ot!... A oto on!.. O!.. Patrzcie na niego!..

I wyciągniętą ręką, palcem, pokazywał na Kuźmę,— pochylał się przez stół, spychał siedzącego na ławie i palec prawie na piersiach naszego bohatera opierał.

Kuźma wstał i wyprostował się, był blady, brwi mu się nasunęły na oczy, czoło zapochmurniało a z ust padły wyrazy:

— Głupi!.. pijaku!..

— Na rękę!..—wrzeszczał Wolski, dobywając korda— na rękę!.. Łeb ci, błaźnie, jak makówkę zetnę!..

Towarzysze usiłowali uspokoić Wolskiego, lecz usiłowania ich były nadaremne. Chciał się rąbać, koniecznie i to zaraz, i ledwo wymożono na nim, że na kilka godzin odłożył. Towarzysze nie chcieli na to pozwolić, aby się w pijanym stanie z zupełnie trzezwym człowiekiem potykał. Lecz opór ich byłby bezskutecznym, gdyby nie Słupski, który również obrażony za harbuza, równie czuł się obowiązanym poszukiwać satysfakcyi na Kuźmie.

— Ja będę się z nim bił...—mówił do Wolskiego.

— Nie!.. ja!.. — ochrzypłym głosem krzyczał ten ostatni.

— Trzebaż żebyś się waszmość przespał, boś pijany...—perswadowali mu koledzy—a adwersarz waszmości trzeźwy...

— To ja mam spać, a Słupski będzie się bił!.. Nie!.. na to nie pozwolę!... Ja pierwéj!.. Ja mu łeb utnę!..

I upierał się póty, póki Słupski uroczystém słowem honoru nie zaręczył, że Wolskiemu ustępuje pierwszeństwa.

Przeciwnicy się rozeszli, oznaczywszy czas spotkania na wieczór, podczas gdy prowadzą konie do wody, a miejsce—za obozem, gdyż w obozie, pod bokiem wodza, pojedynki były zabronione. Wolski udał się do swego namiotu i położył się spać; Słupski poszedł do pań a Kuźma do Lisowskiego.

Lisowski widział całą tę scenę i tylko się na nią uśmiechał. Pod koniec jej wyszedł i do namiotu swego się udał.

— Masz waszmość rozprawę z dworzanami...— rzekł do wchodzącego Kuźmy. — Czemu im było w drogę zachodzić?.. i

— Albo ja zachodził!..—odparł Kuźma. — Przyczepili się do mnie nie wiedzieć za co...

— Wiem...—przerwał Lisowski. — Takie wypadki napadają u nas na ludzi niewiedzieć jak... Ani się spodziewasz, jak cię ktoś zaczepi i na rękę wyzwie... Trzeba jednakże, żebyś waszmość dobrze się trzymał, bo masz sprawę z dwoma: trzeba żebyś i jednemu dogodził i dla drugiego żeby coś zostało... Ja będę waszmości assystował... A tylko, nie zapalaj się... Rąb się uważnie i dobrze się osłaniaj, a nie staraj się zabić adwersarza, tylko go skalecz... Bo to ludzie odważni: pęcherze, to prawda, ale przecie szkodaby ich było... Obrazili waszmości, to daj im naukę... i tylko...

Tym językiem można już było do Kuźmy przemawiać, bo on, chociaż nie był skończonym szermierzem, wyćwiczył się wszakże o tyle, że mógł szermierzom stawić czo-

ło. Zresztą, szemierka szlachecka była łatwą — zależała bowiem w większéj części na tém, aby splunąć w garść i gęsto, często a silnie machać. Nie zagrażało przeto bohaterowi naszemu zbyt wielkie niebezpieczeństwo. Mogło mu się po łbie lub po łapie dostać—oto wszystko; i wszyscy z góry przewidywali, że Wolski oberwie od Jeża a Jeż od Słupskiego, bo Słupski słynął. Koniec zaś wszystkim był wiadomy. Wszystkim z góry brzmiało w uszach głośne «kochajmy się!» rozlegające się pod namiotem wujaszka.

Panie o tém zajściu nie wiedziały.

Pani Wolska, przechadzając się po obozie, spotykała kilka razy Kuźmę, witała się z nim, ale zbliżyć się i pomówić nie mogła. Do téj niemożności przyczyniały się w części naturalne, w części sztucznie stworzone okoliczności. Do pierwszych liczyły się te, że Kuźma, zajęty będąc rzemiosłem swojém, nie bywał, chyba tylko po służbie, w namiocie Starosty; do drugich to, że Słupski starannie zapobiegał spotkaniu, towarzysząc wdowie wszędzie i zagadując ją, ilekroć mogłaby z bohaterem naszym przyjść do słowa. Zaś pani Wolska, czując jakiś sympatyczny do Kuźmy pociąg, szukała go, a nie mogąc znaleźć, troskliwie o niego się wypytywała. Wypytywała się wszystkich: i Starosty i Chodkiewiczów i rotmistrzów i towarzyszy i dworzan. Wszyscy o nim jak najlepiéj mówili, wyjąwszy tych ostatnich, którzy nic złego nie mając do powiedzenia, z przekąsem się odzywali.

O Kuźmie nic złego nie było do powiedzenia. Prze-

łożeni widzieli w nim roztropnego i pilnego żołnierza, towarzysze dobrego kolegę, tylko nie do kufla ani do kości. Nie brali mu wszelako tego za złe: trzeba bowiem głęboko i na wskróś zdemoralizowanéj natury, aby się gniewała na tego co złego unika. Dobrych nawet zli szanują. Kuźma zaś był dobrym. O tém wszyscy świadczyli a ona tém się cieszyła, jakby bohater nasz był blizkim jéj pokrewnym.

Był on może pokrewnym, lecz nie wedle krwi a wedle ducha. Tego rodzaju kuzynstwo silniejszym częstokroć łączy ludzi węzłem, niż zwykłe po ojcu albo po matce.

W przechadzkach pani Wolskiéj po obozie, towarzyszył jéj nieodstępnie signor Gerolamo. Jak cień chodził za nią, a gdyby się go spytać, co widział w obozie, odpowiedziałby:

— Piękną Barbarę i kawalera Słupskiego...

Po za niemi nic nie widział. Oni zasłonili przed nim cały horyzont. Oni stanęli przed nim w postaci takiéj dwójcy, którą on koniecznie rozerwać musiał.

Włoch nie szukał, na wzór Wolskiego, kłótni z rywalem. On go śledził. Kiedy wieczorem rozchodziło się towarzystwo z pod namiotu Starosty, szedł za Słupskim i odprowadzał go wzrokiem do namiotu, a gdy ten znikał pod płótnem, podchodził i kładł się na brzegu i słuchał. I nieraz tak całemi godzinami leżał, niewidzialny, osłonięty nocy cieniem. Gdy szlachcic, zasnąwszy mocno, zachrapał, Włoch zrywał się, słuchał i uśmiechał się—i

wyglądał wówczas jak tygrys, ciepłej krwi zapach wietrzący!

W dniu kłótni Wolskiego z Kuźmą, signor Gerolamo stał się nadspodzianie wesół. Nie wesół w absolutném wyrazu tego znaczeniu, lecz w porównaniu z ponurością poprzednią. Mówił bowiem i uśmiechał się, czego przed tém nie czynił. A to co mówił, nie brzmiało wesoło— dość że brzmiało, niekiedy nawet z jakimś dziwnym akcentem źle tłumionego śmiechu—a uśmiech jego był gorzki. Nikt jednakże, wyjąwszy pani Wolskiéj, na niego nie uważał,—nikt przeto nie dostrzegł w nim zmiany. Wdowa zaś przypisała ją temu, co to nazywają:

— Wyperswadował sobie...

Tymczasem zbliżała się pora pojenia koni, na wieczór, a z nią razem zbliżał się moment, w którym rycerze nasi *mieli się spotkać.*

Była to także pora najliczniejszego w Starosty namiocie zgromadzenia. Pojedynek wszakże tak stał się głośnym, że prawie nikt do pań nie przyszedł, a wszyscy udali się za obóz, w jar, gdzie na dnie wyschłego potoku, posiadającém wszystkie warunki długości, szerokości i równości, miała się odbyć rozprawa.

Przeciwnicy stawili się na *minutę.* Assystenci ich ustawili i ci na komendę—raz, dwa, trzy,—za usłyszeniem «trzy», natarli na siebie.

Wypadek pojedynku był takim, jakiego można było oczekiwać, jaki z pierwszego złożenia się przeciwników dał się przewidywać. Wolski, chrząkając i sapiąc, rzucił

się ślepo. Kuźma przyjął przeciwnika z zimną krwią i nie korzystał nawet z tego, że ten, zamachnąwszy się z całej siły szablą od lewego ucha, całkowicie się odsłonił. Nasz bohater ustąpił mu zrazu, potém natarł. Żelazo zazgrzytało. Po kilku złożeniach się, raptem asystenci skoczyli i rozdzielili walczących. Wolskiemu ciurkiem potoczyła się krew z nad ucha, Kuźma dostał po łapie.

— Zgoda!...—zawołali rozdzielający.—Satysfakcya jest dostateczną....

— Zgoda!...—kryknęli widzowie, a echo naddniestrzańskie powtórzyło:

— Zgoda!...

Asystenci popchnęli przeciwników jednego ku drugiemu i ci, radzi nie radzi, padli sobie w objęcia.

Radzi byli oni czy nie radzi uścisnąć się ze sobą?—tego nie wiem. To pewna, że się zacisnęli serdecznie i z wrogów, w jedno oka mgnienie, stali się przyjaciołmi.

— A teraz waszmość panowie!...—odezwał się głos Słupskiego—proszę na ustęp... Teraz moja kolej!...

— A!...—powstała wrzawa.—Dosyć!... nie można!...

— Ja swego ustąpić nie mogę!...

— Jegomość pan Jeż raniony!...—krzyczano.—Nie można!...—Nie pozwalamy!...

— Ja ustąpić nie mogę!...—wołał głośno Słupski—Imć pan Wolski bił się za siebie, nie za mnie... Gdybym się ja nie bił, to by znaczyło, że pozwoliłem na zastępstwo... Jemość panie Jeżu, proszę pana!...

Kuźma już stawał. Rana jego była lekką, draśnięciem, w którém krew od razu się zatamowała od chleba ze śliną rozmieszonego. Ujął więc szablę, spróbował czy będzie nią mógł władać i gotował się do drugiego spotkania, gdy asystenci i widzowie to interwencyą swoją na Słupskim wymogli, że ten odłożył pojedynek do jutra.

— Ze mną inaczéj trochę imćpanu Jeżowi pójdzie, jak z jegomość panem Wolskim...

Nie była to czcza przechwałka. Słupski znanym był powszechnie i słynął jako znakomitość w rodzaju szermierzy. Dla tego tak nastawano na odłożenie pojedynku, spodziewano się bowiem, że sprawa ta da się jakoś u wujaszka załatwić.

Próżna wszakże była to nadzieja. Słupski nie poszedł do wujaszka, gdzie cały tłum się pogarnął i gdzie do samej północy powtarzały się okrzyki:

— Kochajmy się!...

Szlachta piła i hałasowała, i o mało kilka nowych nie spadło na bohatera naszego pojedynków, a to z powodu, że pomiędzy wszystkiemi pijanymi on jeden był trzeźwy. Lecz on wyniósł się zawczasu i przez to uniknął wszelkich zwad, jakie wstrzemięźliwość jego nawołać nań mogła.

Wolski prezydował. Z kuflem w ręku, z fioletowo-amarantowym nosem, z zakręconemi szpiczasto wąsami, wykrzykiwał i wygadywał.

— Hej-ha!... niech żyje jegomość pan Jeż!... To mi chwat!... to mi zuch!...

— A odgrażałeś się waszmość, że mu łeb zetniesz... —odezwał się ktoś...

— Byłbym ściął!... Bodajby mnie najjaśniejszy piorun trzasnął, jeżelibym nie ściął!... Już go miałem na ostrzu karabeli!... Już tylko było pociągnąć, jak smykiem po strunach, i szach!... i jegomość pan Jeż byłby bez łba!...

— Hej-ha!... walny chłopiec!...

— Ale, czemuż my tak na sucho pijemy!... czemu nie ma kapelli!... Hej! wujaszku!... kapella!...

— Zkądże ją wziąść!..—rzekł Żyd, stawiając pełne a zabierając próżne dzbany.

— Jakto zkąd!.. zawołać trębaczy i surmaczy, niech nam trąbią i grają!.. Niech, kiedy Wolski hula, będzie głośno na świecie!.... Hej-ha!..

— Starosta nie pozwala...—odrzekł Żyd.

— Co to nie pozwala!.. Pójdę i poproszę Starosty... Starosta staremu swemu dworzaninowi nie odmówi, a jeżeli na trębaczy i surmaczy nie zezwoli, to temu zmarszczonemu signorowi każe aby nam włoskie tra-la-la zaśpiewał..

— A kiedy ja dziś sam widział, jak ten pan signor do Kamieńca pojechał...—powiedział wujaszek.

— Łżesz Żydzie!..—krzyknął Wolski.

— Ny, czy ja łżę, o tém się może wasza wielmożność sam przekonać... *Af meine munes*, tak odjechał. Na własne oczy widziałem, kiedy z próżnemi beczkami do Żwańca jechałem...

— Kiedy?..

— Ot nad wieczorem... na godzinę, może na dwie godziny przed tém, jak wasze wielmożności poszli się karabelami ciukać...

— Dam ja tobie, ciukać się!.. — zawołał ktoś na Żyda.

— Alboż nie...—odpowiedział Żyd.—Ot jego wielmożność pan Jeż, który jest bardzo zły człowiek, bo mało miodu pije, obciesał jego wielmożności panu Wolskiemu głowę... a jego wielmożność pan Wolski, który jest bardzo dobry człowiek, obciesał jego wielmożności panu Jeżowi rękę... I ja dziękuję Bogu że tak się stało, że jegomość pan Wolski nie dostał po ręce...

Żyd tłómaczył się takim akcentem i z tak komiczną miną, że większa część szlachty serdecznie się śmiała. Ostatnia jego uwaga wywołała zapytanie:

— Czemu?...

— Ny!.. czemu?..—odparł Żyd—temu, że gdyby jego wielmożność pan Wolski dostał był po ręku, to nie mógłby trzymać kufla i dla mnie byłaby strata...

Głośny-chóralny śmiech pokrył tę odpowiedź wujaszka. Śród śmiechu dawały się słyszeć różne okrzyki.

— Wiwat! niech żyje wujaszek!... — ktoś krzyknął i kufle podniosły się do góry, a Żyd złożywszy ręce na piersiach, kłaniał się na wszystkie strony i pokornie dziękował—i łzy miał w oczach.

— Bodajto polska szlachta... — mówił. — Panowie!..

Dobrodzieje!.. biednego żydka i poratują i jeszcze zdrowie jego wypiją... Dziękuję wielmożnym dobrodziejom.

Wtém jeden z towarzyszy usarskiéj roty, stojący za Żydem, zrobił mu to, co pospolicie nazywają «dać stołka,» to jest kolanem silnie uderzył. Wujaszek niby miną wysadzony, podskoczył do góry i krzyknął:

— Uf!..—a spadłszy potoczył się naprzód.

Pomiędzy szlachtą śmiech wzmógł się.

Nie dość na tém.

Toczącego się wujaszka podtrzymał jeden z pancernych i odtrąciwszy go od siebie, zawołał:

— To nie mój!..

Wujaszek wpadł w ręce innego towarzysza,—ten zrobił to samo, jeszcze inny także to samo i tak bez końca. Sformowało się na prędce koło, we środku którego, wśród wrzawy i śmiechu, z roztrzepanemi pejsami, bez jarmułki, z roztrzęsioną odzieżą, Żyd latał z rąk do rąk, podawany przy głośnych wykrzykach:

— To nie mój!..

Tak się rycerstwo weseliło pod namiotem wujaszka. Pod namiotem Starosty nie było wesoło. Pan Potocki wyprawiał nazajutrz żonę i córkę i rozstawał się z niemi, kto wie na jak długo—może na zawsze. Przywykł on do tego rodzaju rozstawań się; pomimo jednakże całego przywyknięcia, nie mógł przemódz na sobie, aby, jeżeli nie smutno, to przynajmniéj bardzo markotno mu nie było. Zawszećto co mąż i ojciec, to mąż i ojciec. Dla obowiązków ważniejszych porzuci on rodzinę, lecz mu téj ro-

dziny żal i rozstając się z nią nie może sercu gwałtu nie zadać.

Do tej niewesołości przyczyniało się to, że panie długo były prawie same, opuszczone od całego dworzaństwa i nie mogące odgadnąć przyczyny tego opuszczenia. Starosta domyślał się, ale udawał że o niczém nie wie. Chodkiewicze wiedzieli, ale nic nie mówili i wkrótce opuścili staróściny towarzystwo, bo jeden wybierał się z podjazdem dla sprawdzenia odebranych w ciągu dnia o ruchach nieprzyjacielskich relacyj, a na drugiego wypadała kolej przeglądu posterunków i czat.

Panie więc pozostały same ze Starostą, który obok żony usiadł i w zadumę się pogrążył. Starościna swoim zwyczajem spoczywała. Starościanka i dworne panie nudziły się.

Prześliczny wieczór zstępował powoli z nieba na ziemię. Szmer i woń napełniły powietrze. Wieczorna orkiestra, w któréj prym trzymały żaby a wtór muchy i żuki, ozwała się i grzmiała. Gwiazdy poczęły pełkać. Atmosferę napełniała jakaś lubość, jakaś dziwna nieopisana delikatność.

Panie wyszły przed namiot i zasiadły w półkole na obozowych stołkach i każda była zadumaną. W obozie błyszczały ogniska, dalej połyskiwał Dniestr, za Dniestrem, na horyzoncie, niby łuna gorzała: to były ogniska wołoskiego obozu. Obozowe warty poczęły już się obwoływać.

— Co za cudny wieczór!.... — odezwała się jedna z pań.

— Temu wieczorowi jednéj brakuje rzeczy...— odpowiedziała druga.

— Jakiéj?...— było zapytanie piérwszéj.

— Harfiarza... Jego śpiew i harfa bardzoby się teraz nadały...

— Harfiarz odjechał?...— zapytała starościna.

— Odjechał... A szkoda... Nieprawdaż jéjmość pani starościno?...

Starościna, zamiast odpowiedzi, głową na znak potwierdzenia skinęła.

Więc to, co wujaszek o odjeździe Włocha mówił, nie było zmyśleniem. Signor Gerolamo rzeczywiście odjechał i przed odjazdem uroczyście pożegnał się ze Starostą, życzył mu szczęścia na wojnie, a sam, jak mówił, wraca do swojéj samotności i pieśni. Pożegnał się także z Chodkiewiczami i ze wszystkiemi dystyngowańszemi figurami. To ich nieco zdziwiło: bo nie witał się a żegnał.

Opuszczenie przez dworzan nudziło panie. Każda zapytywała siebie w duchu:

— Co to znaczy, że nikogo nie ma?...

Wkrótce jednakże rozwiązała się zagadka.

Przez żołnierzy do pachołków, przez pachołków do dziewek i panien służących, przez to do panny Zatorskiéj, a przez tę ostatnią do ucha pań dostała się wieść o pojedynku.

— Imćpan Jeż bije się z imćpanami Wolskim i Słupskim!...

Nieobecność mężczyzn została usprawiedliwioną; lecz pozostawał jeszcze do usprawiedliwienia powód pojedynku.

Panie strwożyły się. Na kobietach wszelka sprawa, śmiercią pachnąca, niemiłe sprawia wrażenie.

— O cóż im poszło?...— było ogólne zapytanie.

Wzięte na indagacyę dziewki, panny służące i panny respektowe, nie umiały dać zaspakajającéj odpowiedzi.

— Pokłócili się...— powiadały.

— Ale o co?...

Jedna zeznała, że od kuchty słyszała, jakoby pokłócili się o jakąś panię.

Pani Wolska najwięcéj była niespokojną, chociaż najmniéj to po sobie okazywała i najmniejszy w indagacyach udział brała.

— To dziwne!...— powtarzały panie— o co oni mogli się pokłócić?...

Zwracały się z tém zapytaniem do Starosty, a ten je zbył krótko:

— Ot, zwyczajnie... jakaś niedorzeczność... Przy kuflu o kłótnię najłatwiéj... Na *trzeźwo nie mogli* się *oni* pokłócić...

Panie męczyły się, pożerane ciekawością.

Słyszałem (nie wiem czy to prawda), że niezaspokojona ciekawość jest jedną z największych mąk moralnych, jakich płeć piękna doświadcza.

Przyjście Słupskiego wywołało z piersi pań okrzyk taki, jakby powracającego z tamtego świata witały.

— Jegomość pan Słupski!..— w jeden głos krzyknęły.

Słupski powitał je z miną taką, jakby nic nie było, przypuszczając zapewne, że panie o niczem nie wiedzą. Skłonił się szarmancko do koła i zagadał o pięknym wieczorze. Od pierwszego jednakże słowa natychmiast mu przerwano.

— Nie o piękny wieczór teraz chodzi...— odezwała się starościanka — ale o imćpana Jeża.... Czy żyje?... czy zdrów?...

— Szczęśliwy jestem, że mogę troskliwość jejmość panny starościanki zaspokoić...— odparł Słupski.— Imćpan Jeż żyje i zdrów...

— *On* miał z panem pojedynek...— rzekła jedna z pań.

— Nie miał...— odrzekł Słupski.

— A z imćpanem Wolskim?...

— Z imćpanem Wolskim miał...

— Jakże się skończył?...

— Bardzo dobrze... Adwersarze pobili się, pogodzili, poprzyjaźnili i w téj chwili nową przyjaźń starym miodem hartują...

— Więc to nie prawda, co nam mówiono...— rzekła jedna z pań— że imćpan Jeż miał się z imćpanem Wolskim i z waszmością bić...

— Prawda...— odpowiedział Słupski— ale bił się tylko z imćpanem Wolskim...

— To panowie się pogodzili!...— zawołała starościanka.— Chwała Bogu!..

— Przykro mi, że zniewolony jestem jejmość pannę starościankę z błędu wyprowadzić...— rzekł Słupski, muskając hiszpankę.— My nie pogodziliśmy się z imćpanem Jeżem..

— Więc waszmoście będą się bili?...

Słupski skłonił się na znak potwierdzenia. Panie obrzuciły go strwożonemi oczami.

— Mój Boże! czy to nie lepiéj pogodzić się...— odezwała się jedna.

— Do czego te zwady!...— dodała druga.

Słupski nic na to nie odpowiadał, tylko wąsy i hiszpankę muskał.

— I o co to waszmościom poszło?...— zapytała starościanka.

— Niech jejmość panną starościanka przebaczy mi, że nie mogę jéj odpowiedzieć...— odrzekł Słupski.

Gawęda trwała dość długo, lecz żadnego objaśnienia nie mogły z niéj panie wyciągnąć, bo Słupski, zaskakiwany pytaniami zręcznie i znienacka, umiał równie się zręcznie wywijać, i albo zaprzeczał, albo dawał takie odpowiedzi, które bardziéj jeszcze bałamuciły ciekawe białogłowy.

Pani Wolska nie mieszała się do rozmowy. Ona przez pół, może (dajmy na to) w dziesiątéj części domyśliwała się istotnéj przyczyny, lecz domysły swoje dla siebie zachowywała. Czując zaś niemożność swoją wpłynięcia na

zwadę w sposób łagodzący, wolała pozostać na stronie. Kontenta była, że Włocha nie było, bo jego obecność skomplikowałaby może sprawę.

Po Słupskim przyszło kilku jeszcze innych dworzan, którzy zdezerterowali od wujaszka. Niektórzy z nich mieli, jak się mówi, w czubku, jednakże sekretu dochowali.

Wzruszenia wieczorne odjęły paniom sen. Do późna siedziały przed namiotem, tocząc rozmowy o niczém i często nawracając do pojedynkowego przedmiotu, który usiłowały koniecznie wyjaśnić sobie. Północ rozdzieliła towarzystwo. Koguty w obozie zapiały, straże się obwołały i panie ukryły się pod płótnem namiotu.

Noc przeszła im niespokojnie. Jedne usnęły, ale budziły się co chwila, inne wcale oka zmrużyć nie mogły. Do tych ostatnich należała pani Wolska. Przewracała się z boku na bok, okrywała się kołdrą z głową, odmawiała po cichu Anioł Pański i koronkę do Przemienienia Pańskiego, i pomimo to wszystko zasnąć nie mogła. Lada szelest ją trwożył. Coś jéj się wciąż przywidywało. To wydawało się jéj, że płótna namiotu się odchylają i ktoś wchodzi, to że za ścianą słyszy jakieś ciężkie oddychanie, to że ktoś podnosi płócienne okienko i zagląda. Gdyby sama spała, z pewnościąby uciekła, lecz w téj saméj komnacie ulokowaną była starościanka i jedna z pań, a tuż obok było tyle ludzi i na straży przed namiotem byli wartownicy z halabardami. Nie było więc czego się bać. A przecież się bała.

Raptem nad ranem, w chwili gdy ciemność nocy była największą, zerwała się i krzyknęła:

— Jezus, Marya!...

Równocześnie z nią zerwała się starościanka i dworne panie.

— Mój Boże! mój Boże!... co to za noc straszna!..— odezwały się jedna za drugą. —Co to za jęk?...

— Jejmość pani słyszałaś?...— zapytała dworna pani.

— Ach! słyszałam...

— Ach! i ja słyszałam...— rzekła starościanka i poczęła drżeć całém ciałem.

— Co to takiego?...

— Anioł Pański zwiastował Pannie Maryi, i poczęła z Ducha świętego...— rozpoczęła dworna pani, a za nią pani Wolska i starościanka w głos powtarzały.

— Ja się *boję*.... — rzekła ta ostatnia.— Mnie straszno.... Ach! Boże mój, Boże!... Żeby też tego dnia doczekać....

Trwożyły się kobiety wzajemnie i spać nie mogły. Starościanka przeniosła się na łóżko pani Wolskiéj i przytuliła się do niéj.

Powoli, wraz ze świtającym dniem, wracała odwaga do serc niewieścich, a z odwagą przychodził i sen. Gdy zaświtało, panie się pospały, a gdy słońce wschodziło i złotemi promieniami szczyty gór obrzuciło, twardy sen je owładnął.

—Nie długo jednakże spać mogły. Zaledwie słońce wydobywszy się z za gór na pełne się niebo wytoczyło,

obudził je niezwykły ruch i głośne a prędkie i z kilku na raz ust wydobywające się gadanie w namiocie. Piérwszym wyrazem, jaki o ich uszy się obił, był:

— Trup....

Włosy im na głowie pod nocnemi czepeczkami powstały, a sen tak je od razu opuścił, jakby wcale nie spały.

W téj chwili wcisnęły się do ich izby wszystkie dziewki, panny służące i respektowe przestraszone, z szeroko pootwieranemi oczami i z rozczochranemi włosami.

— Co to się stało?...— zawołała strwożonym głosem starościanka.

— Trup...— odpowiedziały chórem.— Ktoś zabił... Téj nocy zabił...

— Kto?...

Dziewki, panny służące i respektowe ściskały ramionami, a niektóre z nich odpowiadały:

— A Bóg-że to święty wie... Ktoś w nocy zabił...

— Kogo?...

— Tego pana, *co to nosił* wąsy...— odpowiedziała jedna.

— *I bródkę*...— dodała druga.

— Jegomość pan Słupski zabity!...— dał się raptem słyszeć głos panny Zatorskiéj.

Na te słowa, kobiety jednym susem powyskakiwały z łóżek. Starościna nawet z niezwykłą jéj zerwała się szybkością. Szybko się ubierały, w byle co — w jakieś

zarzutki, płaszczyki, szlafroczki i w kilka minut, w towarzystwie całéj kobiecéj służby, wysunęły z namiotu.

Nie potrzebowały daleko iść, ani drogi szukać. O pięćdziesiąt najdaléj kroków od namiotu Starosty, zbiegowisko dworzan, żołnierstwa i pachołków było dla nich wskazówką.

Kobiety tam jednakże nie poszły. Stanęły zdaleka, w kupkę zbite i słuchały relacyj, jakie im od zbiegowiska przynoszono. Relacye te następującéj były treści:

Gdy dzień zaświtał, znaleziono trupa Słupskiego o kilka kroków za jego namiotem, na ziemi leżącego. Leżał na wznak. Dostał dwa uderzenia w piersi a jedno w głowę, wszystkie śmiertelne. Zdaje się, że ten co go zabił, czatował na niego i skorzystał z chwili. Zabójstwo musiało się *popełnić nad* rankiem, dla tego, że pachołki nieboszczyka położyli się spać już po północy i nie słyszeli, jak ich pan wychodził. Nad rankiem też w sąsiednich namiotach niektórzy głuche jęknięcie słyszeli.

Ostatnie to podanie starościanka, pani Wolska i ta dworna pani, która z niemi spała, swojém świadectwem potwierdziły.

Daléj, *brzmiały relacye, nie wiadomo ktoby mógł być* zabójcą. Podejrzenie najprawdopodobniejsze pada na pachołków nieboszczyka i dla tego wszyscy wzięci są pod straż. Powody zabójstwa także są niewiadome. Nie mógł go popełnić złodziéj, bo nic ze sprzętów, rzeczy, ani pieniędzy nieboszczyka nie przepadło. Imćpan Słup-

ski ze wszystkiemi dobrze żył. Miał się wprawdzie pojedynkować z Imćpanem Jeżem, ale... ale...

Tu relacye zatrzymywały się na «ale.»

Oburzenie przeciwko tajemniczemu zabójcy było powszechném i wielkiém. Zabójstwo bowiem tego rodzaju, tak obcém było i jest charakterowi polskiemu, że nawet nie umiano sformułować podejrzeń. Cały obóz był niém zmartwionym, zawstydzonym i czuł się niejako winnym.

VIII.

— Kto jest mordercą Słupskiego?.... — było zapytaniem, które w ciągu kilku dni po dokonaniu zbrodni zajmowało wszystkich razem i każdego z osobna w obozie.

— Kto jest mordercą Słupskiego?...— toż zapytanie zadawano sobie w Kamieńcu, w zamku, gdzie starościna i panie w dniu popełnienia zabójstwa powróciły.

Ani tu, ani tam nie można było znaleźć odpowiedzi.

Starosta, mocą swego urzędu, przeprowadził indagacyę nad pachołkami.

Indagacya nie przyniosła żadnego objaśnienia; nic nowego nad to, co zawierało się w umieszczonéj na końcu poprzedniego rozdziału relacyi, nie nauczyła.

Pachołków, według obyczaju owoczesnego, brano na tortury. Wytrzymali tortury, lecz nic nie powiedzieli, bo o niczém nie wiedzieli.

Zbierano wieści po obozie: czy nie widział kto kogo chodzącego po północy.

Chodziło dużo ludzi— ci wszyscy, którzy u wujaszka zapijali zgodę Kuźmy z Wolskim. Kogoż wszakże z tych można było podejrzywać?...

Rozbierano stosunki nieboszczyka. Ze stosunków jedno się tylko pokazywało i uparcie na myśl każdemu przychodziło, a mianowicie: że Słupski miał się bić z Kuźmą. I— ponieważ, gdzie wiele ludzi o jednéj i téj saméj myśli rzeczy, tam rozmaite przychodzić muszą domysły— wywiązało się domysłowe zapytanie:

— Czy imćpan Kuźma Jeż byłby w stanie zdobyć się na popełnienie takiéj strasznéj zbrodni?...

Od razu wszyscy, jednogłośnie odpowiedzieli:

— Nie...

Lecz powoli jednogłośność poczęła się rozbijać. Opinia publiczna poczęła robić przypuszczenia na niekorzyść naszego bohatera. Najwięcéj szkodziło mu to, że nie wiedziano dokładnie co on za jeden?... Nie miał ani kolligatów, ani krewnych,— był nieznany — nikt nie mógł poświadczyć o jego rodzicach i rodzinie. Wznowiły się więc, tylko na szerszą skalę, dawne gadaniny o jego rodzie i drażniły opinię publiczną.

— Powiadają, że on hiszpański czy szkocki królewicz, że syn doży, że wykradziony przez kozaków sułtanic...— mówiono.— Tém ci gorzéj!... Co nam do tego, że ród jego wysoki!... Jeżeli popełnił zbrodnię, to powinien być, jak zbrodniarz, ukarany...

«Jeżeli popełnił...» ale — jeżeli nie popełnił?... Wyjąwszy przypuszczenia, dowodów na to żadnych nie było.

Potężną obroną Kuźmy był Lisowski. On stanowczo temu przeszkadzał, aby przypuszczenia na podejrzenie się nie zamieniły. Lisowski, znany i poważany, sobą, niby tarczą, zasłaniał bohatera naszego.

Pomimo to jednakże zrobiła się około niego próżnia. Wszyscy znajomi tacy, którzy już wchodzili z nim w przyjazne stosunki, naraz się odstrychnęli. Nikt w oczy nie powiedział mu dla czego?... Lecz sam Kuźma spostrzegł się na tém.

Nie mówiono mu w oczy, bo zarzut był zbyt wielki. Zrobiwszy go, należało dowieść, a dowody nie w samowtórnym boju, krzyżową sztuką, lecz przed sądowemi kratkami, pod przysięgą, trzeba było składać. Na bój, ani jednego *nie było w obozie, coby nie stanął*— na przysięgę, żadenby się nie odważył.

Kuźma spostrzegł się na osamotnieniu wśród towarzyszy.

— Co to się im stało?....— myślał sobie i nie był w stanie domyślić się co?...

— Nie wiem dla czego wszyscy stronią odemnie...— rzekł raz do Lisowskiego.— *Jeżeli dłużej tak* potrwa, to przyjdzie się mi chyba uciec...

— Nie zważaj waść na to...— odparł Lisowski.— Ludziom nieraz siadają muchy na nosie... Same siadają i same zlatają... Przeczekaj trochę, to zlecą...

Lisowski wiedział, co za pozór odstręczał towarzyszy

od naszego bohatera, ale nic mu o tém nie mówił i taką miał na to przyczynę: gdyby powiedział, to zmusiłby Kuźmę do żądania publicznéj satysfackyi, to jest: do stawienia się z własnéj woli pod sąd, dla oczyszczenia się, które koniec końcem możeby go nie oczyściło, a tylko zmusiłoby do wytoczenia na jaw całego swego *curiculum vitae*. Pakazałoby się więc, że Kuźma nie szlachcic, pokazałoby się, że przekradanym sposobem, wcisnął się do uprzywilejowanego grona. To nie tylko nicby mu nie pomogło, ale samo przez się posłużyłoby jako niezbity dowód zbrodni, o którą go posądzać nie śmiano.

W owych bowiem czasach ludzie dzielili się na szlachetne i na podłe pochodzenie. Jeżeli przeto na człowieka podłego pochodzenia padło jakie posądzenie, to przez to samo posądzenie owo uważało się jak przez pół dowiedzione. Posądzenie zaś ciążące na Kuźmie komplikowało się jeszcze i kontrabandą. Chłop utaił swoje chłopstwo i wcisnął się pomiędzy szlachtę. Samo to, wedle ówczesnych wyobrażeń, było zbrodnią nie do przebaczenia.

Dodać należy, że ostatnia ta zbrodnia, w ogromnéj swojéj części, spadłaby i na Lisowskiego. On bowiem tę kontrabandę przeprowadzał. On przeto, zasłaniając Kuźmę, zasłaniał i samego siebie,— a ta jego zasłona tak była poważną, że nikt nie śmiał zajrzeć po za nią.

Położenie Kuźmy stało się nieznośném. Na przeglądach i manewrach, stojąc w szeregu, ocierał się o towarzyszy, — po przeglądzie i manewrach nikt go znać nie

chciał. Nie okazywano mu niegrzeczności, przeciwnie— pozdrawiano go, kłaniano się mu, ale z daleka i z taką zimną etykietalnością, że nierazby wolał aby go osobiście obrażono. Za obrazę bowiem mógłby przynajmniéj zmierzyć się orężnie i złość spędzić, grzeczność zaś taka pozbawiała go możności poszukiwania satysfakcyi.

Grzeczność taka nie koniecznie przypada do miary charakteru polskiego. Zdarzają się jednakże takie okoliczności, do których najnieugiętszy nagina się charakter.

Taką właśnie okolicznością było posądzenie Kuźmy— posądzenie o tak straszną zbrodnię, za którą jednakże potępić go nie było można, dla braku poszlak i dowodów, które przedstawiając się jako niesłuszne, stawiały go w oczach towarzyszy i kolegów w charakterze niewinnéj ofiary.

Niewiadomo jednakże, jakiby ta sprawa wzięła była obrót, gdyby obóz dłużéj pod Żwańcem poleżał.

Wieść o wymarszu odwróciła od Kuźmy uwagę.

Wieść tę poprzedziła inna, ta mianowicie, że po przypuszczeniu gwałtownego szturmu, który się nie powiódł, Michaj-woda zdjął swój obóz i odstąpił od oblężenia Chocimia.

Wodzów polskich zainteresowało zapytanie:

— W którą stronę hospodar wołoski pociągnął?...

Natychmiast przerzucono podjazdy na prawy brzeg Dniestru. Zaporożcy, niby psy gończe, rzucili się na ślady nieprzyjaciela, którego tropy zmyliły ich z razu. Według piérwszych raportów, wydało się Staroście, że hospodar

zwrócił się naprzeciwko Hetmana Koronnego, który od Suczawy ciągnął ku Chocimowi; według późniejszych jednakże, pokazało się, że Wołochy udali się w przeciwną zupełnie stronę, ku południowi, ku granicom Wołoszczyzny, okazując przez to wyraźnie, że albo chcą uniknąć spotkania, albo też cofając się na własne podstawy, chcą się jeszcze wzmocnić i z bardzo przeważnemi siłami przyjąć bitwę, gdzieś w głębi kraju, ze znużoném i oddaloném od swoich granic wojskiem Rzeczypospolitéj. To ostatnie przypuszczenie bardzo było prawdo-podobném, a prawdo-podobieństwo onego opierało się głównie na bojowém wołoskiego wodza doswiadczeniu.

Mylność początkowych raportów z téj pochodziła przyczyny, że Michaj-woda, ruszywszy się z pod Chocimia, na raz, niby na wszystkie rozprysnął się strony. Niektóre jego oddziały pomaszerowały wprost na Suczawę, inne Sniatyńskim szlakiem, inne na Botuszany, inne znów pociągnęły Bessarabią ku Cecorskiéj przeprawie. Trudno było odgadnąć, gdzie są główne siły, ani przy którym oddziale znajduje się sam wódz. Raporta więc gmatwały się. Mniéj doświadczony niż Starosta wojownik, znalazłby się w niepewności. Lecz Jan Potocki od razu wpadł na trop i gdy młodzi Chodkiewicze głowy na domysłach łamali, on im tak manewra wołoskie objaśnił:

— Gdyby hospodar miał zamiar stoczyć walną bitwę, to nie dzieliłby sił swoich, lecz z całemi zwróciłby się na Suczawę... Dzieląc zaś i rozsyłając je w różne strony, chce nam tylko oczy zamydlić... On w téj chwili unika walnéj

bitwy... Główne jego siły ciągną ku Cecorze... Naszém teraz zadaniem ukarać go za chęć oszukaństwa i urwać mu te oddziały, któremi zamierzał nas obałamucić... Jutro o świcie przeprawiemy się przez Dniestr...

I natychmiast zabrano się do przeprawy. Piechotę na łodziach i promach przerzucono na prawy brzeg zaraz z wieczora, a dla kawaleryi, artyleryi i pociągów zbudowano w nocy most.

Przed świtaniem wojsko wystąpiło i ustawiwszy się w ordynku, wysłuchało mszy świętej i przyjęło błogosławieństwo na bój. Trąby, surmy i kotły uderzyły. Poszły jedna za drugą chorągwie. Wschodzące słońce ujrzało je na ziemi już nieprzyjacielskiéj.

Po paro-godzinnym marszu, wódz dał rozkaz do zatrzymania się.

— Tu— mówił do Chodkiewiczów— poczekamy na wracających ze Sniatynia Wołochów... Zechcą oni nas obejść i przemknąć się, bądź wybrzeżem Dniestru, bądź wybrzeżem Prutu... Trzeba im drogę zastąpić...

W celu zastąpienia drogi, rozesłano podjazdy w kierunku Sadogóry i Zaleszczyk. Te nad wieczorem przyniosły wiadomość, że nieprzyjaciel ciągnie wybrzeżem Prutu i zapewne nocować będzie przy ujściu Rokitny.

Na tę wieść, Potocki zostawił obóz pod strażą piechoty, pary setni zaporozkich i ciurów, a sam, na czele wyborowych chorągwi, na całą noc pociągnął ku ujściu Rokitny, i doszedłszy nad ranem, uszykował wojsko do bitwy.

Jak w obozie, tak i na placu bojowym, dowództwo podzielonem było pomiędzy Starostę i dwóch Chodkiewiczów. Starosta dowodził naczelnie całem wojskiem, ale bezpośrednio środkiem, prawem zaś skrzydłem Aleksander Chodkiewicz, lewem Jan Karol. W oddziałach, środek szyku stanowiących, znajdowały się roty starościńskie, a więc i nasz bohater.

Nieprzyjaciel przewidywał snać spotkanie, bo był także uszykowanym do bitwy. Siły jego nie o wiele polskie liczbą przewyższały, ale o wiele niższemi od nich były wewnętrzną swoją wartością. Z tego powodu, spotkanie dla Polaków było grą na pewniaka, tem bardziej, że rzeczony wołoski oddział, spostrzeżony przez Zamojskiego, był już przez niego zaszachowanym i z sieci obławy, jaką na niego nasze wojska zrobiły, mógł wymknąć się tylko przebojem. Zamojski wysłał za nim słabe oddziały, których zadaniem było napędzić go na Potockiego. Potockiego więc manewr można nazwać: zastąpieniem drogi.

Manewr ten powiódł się Staroście doskonale i z bardzo małym kosztem. Spotkanie bowiem ograniczyło się na jednem starciu się prawego polskiego z lewem wołoskiem skrzydłem. Zaledwie zaczynający bój kozacy poskoczyli, natychmiast wołoskie skrzydło zwinęło się i skurczyło, dało się polskiemu obejść i do Prutu przyprzeć.

W takiej pozycyi bój stawał się rzezią. Postrzegłszy to Starosta, dał rozkaz powstrzymania się i wysłał do Wołochów parlamentarza, który został przyjętym. Nieprzyjaciel złożył broń i poszedł do niewoli; nie wielką jednak-

że dostarczył zwycięzcy zdobycz: był to bowiem oddział lekko, bez pociągów i obozu wybrany, którego przeznaczeniem było tylko w błąd wprowadzić wodzów polskich, a zrobiwszy swoje, jak najspieszniéj, manowcami dążyć do połączenia z głównemi siłami. Był to więc oddział zaryzykowany przez hospodara na przepadłe i z téj przyczyny, tak wybrany i zaopatrzony, aby, gdyby wpadł w ręce Polaków, nie wielką im przyniósł korzyść.

Łatwe to zwycięztwo usunęło jedyną a stałą przeszkodę połączeniu się Starosty z Hetmanem. Potrzeba było tylko, aby Starosta przeprawił się przez Prut i nie odległy w têm miejscu od niego Seret, doliną którego ciągnęły ku południowi wojska hetmańskie. Nie mgół tego jednakże samowolnie uczynić, dla tego, że tak zbliżywszy się do Hetmana, tracił oddzielność dowództwa i musiałby do jego stosować się rozkazów. Posłał więc doniesienie o zwycięztwie i czekał. Podjazdy hetmańskie zaglądały do biwakujących na placu potyczki starościńskich wojsk.

— Otoż to mi wojna!... — mówił Kuźma do Lisowskiego.— Tym Wołochom, jak widzę, trzeba tylko nagrozić, a oni zaraz broń składają...

— Będzie z nimi i trochę inaczéj..— odpowiedział Lisowski.— Ci co broń złożyli, są to błędne owce od stada oderwane... Niech-no się ze stadem spotkamy, to one nam natupią.

— Prawdę powiadał Semen, że z Wołochami łatwo..— rzekł Kuźma w rodzaju uwagi świadectwem popartéj.

— Będzie z nimi i trudniéj... — odparł znów Lisowski. — Z jednego o wszystkich sądzić nie można... My jeszcze hospodarowi w oczy nie zajrzeli, a on ma ten zwyczaj, że jeżeli się postawi, to okuniem...

— Zobaczymy... — odrzekł Kuźma.

Tymczasem przybiegł posłaniec z rozkazem od Hetmana, skutkiem którego Starosta powrócił do zostawionego obozu i pociągnął śladem za hospodarem. Połączenie więc nie miało miejsca; ale za to, zamiast połączenia, urządzoném zostało nieustające porozumienie.

Hetman i Starosta równolegle od siebie na jednéj posuwali się wysokości, dając o sobie jeden drugiemu znać przez krzyżujące się podjazdy. Starosta miał iść za cofającym się hospodarem, w celu śledzenia jego ruchów i z poleceniem unikania bitwy. Hetman zaś z głównemi siłami maszerował tymczasem swobodnie i powolnie, nie trudząc wojska i nie nużąc go ciągłą gotowością do boju. Trudy i znużenie spadały całkowicie na mały oddział Potockiego, od którego, dla ułatwienia mu obrótów i ulżenia w ruchach, oderwano całą piechotę i artyleryę, większą część obozu i chorągwie Chodkiewiczów.

Podkomendni, rozumie się, nic o tych rozporządzeniach nie wiedzieli. Domyślili się jednakże. Żołnierz bowiem jest istotą tą instynktową własnością obdarzoną, że odgaduje plany wodzów. Nie jeden najmniejszego o strategii nie ma wyobrażenia, często nawet o geografii pojęcia nie posiada, a pomimo to wie naprzód, gdzie go prowadzą i co z nim chcą zrobić. Nie rzadko

się też zdarza, że ów instynkt żołnierski lepsze od naczelnych plany kreśli. Bywa to w takich razach, gdy wodzowie błądzą. Wówczas żołnierze upadają na duchu, tracą do wodzów i siebie zaufanie, sarkają i narzekają.

Podkomendni Starosty Kamienieckiego domyślili się, jakie trudne dano im do spełnienia zadanie, pomimo to jednakże nie narzekali, nie sarkali, nie stracili do siebie ani do wodza zaufania i nie upadli na duchu. To znaczy, że plan wodzów był dobry, więc znalazł ich potwierdzenie. Rozstawszy się z piechotą, artyleryą, chorągwiami Chodkiewiczów i znaczną częścią pociągów, w szczupłéj, nie dochodzącéj trzech tysięcy ludzi pozostali liczbie i z dobrą ruszyli otuchą. Przed nimi był sześćdziesięciotysięczny nieprzyjaciel. To znaczy, że na jednego Polaka wypadało dwudziestu Wołochów. *Oni o tém wiedzieli i mówili:*

— Toć nam przecie Hetman rękę poda...

I mówili prawdę. Bo Starosta miał polecenie, na przypadek gdyby Hospodar bądź z całemi, bądź ze zbyt przeważającemi zwrócił się na niego siłami, albo przerzucić się przez Prut i połączyć się z Hetmanem, albo, gdyby pozycya była po temu, wytrzymać napad i doczekiwać hetmańskiego przybycia.

Instynk żołnierski odgadł plan, który był nieodgadnionym dla hospodara. Temu bowiem zdawało się, że Zamojski zachodzi mu na przełaj, chcąc go od Wołoszczyzny odciąć. Uważał przeto za potrzebne uprzedzić Hetmana. Więc spieszył tém bardziéj, że Zamojski do jednego i te-

go samego punktu, którym wydawał się mu być przesmyk Fokszański, szedł krótszą niż on drogą.

Pośpiech wołoskiego hospodara wielce stał się dogodnym dla szczupłej garstki Starosty Kamienieckiego, uchronił ją bowiem od nierównych spotkań. Tylna straż wołoskiej armii stawiała się przed nią kilkakrotnie, lecz nigdy w celu stoczenia bitwy, a tylko dla paro-godzinnego zabawienia, lub dla odwrócenia jej uwagi. Potocki zawsze umiał trafnie ocenić zamiary nieprzyjaciela i nigdy się w pole wyprowadzić nie dał. Podjazdami docierał aż do czoła kolumn nieprzyjacielskich, a oddziałem swoim siedział ciągle — jak się mówi — na piętach tylnej Wołochów straży, którą parę razy niespodzianie napadł. Podjazdy robili Zaporożcy. Istne szatany, czepiali się cofającej *armii i szarpali ją na każdym kroku*, sami starannie i zręcznie unikając podjazdowych zasadzek.

Nie tyle więc niebezpiecznem ile nużącem było zadanie Potockiego i jego oddziału. Trzeba się było mieć nieustannie na baczności, nieustannie w pogotowiu i nieustannie w ruchu, nie mając spoczynku jedno tyle co w nocy i to na krótko, gdyż krótka letnia noc przemijała lotem, szczególnie dla całodziennem natężeniem utrudzonych.

To takie natężenie pracy, odwróciło zupełnie uwagę od naszego bohatera, a raczej od posądzenia, jakie na niem ciężyło. Wolniej nieco odetchnął. Zrównał się z towarzyszami, i chociaż nie powrócił z nimi do dawnej przyjacielskiej zażyłości, bo zawsze ich coś od niego odtrą-

cało, to tyle przynajmniej zyskał, że osiągnął zażyłość koleżeńską, tę, która wiąże pewnym węzłem jednego przedsięwzięcia spólników lub jednej sprawy wyznawców. Maszerował i biwakował razem ze wszystkiemi; w spotkaniach widziano go odważnym aż do zuchwalstwa i opinia publiczna oddziału poczęła go toleorwać.

—Widzisz...— rzekł raz do niego Lisowski— muchy z nosów poczynają już odlatywać... Poczekaj jeszcze, to zupełnie odlecą...

Gdy hospodarowi przyszło się przez Prut przeprawiać, pora przeprawy nastręczała się mu jako dogodna okazya skarcenia zuchwałej natrętności oddziału Starosty. Skorzystał też z niej. W odpowiedniej pozycyi postawił dziesięć tysięcy dobornego wojska i polecił mu stoczyć bitwę.

Potocki przewidział ten wypadek. Wiedział on, że przeprawa takiej dużej armii jak wołoska, potrwać musi ze dwa dni przynajmniej, i że hospodar nie omieszka przez ten czas z nim, częścią sił od głównej armii oddzielonych się rozprawić. Stosowne więc do tego poczynił rozporządzenia.

W dniu przeprawy wołoskiego wojska zwolnił marszu i ściągnął wszystkie drobne oddziały, na zwiady i podjazdy wysłane. W ciągu dnia po kilka razy zatrzymywał się i wypoczywał, i wymiarkował tak, aby do spotkania z Wołochami przyjść nad samym wieczorem.

Przed zachodem słońca zawiązała się bitwa. Potocki ruchami i manewrami swojemi udawał, jakoby myślał że ma z tylną strażą do czynienia, którą chce spędzić. Wo-

łochy starali się utrzymać go w tém mniemaniu, chcąc, z powodu krótkości czasu, niedozwalającego im przed zapadnięciem nocy odnieść spodziewanych z pewnego zwycięztwa korzyści, odłożyć bitwę do dnia następnego. Potocki uderzał impetycznie, szarpał się, udawał że koniecznie chodzi mu o spędzenie nieprzyjaciela z placu, niby się wytężał, posyłał wyborcze usarskie i pancerne roty, które po złamaniu pierwszych szeregów wracały, aż noc rozdzieliła walczących.

Jedna i druga strona na placu bitwy zabrały się do przepędzenia nocy. Rozstawiono straże i ognie biwaczne zagorzały. Wołochom przyciągnęły posiłki, za pomocą których spodziewali się nazajutrz znieść doszczętnie oddział Potockiego, oczekując niecierpliwie świtu, o którym zamierzali napad wykonać.

Przez całą noc czaty wołoskie widziały obozowe ognie wojsk polskich i kręcących się przy ogniach żołnierzy. Przed świtem hufce ich uszykowały się do boju. O świcie kolumny się ruszyły, poszły naprzód i— zamiast rot polskich zastały dogorywające tylko ogniska.

— *O fudżit Potocki!* (uciekł Potocki)!...— wołali wołoscy żołnierze.

A wodzowie ich kręcili głowami i powiadali:

— *Czi tałhar!* (co za rozbójnik)!...

I rzeczywiście: rozbójnik. W téj bowiem chwili rozbijał on wołoskie oddziały na prawym brzegu Prutu i popłochem wszystko, co się już było przeprawiło, napełnił.

Starosta na to zwiódł bitwę, aby oszukać nieprzyja-

ciela, na to stanął na noc i ognie rozłożył, aby go jeszcze raz oszukać. Przy rozpalonych ogniach zostawił Zaporożców, którym polecił utrzymywać je do świtu i kręcić się koło nich, a sam, zaraz z wieczora ruszył nieco wstecz, zbliżył się do Prutu, wpław przebył rzekę i nad rankiem napadł na przeprawiony obóz nieprzyjaciela. Nieprzyjaciel nie wiedział z kim ma do czynienia. W pierwszej chwili wydało się mu, że to Zamojski potrafił tak marsz swój ukryć i niespodziewanie się zbliżyć. Z tego powodu powstał popłoch. Odbieżono wozów i dział, które Potocki częścią zniszczyć, częścią zabrać kazał. Wielkiem było hospodara zmartwienie, gdy się dowiedział, że to Potocki takiego Piotra jego wojsku napędził.

Do takiego polecenia, jakiém było utrzymanie ogni w obozie, potrzeba było żołnierzy pod dowództwem przebiegłych i doświadczonych ludzi zostawiać, aby nie tylko ognie utrzymywać, ale w porządku i całości zostawiony oddział wyprowadzić umieli. Potocki do takich delikatnych poruczeń używał zwykle Lisowskiego, który dobierał sobie kilku innych. Lisowskiego kozacy znali i poważali i chętnie pod jego szli dowództwo.

I tym razem Lisowski został z kozakami, otrzymawszy od wodza szczegółowe instrukcye, gdzie ma się z nim złączyć.

— Zwrócę ja ku Jassom...— mówił Starosta — tam waszmość dobywaj o mnie języka, a gdybyś mnie w Jassach nie zastał, to ciągnij wprost na hetmańskie wojska, z któremi się teraz połączę... Moje bowiem zadanie już

skończone... Na prawym brzegu Prutu Hetman osobiście wchodzi z hospodarem w taniec....

Lisowski dobrał sobie Kuźmę i więcéj nikogo. Nikogo bowiem nie potrzebował, bo setnia zaporozka, z którą zostawał, posiadała setnika i kilku znaczkowych, doświadczonych i sprytnych.

— Wiecie mołojcy, po co my tu zostali?...—zapytał kozaków, gdy całe już wojsko wyciągnęło.

— A na jakiegoś, gdzieś, zbytka... — odparł jeden z Zaporożców.

— Ot, powiem wam otwarcie...—rzekł szlachcic—po to, żeby się z Wołochami w żmurki zabawić... Zawiążemy im oczy ogniem i dymem, a gdy oni z otwartemi ramionami zbliżą się, aby nas ująć, tak jak baba do kury, kiedy na nią «siła, siła, siła!» woła, my, pstryk i *zostawimy im po sobie tylko popiół i dymy...*

Kozacy zaśmieli się na ten wykład poruczonego im zadania.

— Hejże!—ciągnął Lisowski.—Podzielcie się!.. Połowa niech zostanie przy koniach.... Dwa dziesiątki niech będą w pogotowiu, a reszta niech nosi drwa i w piecach pali...

Setnia się rozdzieliła. Pięć dziesiątków we dwa wyciągnęło się szeregi i położyło na ziemi, człowiek od człowieka co pięć kroków a każdy do pasa miał dwa konie przywiązane. Konie były pokulbaczone i zupełnie przygotowane do tego, aby na nie wsiadać. Całém dla nich nocném ulżeniem było tylko to, że powyjmowane miały

z pysków wędzidła, które jednéj chwili można było założyć. Stały przy ludziach i gryzły siano; a kozacy, dopadłszy ziemi i podłożywszy pod głowy kułaki, snem twardym spali.

Drugich pięć dziesiętni dzieliło się na dwie części. Z tych jedna stanowiła rezerwę, to jest, w bojowym porządku i szyku stała przed szeregami spiących i gotowe, pokiełzane konie w ręku trzymała. Druga zaś, trzydziestu ludzi licząca, przeznaczoną była specyalnie do ognisk i do udawania wart obozowych. Ci ostatni chodzili od ogniską do ogniska, świeżych drew dokładając i od czasu do czasu rozchodzili się, obwołując na wzór wedet obozowych. Po dwugodzinném tego rodzaju manewrowaniu, budzono śpiących i ci zmieniali poprzedników.

Lisowski, setnik i Kuźma przez całą noc się nie kładli. Oni wszędzie byli, wszystkiego osobiście doglądali.

Gdy świtać poczynało, Lisowski zwołał wszystkich kozaków do kupy, spiących pobudził i zakomenderował:

— Na koń!..

— Przez noc się nam upiekło...—przemówił do uszykowanéj setni.—Zobaczymy jak to nam w dzień pójdzie... Trzymajcie się mołojcy kupy, to może jeszcze i w dzień z Wołochami w żmurki zagramy...

Przemowa ta na tem się opierała, że Wołochy, pewni nad Potockim zwycięztwa, otoczyli go w nocy łańcuchem mocnych posterunków, mających za zadanie ani jednéj nogi z oddziału polskiego nie wypuścić. Przewidział to Potocki, przewidział i Lisowski. Dla tego pierwszy,

uprzedzając Wołochów, natychmiast z wieczora się wyniósł. Dla tego drugi uprzedził o grożącem im niebezpieczeństwie Zaporożców.

Lisowskiemu o to chodziło, aby na posterunki owe wpaść pierwéj, zanim dowiedzą się one o nieobecności Polaków. One bowiem spodziewały się pierwéj boju, a potém dopiero utarczek z rozpierzchającemi się zbiegami. Na téj więc ich nadziei opierając się, można je było ubiedz.

Lisowski nie dzielił setni na tylną i przednią straż i na główny korpus, ale na środek i skrzydła i od razu w bojowym ją ustawił porządku. Przodem tylko puścił dwóch sprawnych mołojców, poleciwszy im baczność na wszystkie strony, a sam za niemi ruszył ze środkiem, za którym postępowały skrzydła naprzód prawe, potém lewe, mając rozkaz, na pierwszy wystrzał przodowników wysunąć się pierwsze na prawo, drugie na lewo i stanąć w szyku bojowym. Sam dowodził środkiem, setnik prawém a Kuźma lewém skrzydłem.

Nie uszli i ćwierci mili, gdy jeden z przodowników czwałem przypędził, a osadzając przed Lisowskim konia: zawołał:

— Wołochy...

— Gdzie?..—spytał wódz.

— Podewsią, na drodze stoją...

— Wiele ich?..

— Będzie z pięć setni...

— Gotowi?..

— Ale, gdzie-tam!.... połowa śpi a druga połowa zęby przy ogniu grzeje... Tymko ich dogląda a ja przybiegłem dać znać i nie strzelaliśmy, żeby ich nie spłoszyć...

— Dobrze, mołojcze!..—odrzekł Lisowski.—Prawe i lewe...

W tém urwał raptem komendę, bo w tym momencie rozległ się odgłos wystrzału.

— Prawe i lewe skrzydło w prawo i w lewo!...—krzyknął Lisowski.

A gdy się jego komenda wykonywała, dodał do siebie:

— Ostrzeżone już psiawiary!..

I natychmiast potém krzyknął, głośno ale powoli:

— Kłusem!.. naprzód!..

Setnia z miejsca dźwignęła się kłusem. Przodem po samym środku jechał Lisowski w kółkowym pancerzu, w misiurce, z nagim kordem w ręku; na lewo, na równéj z nim wysokości, sunął Kuźma, w łuszczkowym pancerzu i hełmie, także z nagim kordem w ręku; na prawo z wiechciastemi wąsami i z założonym za ucho sełedcem setnik, w granatowym z wylotami półżupanku, w szerokich szarawarach, w baranim na bakier kołpaku, z nagą szablą w ręku. Za nimi w burych lub siwych czuhajach i kołpakach kozacy, nad głowami których długim grzebieniem spisy się jeżyły.

Było wzgórze, które setnię od Wołochów dzieliło. U stóp tego wzgórza, na przeciwległéj pochyłości, rozrzuconą była wioska, przed którą stał nieprzyjaciel, przez przodowników sygnałowany.

Wjechawszy na wzgórze, szybko jednym oka rzutem ogarnął Lisowski okolicę i dojrzał tego, czego przodownicy nie widzieli, a mianowicie, że za wsią stał drugi taki—może trochę mniejszy—oddział Wołochów, a ten co bliżej się znajdował, był już do połowy uszykowany. Ten bliższy można było wyminąć polami. Lecz dalej pokazywały się moczary i zarośla tak rozłożone, że koniecznie należało przechodzić przez stanowisko tego co stał za wsią. Przez wieś prowadziła ciasna ulica. Uderzyć więc na bliższy oddział, znaczyło wplątać się we wsiowe przechody i dać czas przysposobić się dalszemu do przyjęcia setni z ulic się wynurzającej. Obchodzić zaś bliższy oddział całą setnią, znaczyło, dozwolić mu przybiedz z pomocą dalszemu i wziąść kozaków z tyłu.

Z szybkością błyskawicy zastosował się Lisowski do tego położenia. Nawrócił konia na lewo i zbliżywszy się do Kuźmy, głośno mu rozkazał:

— Waszmość z lewém skrzydłem idź wprost naprzód i uderz na Wołochów i przez wieś się przebij!..

Nawrócił konia na prawo i włożył setnikowi w ucho:

— Waszmość ze swojém skrzykłem idź za mną o pięćdziesiąt kroków...

Poskoczył przed środek i krzyknął do mołojców:

— Na prawo!.. Za mną!..

Zjechał z drogi i rzucił się na pola.

Kuźma, na czele trzech dziesiątków, popędził na prost.

Wołochy, jak mówiłem, do połowy byli uszykowani.

Ujrzawszy niespodzianie na wzgórzu nieprzyjaciela, którego siły nie znali, zrywali się pospiesznie do koni i za broń chwytali, biegając na prawo i na lewo, i niewiedząc dobrze co począć. Jeden z ich hufców stanął na drodze a inne za nim, a jeszcze inne dopiero się zbierały. W większą niepewność i zamieszanie wprawiło ich jeszcze oddzielenie się Lisowskiego z setnikiem, które wzięli za manewr taktyczny, przeciwko ich oddziałowi wymierzony. I gdy uwagą to tu to tam błądzili, nie mogąc się połapać, raptem, niby piorun z nieba, zadzwoniła im w uszach komenda:

— *Nyzom spisy!..*

I do trzydziestu Zaporożców przepruło im środek spisami.

Wołochów ogarnął popłoch. Wydało się im bowiem, że Lisowski nawraca, w celu uderzenia na nich z boku. Zagapili się więc na niego, zmięszali się i poczęli po za wieś w przeciwną stronę uciekać, a tymczasem Kuźma rznął się przez wieś a Lisowski uderzał z boku, lecz nie na bliższy, ale na dalszy oddział, który także bezładnie i pospiesznie przyjął kozaków. Na ten drugi oddział razem się zeszli Lisowski i Kuźma.

Klęli Wołochy w kozackie krzyże, w ich ojców i matki, gdy się spostrzegli, że im bynajmniej nie o bój i zwycięztwo, ale o wydobycie się z matni, a po prostu powiedziawszy, o ucieczkę chodziło. Przezywali ich takiemi brzydkiemi wyrazami, że nie mogę ich powtórzyć, a oni tymczasem, przekłusowawszy się jeszcze z pół godzi-

ny i nie widząc pogoni za sobą, a wiedząc, że przed sobą nie mają już nieprzyjaciela, ściągnęli koniom cugle i poszli stępem. Setnia wyciągnęła się dwójkami po drodze. Spisy zwisły od niechcenia na rzemieniach u lewych ramion. Jaki taki z Zaporożców, nałożywszy lulkę, wykrzesał ognia i począł smolić z krótkiego, drewnianego cybuszka, jaki taki zadumał się i począł się na siodle jak w kołysce kiwać, inny nucił sobie pod nosem, o tym sahajdacznym:

— «Szczo prominiaw żinku
Na titiun ta liulku.»

Kończąc sensem moralnym, że

— «Kozakowi żinka, w dorozi zawada,
A tiutiun ta liulka,
Doma czy w dorozi,
Zawsze przydadut'sia.»

Inny spluwał, jakby myślał o kwaśnych jabłkach, a innego pragnienie paliło, pragnienie, którego wodą nie sposób było ugasić.

Starszyzna, to jest Lisowski, setnik i Kuźma, jechali bokiem i nagadawszy się o tém, jak to dobrze, kiedy z gorącéj wybrnie się kąpieli, zamedytowali każdy o swojém.

O czém medytował raby szlachcic i wiechciasto wąsaty setnik?— nie wiem. O czém medytował nasz bohater?—wiem.

Jemu widok ciągnącéj szlakiem zaporozkiéj setni nawiał do głowy myśli, które warto czytelnikom powtórzyć.

Patrzał na Zaporożców, patrzał i zapytał sam siebie:

— Czém oni gorsi są od ussarzów i pancernych?.. Biją się jak tamci, służą jak tamci, rodzą się i umierają, jak tamci, myślą i czują (proszę! on już wiedział coś o myśli i uczuciu), jak tamci; jedni z nich mają rozum, drudzy są głupi, jedni źli, drudzy dobrzy, zupełnie jak pomiędzy tamtymi; dla czegoż tamci są co innego a ci co innego?..

Ścisnął ramionami i nie umiał sobie na to odpowiedzieć. Po chwili myślał o sobie:

— Ot ja teraz ani do tych ani do tamtych nie należę, albo nie... ja i do tych i do tamtych należę...

I zadumał się. I snuły mu się po głowie rozmaite rzeczy, a między innemi stanął w wyobraźni jego obraz, na którym widział Hryneńczanina w siwéj siermiędze i baraniéj czapce, prowadzącego się pod rękę z jakąś rycerską, błyszczącą od złota i kamieni figurą. Prowadzili się i coś ze sobą rozmawiali i zdawało mu się, jakby słyszał jednego i drugiego wyrazy. Jeden i drugi mówili sobie: «Ja taki dobry, jak ty, ja ciebie karmię i odziewam, ty mnie bronisz, uczysz; mój syn będzie tém co ty, a twój tém co-ja,—bądź dla mnie sprawiedliwym i ja będę dla ciebie sprawiedliwym, będziemy się kochali, a gdy będziemy się kochali, będzie... dobrze....»

— Hm!...—powiedział Kuźma do siebie.

A potém, jakby mu jakaś nowa myśl błysnęła w głowie, rzekł w duchu:

— Ot! gdyby to takich jak ja było więcéj, a coraz więcej, to by oni mogli tamtych z tymi zbratać...

I spojrzał na Lisowskiego z takim w oczach wyrazem, jakby chciał mówić:

— Aha!.. teraz dopiero odgadłem ciebie...

Zrobiło mu się jakoś wesoło, rzeźwo, jak temu co błądząc po ciemku, ujrzy raptem światełko, które go do mety zaprowadzić ma.

I gdy tak w wesołych zatopiony był myślach, nagle, tuż obok siebie usłyszał:

— Ach!..

Drgnął całém ciałem, aż koń pod nim podskoczył, bo to «ach!» jakimś znajomym zabrzmiało mu głosem. Obejrzał się. Przy drodze stała w łachmanach żebraczka i do Zaporożców rękę wyciągnęła. Ten rzucił jéj grosz, ów chleba kawałek. Ona stała z wyciągntętą do kozaków ręką, ale oczami Kuźmę ścigała. Gdy Kuźma się obrócił, żebraczka prędko zasłoniła sobie łokciem twarz i odwróciła się, nie pozbierawszy groszów i kawałków chleba, które u jéj nóg na ziemi leżały, i poczęła uciekać.

— Jakaś durna...— odezwał się jeden z kozaków.— Prosi żeby jéj dać, a gdyś dał to na drodze rzuca...

— Już my ją nie pierwszy raz spotykamy....—dodał drugi.

— Jest tego dosyć...—dorzucił trzeci.—Wojna żebraków to niby sieje...

— To prawda...—rzekł Kuźma sam do siebie i pojechał dalej i znów w dumaniu się pogrążył, ale już nie

w tak wesołém, bo mu to «ach!» nadrodze zasłyszane przeszkadzało. Dzwoniło mu wciąż w uszach, niby znajome echo.

Wkrótce dumanie pierzchło. Odpędziły je wody Prutu, Lisowski oznajmił Zaporożcom, że będą się przeprawiali.

— Szablę w zęby! rusznice do góry!.... — krzyknął setnik.

Kozacy przysposobili się, wjeżdżali parami w wodę i na prawy brzeg się przeprawiali.

Prut nie jest szeroka rzeka. Przeprawa przez nią nie trudna, szczególnie latem, kiedy w niektórych punktach jéj łożyska poformują się brody. Cała niedogodność przeprawy w tém się zawiera, że brzegi rzeki są urwiste i nie wszędzie przystępne. Przytém, nie na całéj swojéj długości Prut jednem płynie korytem. Są miejsca, gdzie dzieli się na ramiona i rozlewa w trzęsawiska. Trzeba przeto z góry znać punkta przeprawy.

Kozacy je znali. Przyszli nad Prut i w niespełna dziesięć minut byli już wszyscy na prawym jego brzegu. Konie zmokły, siodła pozamakały, ludzie skąpali się do pasa, ale broń była sucha.

— Mieliśmy z rana gorącą, a o południu zimną kąpiel...—mówili Zaporożcy.

— E!.. nibyto pomarzliście!..—tonem żartobliwéj wymówki odpowiedział im setnik. — Patrzcie-no ich... Jacy mi delikatni!..

Nie było czego pomarznąć, bo woda była ciepła.

— Godzi się koniom dać wytchnąć...—rzekł Lisowski.

— Ta i ludziomby się wypoczynek przydał... — odezwał się któryś z kozaków.

— Ludziom jak ludziom...—odrzekł inny—ale biedne szkapy strasznie zmęczone... Człowiek więcéj jak koń wytrzymać potrafi.

Pozsiadali kozacy z koni i prowadząc je w ręku, pociągnęli, szukając w pobliżu wioski, gdzieby mogli siana i obroku dostać.

Na lewym brzegu Prutu stała żebraczka i smutnie spoglądała za oddalającymi się. Chodziła po brzegu i przypatrywała się nurtowi rzeki, jakby i ona dla siebie punktu przeprawy szukała. Kozacy znikli, żebraczka została.

Popas odbył się ze wszystkiemi wygodami. Konie zostały rozsiodłane, ludzie się porozbierali, nasi rycerze nawet zdjęli z siebie zbroje i postawiwszy na wszelki wypadek czaty, położyli się na słońcu i zasnęli.

Konie jadły obrok i siano, parskały, wyciągały się, a oni spali.

Spali jednym ciągiem przez całe trzy godziny, na jednym boku, a gdy przyszła ta snu chwila, w któréj człowiek na drugi bok się przewraca, pobudzili się.

Zbytecznem, zdaje mi się, byłoby opisywanie szczegółów czyszczenia i siodłania koni, mycia i ubierania kozaków. Dość będzie jeżeli powiem, że w godzinę niespełna setnia wyglądała, jakby nocy nie przespała ani gorącéj i zimnéj kąpieli nie wzięła. Ludzie byli rześwi i wy-

poczęci, konie także, chociaż te ostatnie nieco chudo wyglądały, ale na wojnie inaczej być nie może. Wojna bowiem nie do odpasania koni.

Ruszyła setnia z popasu i pociągnęła dalej. Nic się jéj już takiego nie przytrafiło, coby szczególniéj godném było wzmianki. Poszła ku Jassom, lecz do Jass nie weszła, dla tego, że przewódzcy jéj dowiedzieli się, że o południu miasto zajętém zostało przez Wołochów. Potocki tam był, nie długo bawił, nawet się nie zatrzymywał. Gdzieby się zaś udał, o tém nie można było dowiedzieć się.

Zrozumiał Lisowski, że aby przeprowadzić poruczoną sobie setnię, należało z doliny Prutu przerzucić się na dolinę Seretu, w któréj znajdowały się hetmańskie wojska, z któremi Starosta, jeżeli się jeszcze nie połączył, to wkrótce połączy.

Samo przeprowadzenie nie przedstawiało najmniejszych trudności. Można je było w zupełném wykonać bezpieczeństwie, przez okrążenie Jass od strony północnéj, gdzie nieprzyjaciela nie było. Lisowski jednakże nie tyle o bezpieczeństwie, ile o korzyściach myślał i z téj przyczyny, nietylko mu o przeprowadzenie, ale także o zebranie po drodze przydatnych wiadomości chodziło. Dla tego idąc, starał się tak iść, aby w przeciągu całego marszu wciąż bokiem o Wołochów się ocierać. Dla tego marsz setni odbywał w zygzaki i nieraz kozacy przemykać się musieli cichaczem, bądź pomiędzy obozujące wojska bądź przez zajęte przez nieprzyjaciela okolice.

Dziwnym był spryt, jakim oni w nieznanym kraju, śród gór i lasów się kierowali. Często naraz i dróg i przewodników im zabrakło i oni pozostawali, jak żeglarze na środku morza, którym kompas drogę pokazuje. Ale Zaporożce nasi i kompasu nie mieli. Więc nocą gwiazd a we dnie mchów się radzili i w końcu, ze zdobyczą i językiem, na dolinę Seretu zeszli.

W przechodzie odbyli kilka drobnych potyczek z furażującemi oddziałami Wołochów.

Pomiędzy potyczkami ich godną wzmianki jest jedna tylko, nocna, w której oni przez biwakujący sto razy od nich silniejszy korpus się przerznęli.

Wołochy nie spodziewając się nieprzyjaciela, rozłożyli się wygodnie. Kozakom wypadała droga tędy właśnie, gdzie oni leżeli. Wyczekali więc do nocy i w nocy z razu podeszli cicho a potém ruszyli z kopyta. Zanim się Wołochy opamiętali, oni już byli daleko. Czwałem, drogą, przez sam środek ich obozu przegalopowali i nieprzyjaciel tylko odgadywał, że to Zaporożcy być musieli, bo ich nawet nie widział. Przemknęli jak huragan, zostawiwszy po sobie kilkunastu spisami skłótych a kilkunastu kopytami stratowanych. Naklęliż im za to Wołochy.

Zaporożców Lisowski entuzyazmem ku swojéj osobie napoił. On to bowiem im przewodniczył, on wszystkie sztuki i podejścia wymyślał.

— Hej! panie Lisowski!...—wołali. — Przyjdź na Niz a my ciebie natychmiast atamanem okrzykniemy!... Czyż nie lepiéj tobie być atamanem, niż prostym towarzyszem?...

Jak wodzisz nas teraz po górach i łasach, tak po stepach i morzach poprowadzisz... Posłusznych tobie tysiące spis za tobą pójdzie...

Wiechciastowąsy setnik silnie to żądanie mołojców popierał, mówiąc mu w tym sensie, w którym wieszcz nasz ukraiński o Mazepie spiewał:

— «Lepiéj niżli panów panem
Zaporozkim być hetmanem.»

U Zaleskiego stoi «ukraińskim» zamiast «zaporozkim.» Ale pozwoliłem sobie na tę zmianę, dla wierniejszego oddania słów setnika, który o Nizie, Siczu, Zaporożu rabemu szlachcicowi (tak go bowiem i kozacy przezwali) prawił.

I Kuźma dziwił się, dla czegoby Lisowski nie chciał być od razu hetmanem, a dziwił się tém mocniéj, że mu się niezmiernie ten pochód z Nizowcami podobał i ciężyć mu poczęła pancerna zbroja.

— Czemu waszmość na Niz się nie udasz!..—mówił do szlachcica—Tam waszmości na rękach będą nosili...

— Ale tam...—odparł Lisowski — byłbym tylko atamanem i straciłbym głos, który, jako towarzysz pancerny, posiadam... A mój głos może kiedy jeszcze się na co przyda...

Kuźma zamilkł, bo przypomniał sobie te myśli, których osnowę «ach!» żebraczki mu na drodze przerwało. Przypomniał sobie i to «ach», jakieś takie znane, jakby z pokrewnéj mu wydarło się piersi. Zadumał się i snuł coś, niby pajęczynę, w głowie, i powoli powoli—zbroja mu ciężyć przestała.

Na dolinie Seretu, prędko na opyt o hetmańcach (tak Zaporożce przez Hetmana dowodzony korpus nazywali) natrafili i pod miasteczkiem Bakeo dopędzili wojska polskie, leżące obozem u zbiegu Seretu z Bystrzycą. W obozie zastali już i Jana Potockiego, który w wigilią dnia ich przybycia złączył się z Hetmanem.

Siły polskie były szczupłe, nie przechodzące ilością dwudziestu tysięcy ludzi, licząc w to już około pięciu tysięcy ludzi, zdatnych w razie gwałtownéj potrzeby do boju ciurów, a nie licząc sług i woźnic, takich, których nawet do strzeżenia obozu nie dawało się użyć.

Szczupłemi były siły, ale potężnym wódz na ich czele stojący. To też w szeregach polskich nikt nie pytał się:

— Ile tam jest nieprzyjaciela?...

Bo każdemu, przed tém zapytaniem, nasuwała się sama przez się na myśl odpowiedź:

— U nas jest pan Zamojski...

To znaczyło:

— Niechby tam nieprzyjaciel tak był nie przeliczonym, jak piasek w morzu albo gwiazdy na niebie, to z panem Zamojskim potrafimy mu dać rady...

Dobre snadź musiał mieć i Michaj-woda o Hetmanie Koronnym wyobrażenie, bo, pomimo wielkiéj liczebnéj przewagi sił swoich, starał się z daleka trzymać od niego.

Zamojski, którego w szeregach tytułowano to kanclerzem, to koronnym wielkim hetmanem, to krakowskim panem albo krakowskim starostą, nie naciskał na hospo-

dara. On znał swego przeciwnika, wiedział jakie i jakiéj wartości siły do boju postawić może, i porównawszy je ze swojemi, do tego przyszedł przekonania, że trzeba się starać o jedną walną a rozstrzygającą bitwę, w któréjby hospodar wszystko od razu na szali postawił.

Skutkiem tego przekonania pozwalał mu się cofać i koncentrować, a sam posuwał się zwolna dla tego, aby nie męczyć wojska.

Pewnym był bowiem i siebie i swego wojska. Pewnym był, że największe Michaj-wody siły pogromić zdoła. Wolał więc aż do stanowczéj bitwy oszczędzać swoje, a tylko podjazdami macał nieprzyjaciela, dowiadując się, azali nie ma do boju ochoty.

Michaj-woda manewrował. Starał się Hetmana wyciągnąć na marsze i kontramarsze, a co najbardziéj, na początkowanie będącego pod jego dowództwem korpusu. Zachodził więc i obchodził, puszczał fałszywe wieści, groził, stawiał się, miotał korpusami swojemi na różne strony: — nic nie skutkowało. Hetman fałsz od prawdy umiał rozróżnić, trzymał wojsko w kupie, posuwał się naprzód ostrożnie, ale zawsze naprzód, dążąc ku Fokszanom.

Hospodarowi to było nie na rękę. Za Fokszanami *prawna jego własność, Wołosza się poczynała.* Puścić przeto Hetmana do Fokszan, znaczyło puścić go do własnego domu i pozbawić się podstaw i możności dalszego prowadzenia wojny. Trzeba więc go było tam uprzedzić, trzeba było zastąpić mu drogę i bądź z téj, bądź z tamtéj strony stoczyć z nim bitwę.

Ściągnął tedy hospodar pośpiesznie swoje wojska i ruszył przodem. Zamojski pociągnał za nim, pewnym będąc po skwapliwości marszu Wołochów, że wkrótce nastąpi rozprawa — i wiedział, że nie będzie łatwą, dla tego, że znający się na wojnie przeciwnik miał to za sobą, że dowolnie plac bitwy wybierał. Korzyść więc pozycyi z góry zapewnioną była dla Michaj-wody— korzyść ogromna, wziąwszy szczególniéj na uwagę liczebną jego przewagę.

Jakoż rzeczywiście z korzyści téj wyciągnął Michaj-woda wszystko, co wyciągnąć się dało. Zgromadził wszystkie swoje siły i stanął z niemi nad rzeczką Telezyną nie opodal od miasteczka Tyrguwisztie.

Pozycya Wołochów była doskonałą. Droga, którą Zamojski przyjść musiał, prowadziła przez odkrytą równinę, otoczoną w półkole Telezyną i wznoszącemi się po za nią wzgórzami. Równina była błotnistą, moczarowatą. Moczary utrudniały przystęp do rzeki, która po stronie przez Wołochów zajętéj podmywała urwisty brzeg, nad którym ciągnął się amfiteatr okrytych winnicami wzgórz. Na tych wzgórzach uszykował Michaj-woda wojsko. Tym przeto sposobem, całą swoją pozycyą panował nad błotną płaszczyzną, na któréj rozwijać się musiało wojsko hetmańskie. Nie dość na tém. Po skrzydłach półksiężyca, w jakim wojsko jego stało, posypał mocne okopy, i w miejscach, gdzie podejrzywał że Polacy mogliby przejść, kazał porobić przedpiersia i takowe działami i pieszym ze strzelbą ludem obsadził. Artylerya wołoska rozstawioną

była tak, że ogień jéj z rozmaitych punktów ześrodkowywał się na równinie.

Dziś, przy udoskonalonéj sztuce wojowania, przy pomocy licznéj piechoty, pobicie nieprzyjaciela w takiéj pozycyi byłoby bardzo trudném. W wiekach zaś owych było jeszcze trudniejszém, szczególnie dla Polaków, których główne siły na jeździe zależały. Jak tu jazdę, pod gradem działowego ognia przeprowadzić przez trzęsawiska i nią na urwisty brzeg rzeki, pod góry, szarżować?... To zdawało się niepodobném.

Zamojski też o niepodobieństwo się nie kusił. Uszykował wojsko na skraju płaszczyzny, gdzie grunt był twardy i pokazał Wołochom zamiar przebywania trzęsawisk.

Wołochy na to tylko czekali Michaj-woda, objeżdżając swoje hufce i zatrzymawszy się dla uważania obrotów Zamojskiego, gdy spostrzegł u niego ruch, oznaczający brnięcie naprzód, nie mógł wytrzymać, aby do otaczającéj go świetnéj świty na głos nie powiedzieć:

— *S'au nebunit hatman czel laszesk* (zwaryował Hetman Polski)...

Hetmana i właśni podkomendni o waryacyęby podejrzeli, gdyby nie widzieli zupełnego spokoju, rozlanego na sędziwéj jego twarzy.

Zamojski objeżdżał szyki. Był w pełnéj zbroi i na dzielnym siedział koniu... Koń rwał się pod nim, gryzł munsztuk i ciskał pianą. On jakby go nie trzymał. Nie naciągnięte lejce w ręku mu spoczywały, a koń— zdawa-

ło się — nie munsztukowi ale cichéj a silnej jeźdźca woli się powoduje. Rwał się i zżymał, strzygł uszami i głową rzucał, nozdrza wydymał i ognistym spoglądał przed się okiem — chciałby trzepnąć z kopyta, unieść się jak wiatr, lecz niósł na sobie człowieka, który tego nie chciał. Więc stąpał krok za krokiem przed szeregami rycerzy, zatrzymując się i zwracając, ile razy Zamojski zatrzymać się i zwrócić chciał.

Hetman miał na sobie łuszczkową zbroję. Lekki pancerz okrywał jego postać, na głowie hełm z podniesioną przyłbicą, u boku miecz z drogą rękojeścią. Z ramion spływała mu burka sobolowa, klamrą drogiemi wysadzaną kamieniami pod szyją spięta. Na naczołku hełmu sterczała nie wielka z czaplich piór kitka, ujęta diamentem rubinami otoczonym. Siodło pod nim było aksamitne a nogi opierał na złotych strzemionach i złote miał ostrogi. W ręku trzymał buławę hetmańską brylantami, szmaragdami i turkusami osypaną.

Oblicze Hetmana było piękne — piękne spokojem i powagą, patrzącemi mu z czoła, z oczów i z twarzy. Czoło miał szerokie, bruzdami poorane, oczy dużemi brwiami ocienione, twarz otoczoną siwą, przystrzyżoną brodą, od któréj odbijał również siwy zawiesisty wąs.

Przejeżdżając przed szeregami, zatrzymywał się przed każdą kolumną i po kilka wyrazów zachęty przemawiał. Do Polaków mówił po polsku, do Węgrów, którzy zaciężną piechotę formowali, po łacinie; do Niemców, których także było kilka pieszych rot, po niemiecku. Do swoich mó-

wił inaczéj, do cudzoziemców inaczéj. Husarzom, pancernym i kozakom przypominał ojczyznę, która na nich patrzy i spodziewa się po nich, że honoru jéj nie dadzą wiarołomnemu lennikowi podeptać i naprawią krzywdę, jakiéj wierny Polsce hospodar doznał. Węgrom i Niemcom uderzał w słabą u żołnierzy z professyi stronę honoru wojskowego.

Wszyscy zachwyceni byli Hetmanem, a pomiędzy wszystkiemi najmocniéj może nasz bohater. Ten majestat hetmański zrobił na nim wrażenie takie, jakby żywemi oczami nadziemski jakiś zobaczył majestat. Uczuł się małym i zarazem wielkim; małym — porównywając siebie z Zamojskim, — wielkim — myśląc, że jest Zamojskiego spółpracownikiem. Hetmańska bowiem majestatyczność w całéj swojéj pełni uwydatniała się na tle szeregów, które w milczeniu i gotowości na rozkaz wodza oczekiwały. Wódz przeto i szeregi zlewały się w jedną nierozerwaną całość, stojącą pod kierunkiem jednéj woli i jednego uczucia.

Bohater naszéj powieści wlepił oczy w dziejowego bohatera i nie mógł ich od niego oderwać. Zachwycały go, nie pompa otaczająca Hetmana, nie pyszna, rycerska świta za nim postępująca, ale on sam, jego surowa jakaś a szlachetna powaga.

Hufy polskie stały rozwiniętemi szeregami i tak, że nie wszystkie wystawionemi były na widok nieprzyjaciela. Skrzydła były przed nim zasłonięte — prawe laskiem, który się brzegami moczarów ciągnął, lewe wzgórzami, które

ku Telezynie, ochwytując topieliska ćwierćkołem, zbiegały i dotykały się w przedłużeniu tych wzgórzów, na których uszykowali się Wołochy. Był to, w obrębie placu bitwy, jedyny przystępny dla Polaków punkt, mocno jednakże obsadzony i ufortyfikowany przez Wołochów, którzy z téj strony ataku się snać spodziewali.

Szyk polski ciągnął się w prostéj linii. W przerwie pomiędzy wzgórzami a laskiem, a więc po środku i na widoku nieprzyjaciela, stała piechota ze strzelbą i halabardami. Za nią, w kolumnach, dziesięć pancernych i husarskich chorągwi. Na prawém skrzydle, za wzgórzami, reszta ciężkiéj jazdy, wynosząca drugie dziesięć chorągwi i piętnaście setni zaporozkich. Na lewém skrzydle, za laskiem, sami Zaporożcy. Pomiędzy prawém skrzydłem a środkiem była przerwa, zapełniona dwiema chorągwiami pancernych i sześciu setniami, za któremi długim rzędem ciągnęło się dwanaście jedno za drugiém dział.

Wódz, objechawszy szeregi, wyjechał przed środek, stanął i uważnie począł rozglądać po polu. Z nim był Starosta Kamieniecki, Sieniawski, Kniaź Zbaraski, Chodkiewicze, słowem, wszyscy przewódzcy oddziałów.

Długo, z pół godziny stał Zamojski, i to rozglądał, to zwieszał głowę i myślał. Przewódzcy w milczeniu oczekiwali.

Świetny to był orszak— świetny doborem ludzi i koni i zbroi. Ludzie— każdy niemal z osobna bohater; konie— najlepsze, jakie Arabia i Persya wydać mogły; zbroje— w jakich najpotężniejszy władzca świata wystąpićby

się nie wstydził. W jasnych strojach, jak w zwierciadle, igrały promienie słońca, które z wołoskiej strony nie dawniej jak przed półgodziną wytoczyło się z za gór na horyzont.

Zamojski podjechał do Potockiego.

— Wasza miłościwość... — rzekł do niego powoli — z całem prawem skrzydłem udasz się na prawo, pociągniesz w górę Telezyny i zakrywając się od Wołochów wzgórzami, przekroczysz w sposobnem ku temu miejscu rzeczkę, zajdziesz nieprzyjacielowi z tyłu i z całym impetem uderzysz.... Masz W. M. na to trzy godziny czasu...

— My...— tu powiódł wzrokiem po innych przewódzcach, jakby dla okazania, żeby natężyli uwagę na to co mówić będzie— rozpoczniemy bitwę natychmiast — i będziemy ją wlekli przez trzy godziny, po upływie których całemi siłami na Wołochów ruszymy... I dodał głośniej.

— Na swoje miejsca, waszmoście!...

Natychmiast wszyscy zwrócili konie w rozmaite strony i czwałem się rozpierzchli. Chwilę potem każdy stał już na czele swego oddziału.

Potocki sprawił skrzydło do marszu. Przodem puścił setnią kozaków, za nią chorągwiami pancernych i hussarzy a za tymi resztę kozaków. A gdy tylko się ruszył, przez opróżnione przez niego stanowisko wciągać poczęła artylllerya.

Kuźmie żal się zrobiło za polem bitwy, a szczególnie za Hetmanem, który, niby ów starożytnych bóg wojny stał w jego wyobraźni.

— Toż chyba my się bić nie będziemy...— rzekł do jadącego obok Lisowskiego.

— Jakoś to będzie... Dostanie się i nam...— odparł szlachcic. — Czego waszmość tak drgnął ?...

Zapytanie to ściągało się do tego, że bohater nasz tak się raptem targnął, że aż w siodle podskoczył. Powodem tego był pierwszy wystrzał działowy, który uderzył i gromowym hukiem powietrze wstrząsnął. Po nim nastąpił drugi, trzeci, dziesiąty i razem echa ozwały się grzmotowym grzechotem.

Potocki ze swoimi ciągnął we wskazanym kierunku, a na mokrzydlanej płaszczyźnie wrzała bitwa.

Bitwa rozpoczęła się działowym ogniem. Harmaty strzelały ze skrzydeł— ze wzgórz i z lasku, gdzie w rozmaitych stanęły miejscach, po dwie i po jednej, wychylone paszczami ku nieprzyjacielowi i zarazem zasłonięte od niego gruntu załomami. Ogień ich kierował się na trzy punkta: na przystępne prawe skrzydło nieprzyjaciela, na murowany most, rzymski zabytek, przez który szła droga i na jeden punkt pomiędzy mostkiem a lewém skrzydłem, gdzie śród osoki i zarośli świecił szlak twardszego gruntu. Takie strzelania do jednych i do tych samych punktów były niby ukazaniem nieprzyjacielowi na miejsca, w których go się zamierza atakować.

To też Michaj-woda korzystał z tego ukazania i przeciwko owym trzem punktom najgęściej się ustawił a zarazem z kilkudziesięciu dział rzęsiście odstrzeliwał się polskiej artyleryi.

Trwało to z godzinę. Szkody z obu stron były prawie żadne— ba taki żadne, bo owoczesna artylerya daleką jeszcze była, pod względem doskonałości, od dzisiejszéj gwintowanej. Kamienne kule próżno tylko świstały w powietrzu.

To ozuchwalało Wołochów i otuchy im dodawało.

— Polski Hetman nie śmie nas atakować...— mówiono w ich szeregach.

Tego samego zdania był Michaj-woda. Wydało się mu (bardzo zresztą słusznie), że ponieważ Zamojski nie śmie atakować, więc trzeba go wciągnąć do ataku.

«Wciągnąć do ataku» w owych czasach znaczyło: rozdrażnić przeciwnika, a do rozdrażnienia używano harcowników, halierami zwanych inaczéj.

Po godzinie strzelania, na środek błotnistéj płaszczyzny, drogą przez mostek, wyjeżdżać zaczęli wołoskie haliery i ku szykom polskim podjeżdżali. Pokazywali się po jednemu, najwięcéj po trzech.

— Tchórze Lachy!...— wołali.— A brodate, wąsate i i mordate!... Będziecie wy gubili wąsy uciekając, nie jeden i uciec nie zdoła!... Ot tu, marnie w tém błocie zginie!... A nu! czy nie znajdzie się między wami ani jeden śmiałek, coby się z Wołochem zmierzył!... A, hej, Lachy!.. Tfu na was!... Tchórze!...

Kipiało w Polakach. Przodkom naszym krzywe popatrzenie się krew psuło, nie dopieroż takie głośne i wyraźne wyzywanie.

— Naprzód!..— poczęto wołać z szeregów.

Surowy jednakże rozkaz wodza trzymał wszystkich na miejscu. Rozkaz ten niecierpliwił i aż oburzenie wzbudzał.

Naraz poskoczyli do Hetmana Jan Karol Chodkiewicz i Adam Sieniawski.

— Puść nas, wasza miłość!... — razem zawołali proszącym i drżącym od wzruszenia głosem. — Niech skarcimy tych zuchwalców!...

— Wolę jednego ze swoich Rzeczypospolitéj zachować, niżeli przez jego stratę z tysiąca nieprzyjaciół zwycięztwa nabyć... — odrzekł Zamojski. — Bądźcie waszmoście cierpliwi i dobry z siebie przykład wojsku dawajcie.

Jak zmyci, Chodkiewicz i Sieniawski wrócili na swoje miejsca.

Wołoscy haliery coraz bliżéj podjeżdżali i coraz natrętniéj wyzywali.

Ze strony polskiéj ani jeden harcownik nie wyskoczył. Godzinę przeszło stali Polacy pod ulewą jadowitych pocisków na narodowy honor rzucanych, zwymyślani ohydnie. Cierpliwość ich wystawioną była na takie próby, że jeszcze chwila, a już byłoby się przebrało i ciche szemranie w głośne zamieniłoby się sarkanie, a może i w co gorszego — może w nieposłuszeństwo.

W téj najwyższéj oburzenia chwili raptem uderzono w trąby, kotły i surmy, i radośne «naprzód!» rozległo się w szeregach.

Kolumny się ruszyły trzema drogami — wzgórzami, drogą i laskiem — lecz najsilniejszą była ta ostatnia, zło-

żona całkowicie z zaciężnej piechoty i ze spieszonych Zaporożców. Ona poprowadziła główny atak. Ciężka jazda ustawiła się chorągiew za chorągwią na drodze. Wzgórzami, po większéj części, pociągnęli kozacy. W tym przeto punkcie, gdzie hospodar spodziewał się najsilniejszego naporu, był on najsłabszym. Za temi kolumnami stała rezerwa wyborowych chorągwi, pod dowództwem J. K. Chodkiewicza, pod którego rozkazami byli Piotr Łaszcz, Starosta Lityński i Wacław Bekiesz, spolszczony Węgier.

Główna kolumna śmiało i rezolutnie poszła do ataku. Kozacy przegrzęźli przez trzęsawiska w zarośla i ztamtąd strzelbą razili Wołochów, którzy im gęstym ogniem odpowiadali. Za nimi przebrnęła najemna piechota.

Z zarośli, po twardym już gruncie można było do brzegu rzeki się dostać. Ten więc punkt został seryo zagrożony i na ten zwrócił hospodar główną swoją uwagę. Śziągnął tam pospiesznie wojska, brzeg rzeki najlepszymi obsadził strzelcami, a na łagodnéj pochyłości ustawił liczną jazdę.

Zaroślc zasypywane były kulami z samopałów i strzałami z łuków. Artylerya nieprzyjacielska ześrodkowała na nie swój ogień. Zda się piekło samo zionęło ogniem na polską piechotę, która ustawiwszy się w kilka hufców, naraz niby z pod ziemi wyrosła— wyszła z łoziny i biegiem rzuciła się na Wołochów.— «*Hura-ha!*» kozackie, niemieckie «*Forwärts!*» i węgierskie «*Eliure!*» zagrzmiały wśród huku wystrzałów.

Piesze hufce dobiegły do brzegu rzeczki i raptem rzu-

ciły się wstecz. Wołochy wydali okrzyk radości. Piechota jak prędko dopadła Telezyny, tak prędzéj jeszcze zbiegła w zarośla, usiawszy pole trupami.

Co widząc Zamojski, posłał resztę piechoty i wszystkich kozaków, których można było spieszyć. Wyprawiał ich osobiście.

— Stchórzyli...— rzekł, ukazując buławą na zarośla. — Pójdźcie, powiedzcie im, niech się poprawią, a jeżeli się nie poprawią, to żadnego z nich widzieć nie chcę...

Zabrali się i poszli i w pół godziny później powtórnie piesze hufce biegły przez pole; lecz tym razem już nie wróciły. Przebrnęły rzekę i z pochyłonemi dzidami rzuciły się na Wołochów.

Chwila w któréj one Telezynę przebywały, była chwilą, w któréj Potocki powinien był wykonać dane mu polecenie. Dla tego Hetman całą pchnął piechotę, nie zważając na zbyt wielką przewagę nieprzyjaciela, liczył bowiem, że Potocki nie dopuści, aby ją nieprzyjaciel zgniótł.

I nie zawiódł się. W téj chwili oddział Starosty Kamienieckiego ukazał się na wzgórzu przeciwnego brzegu Telezyny, uszykowany w bojowym porządku i szybko— zapewne kłusem— idący na nieprzyjaciela.

Równocześnie z tém ukazaniem się wszystkie kolumny ruszyły naprzód. Zaporożcy czarniawą skoczyli ku rzece. Ciężka jazda w chór zagrzmiała «Boga Rodzica» i chorągwiami poszła na murowany most.

Nie z łatwością jednakże przyszło zakończyć bitwę. Potocki napotkał silny opór. Wszystkie będące pod nim cho-

rągwie i setnie uderzyły i nie złamały od razu nieprzyjaciela. Jedna tylko pancerna chorągiew, w której był nasz bohater i zastęp dworzan pozostały ze Starostą. Kuźmę to zmartwiło, lecz nie na długo, bo Starosta wydobył raptem kord, świsnął nim w powietrzu i obracając się półciałem do pancernych, zawołał:

— Naprzód!... za mną!...

Pancerni z miejsca zerwali się z kopyta. Pędem poszli za Starostą, który sadząc na koniu z podniesionym do góry kordem o kilkanaście kroków ich wyprzedzał i pierwszy sobą najgęstszy a obchodzący walczących Polaków nieprzyjaciela szyk przebił.

Chorągiew utonęła w gęstwinie wołoskiej. Każdy towarzysz znalazł się osobno i każdy szablą torując sobie drogę, na wszystkie strony od czepiających się go Wołochów opędzać musiał. Szczęk, tentent, krzyki i jęki zlały się w jeden jakiś niekształtny a ogłuszający gwar bitwy.

Starosta po zbroi poznanym był, jako wódz. Na niego też najwięcej ciosów się skierowało. Niektórzy nawet z Wołochów, widując go dawniej i często, poznali go z nazwiska.

— Potocki!...— powstał okrzyk — Bij *tałhara!...*

Otoczyły go szable, dzidy, topory i maczugi; wzniosły się nad nim i zagroziły mu śmiercią. Starosta ze lwią odwagą się bronił, lecz sam tłumowiby nie podołał. Śmierć jego była pewną, bo mu już ręka słabła i pancerz pękł w kilku miejscach i rozbity hełm spadł z głowy. Trzeba było chyba, aby go ktoś zasłonił.

Ta potrzeba ziściła się. Przy Staroście zjawił się niespodzianie towarzysz, przed którym tłum rozsunął się— takie przed sobą koło długim a ciężkim zakreślał koncerzem i tak parł się naprzód koniem.

— Starosto! mój hełm!...— krzyknął towarzysz.

I w tej chwili lewą ręką odszczepnął pod brodą podpinkę, zdjął z głowy hełm i podał go Staroście. Starosta zawahał się.

— Bierz!...— krzyknął towarzysz — bo go cisnę na ziemię!...

Starosta włożył hełm na głowę. Bez hełma pozostał: — nasz bohater.

— Wszystko to w jedno mgnienie źrenicy się stało. Wołochy, niby mszcząc się za wydartą im ofiarę, rzucili się na Kuźmę i na niego ciosy przeznaczone Staroście zwrócili. On ich jeszcze raz rozgonił, zajeżdżając koniem do koła Starosty. Oni znów się do niego zgarnęli. Kuźma się bronił, a broniąc siebie zasłaniał wodza, aż pchnięty, cięty i uderzony kilkakrotnie, zachwiał się w siodle i runął na ziemię.

W tej chwili, z jednej strony ozwało się zaporoskie «hura!» z drugiej zatętniły kopyta. Byli to kozacy, którzy na początku bitwy ciągnęli wzgórzami i rezerwa pod Janem Karolem Chodkiewiczem.

Wołochy pierzchnęli.

IX.

Znanemi są z dziejów skutki bitwy nad Telezyną. Nie mamy przeto potrzeby rozwodzić się nad niemi. Pokrótce więc wspominamy tylko, że zwycięztwo Zamojskiego było zupełném; Michaj-woda utracił i Mołdawię i Wołoszczyznę; na tronie mołdawskim zasiadł Jeremi Mohyła, na wołoskim brat jego Szymon i obydwa hospodarowie uznali się hołdownikami Rzeczypospolitéj. Wołochy i Mołdowianie, którzy dawniéj zaprzysięgli byli wierność Jeremiemu i Szymonowi, a późniéj Michałowi, teraz znów przysięgali przywróconym hospodarom. *Biedny lud— przysięgał i łamał* przysięgi na rozkaz przemocy... To fatalnie wpływało na moralność narodowego charakteru, który po dziś dzień nosi na sobie ślady owych składanych i łamanych przysiąg. Bądź co bądź jednakże, oręż polski tryumfował nad mołdo-wołoskim bohaterem i Zamojski powrócił do Polski, po-

zostawiając na swojém miejscu Jana Potockiego, dla ostatecznego uregulowania interesów.

To opowiedziawszy, powróćmy na pole bitwy.

Wołochy pierzchli; Polacy pościgawszy ich przez parę mil, zatrzymali się i obozem stanęli. Hetman nie pozwolił daléj ścigać, bacząc na to, że to już niepotrzebne: pogrom bowiem, jakiego doznał Michaj-woda, odbierał mu wszelką możność dalszego prowadzenia wojny. Pościg zaś mógł tylko drobniejsze oddziały narazić, w nieznanym kraju, na zasadzki przez oddziały rozbitków, nie dla wojny, lecz dla zemsty i grabieży stawiane.

Na polu bitwy pozostali ranni i trupy.

Trupów było dużo: tysiąc przeszło z wołoskiéj, blisko połowa téj liczby z polskiéj strony. Najliczniejszemi były one na tych miejscach, gdzie biły się piechota i Potockiego oddział. Miejsca te znajdowały się na przeciwległych sobie skrzydłach, oddalone jedno od drugiego całą długością bojowego frontu Wołochów. Pójdziemy tam, na ostatnie.

To ostatnie leżało nie opodal od brzegu Telezyny.

Piérwéj jednakże, nim się w niém rozpatrzymy, powiedzieć musiemy, że w owych czasach pomoc lekarska i ambulansy dla chorych i rannych bardzo były źle urządzone. Dziś one stanowią jedno z najtrudniejszych zadań administracyi nowożytnych wojsk i żadnéj nie ma armii, w któréjby pod tym względem nic już do życzenia nie pozostawało; a cóż dopiero dwieście sześćdziesiąt lat temu... W owym czasie nie zbierano rannych natychmiast

po bitwie. Pozostawiano ich Bożéj Opatrzności i na drugi dopiero, często aż na trzeci dzień, zwycięzca, kazawszy spędzić podwody z okolicy, posyłał chirurgów i ci rozwozili chorych po szpitalach, a ponieważ szpitali brakło, to po kwaterach, po wioskach i miasteczkach, polu bitwy pobliskich, poruczając ich pieczy i staraniu mieszkańców. System ten w swoim kraju mógł się nadać; ale w obcym — często ranni po to tylko pod dach nieprzyjacielski wchodzili, aby zamiast leków i staranności śmierć znaleźć.

W owych jednakże czasach nie umiano sobie inaczéj radzić i złe ztąd wynikające nazywano koniecznėm i jako z takiem godzono się z niem. Znakomitsi tylko ranni, wodzowie, przewódzcy i panowie, przez podkomendnych i sług unoszonymi byli z pola bitwy i natychmiastową dostawali pomoc. Innych zaś wielu kończyło życie jedynie z braku téj pomocy. O rannych nikt, aż do zupełnego uporządkowania się po bitwie, ani pomyślał. Zdarzało się też często, że nim to uporządkowanie nastąpiło, mieszkańcy okoliczni schodzili się, trupów obdzierali a rannych dobijali.

Po bitwie jednakże nad Telezyną nie przyszło do téj ostateczności. Trupy leżały nieruchomie; ranni, jedni siedzieli sami się opatrując, drudzy wpół leżeli stękając i jęcząc, inni drganiem tylko okazywali znaki życia, a byli i tacy, co się czołgali a nawet na nogi stawali i kulejąc ku wodzie się wlekli. Wszyscy, co jeno udźwignąć się mogli, do wody ciągnęli.

— Wody!... wody!...— było pomiędzy niemi ogólne pragnienie i wołanie. Niektórym zdawało się, że jedna kropla uzdrowićby ich mogła. Jest coś instynktowego w tym pociągu chorych, a szczególnie rannych do wody.

Na placu bitwy jedna tylko istota była zdrowa i żywa. Ta chodziła po polu, przypatrywała się rannym, pochylała się nad trupami, a jeżeli który z tych ostatnich twarzą obrócony był do ziemi, na wznak go przewracała. Chodziła bardzo powoli i bardzo pilnie się przypatrywała.

Ranni prosili ją o wodę.

— Jakże wam przyniosę?... — odpowiedziała piérwszemu. — Z garści mi wyciecze, a konewki ani kuflika nie ma...

— Hełm ci za konewkę posłuży...

I ona pochwyciła piérwszy lepszy, leżący na pobojowisku hełm, pobiegła i przyniosła w nim wody.

Ranny podziękował jéj i pobłogosławił za usługę.

Poprosił ją drugi. Ona i drugiemu przyniosła. Toż trzeciemu, czwartemu i piątemu. Każdy jéj dziękował i błogosławił. Aż, gdy szósty zażądał, ona mu odpowiedziała:

— Nie mam czasu...

— Przynieś, hołubko, wody choć kropelkę... umrę bez wody... Za kroplę wody Pan Bóg ci niebem wynagrodzi...— błagał ranny modlitewnym głosem.

Zdrowa istota, która dodać musiemy, była kobietą, zatrzymała się, spojrzała z wyrazem spółczucia na pragnącego, spojrzała potém po sobie, westchnęła i odpowiedziała.

— Nie mam czasu...

I poszła do trupa, nad którym się pochyliłą i długo mu się przypatrywała. Trup był nie do poznania dla tych, co go za życia znali, chyba po zbroi, która była pancerną, bo czaszkę miał roztrzaskaną a twarz potłuczoną i krwią i mózgiem obryzganą. Kobieta przypatrywała się jego twarzy i zbroi i zdawało się niekiedy, jakby poznawała. Wówczas nozdrza jéj wydymały się, a ustami jakby łapała braknące jéj piersiom powietrze. W końcu jednakże powiedziała do siebie:

— Nie on...

I poszła daléj.

Ranny zaś, który ją o kropelkę wody błagał, tymczasem ją klął:

— Bodajby ci nogi pokurczyło! ty, przeklęta wiedźmo!... co chodzisz i urągasz!... co szukasz trupów na to, aby z ich szpiku dla swego kochanka świeczki robić!... Wiedźmo! czarownico!... bodajbyś wraz z kochankiem z pragnienia zdechła!...

Siódmy ranny także jéj o wodę poprosił a ona i temu brakiem czasu się wymówiła i on jéj także sklął. Toż samo ósmy, dziewiąty, dziesiąty i wszyscy, mimo których przechodziła i którym się w oblicza przypatrywała.

— Czego się przypatrujesz, ty, paskudnico!...— zawołał na nią jeden z ciężko rannych. — Nie chcesz mi ust kroplą wody odwilżyć, to weź obuch i łeb mi rozwal.... Rozwal — błagał — kobieto, jeżeli Boga masz w sercu!...

A po chwili słabym dodał głosem:

— Ale u ciebie w sercu nie Bóg a szatan siedzi, bo ty nie masz litości.... Ani kropli litości, a taka młoda!...

Kobieta rzeczywiście była bardzo młodą. Do téj jednakże jéj młodości, żeby ją poznać, trzeba było bardzo dobrze się przypatrzeć: dziwnie bowiem zwiędłą i jakąś niby zmiętą się przedstawiała. Wpatrzywszy się zaś w nią jeszcze lepiéj, pokazywało się że owe zwiędłość i zmiętość były skutkiem zanędznienia; grunt zaś był zdrowy i jędrny. Czarne oczy zachowały cały blask i wyrazistość. Zapadłe policzki nie wydawały chorowitości. Kształty całego ciała były zgrabne, tylko wychudzone i znużone. Z całéj jéj postaci wyraźnie coś mówiło, że gdyby sobie wypoczęła, to wcale inaczéjby wyglądała,— a kto wie, może nawet kiedy i wyglądała inaczéj, kiedy jéj kibić otoczoną była zgrabną krajką lub czerwonym pasem i udrapowaną w cycową spódniczkę i perkalową z połykami i mereżeniem koszulę, kiedy na jéj piersiach korale i paciórki się barwiły, a w kruczych warkoczach przewijały się czerwone kosmyki i wykwitał barwinek z pozłotką, kiedy na jéj ustach i w oczach przemieszkiwał uśmiech. Dziś tego wszystkiego nie było: miejsce krajki lub pasa zajmował konopiany sznurek, miejsce fałdowanéj spódniczki obcisła, w łachmany podarta zapaska, koszula była zgrzebna, brudna i potargana, koralów i paciórek ani znaku,— warkocze były czarne ale skudłaczone i aż w kołtuny zbite, a utrzymywała je jakaś bez koloru wstążeczka i przykrywał gałgan, w kształcie chustki zawiązany. Oczy i usta nie znały, zdaje się, innego jak boleści uśmiechu. Bose

nogi były zdeptane i pokaleczone, jakby po dalekiej i długiej podróży. Skóra na podeszwach i piętach zgrubiała i popękana a ręce niby skorupą były pokryte.

Jeden z rannych Zaporożców poznał tę nieszczęśliwą istotę, kiedy ona mimo niego przechodziła:

— Wody...— zawołał do niéj.— Żebraczko, wody!...

Żebraczka mijała go.

— Jedną kropelkę!...— błagał ją.—Kropelką wody zapłać mi za te grosze, com ci rzucał...

Żebraczka westchnęła głuchym jakimś jękiem.

— Upominasz się o dług...— rzekła.— Ach! gdybyś ty wiedział jak ja nie mam czasu!...

Kozak nie słuchał tego:

— Wody!... — zawołał. — Ratuj mnie!... Bez wody umrę...

— *Kogoż ty szukasz? ty! bisowe dziecko*, co nad umierającym, co cię karmił, litości nie masz?...

Żebraczka podleciała do trupa, który był zwrócony twarzą na dół i przewróciła go.

— Nie on...— szepnęła i szła daléj.

A wyłącznie pancernych wyszukiwała.

Klątwy ją ścigały. Ona szła i szukała.

Aż *raptem zatrzymała* się. *Cała jéj postać niby* w posąg się przemieniła. Oczy słupem stanęły, nogi, ręce, usta zesztywniały;— zdawało się, że krew raptem krążyć w jéj ciele przestała. Stała z wlepionym przed siebie wzrokiem, a promienie jéj oczu oblewały postać leżącego na ziemi bohatera naszego.

Kuźma leżał na wznak. Prawą rękę odrzuconą miał na bok i ściskał nią rękojeść koncerza, którego brzeszczot był strzaskany, lewą przycisnął szyję, snać dla zatamowania krwi, którą obryzgany był pancerz i obwalane palce. Na twarzy miał sińce i krew. Rozrzucone w nieładzie włosy były krwią zlepione. Gdzie czerwonych i sinych plam nie było, tam na obliczu rozlała się bladość. Oczy miał martwe.

Żebraczka stała nad nim. Podniosła rękę i oczy dłonią sobie przetarła, jakby dla spędzenia z nich mgły, która im jasne widzenie zasłaniała. Postąpiła kilka kroków, pochyliła się nad Kuźmą, uklękła i usta swoje z jego ustami spoiła. I nagle— odskoczyła.

— Żyje!...— krzyknęła.

Oczy jéj i twarz zajaśniały nieopisaną radością.

Przez chwilę, w niemém niby zachwyceniu wpatrywała się w Kuźmę i znów zaczęła się tulić do niego. I po cichu, z jéj ust padał co moment jeden i ten sam wyraz:

— Żyje... żyje... żyje!...

Usiadła i przez czas jakiś Kuźmie się przypatrywała. Potém poczęła go lekko targać, jakby w celu rozbudzenia śpiącego:

— Kuźmo!... serce-Kuźmo!... hołubczyku!...— powtarzała.

Lecz Kuźma nie przebudzał się.

Raptem w ręce klasnęła i zawołała:

— Jemu trzeba wody!...

Zerwała się i do koła po placu obejrzała; ujrzała opodal hełm, pobiegła, schwyciła go i pędem do rzeki się udała. W chwilę potém wracała już z wodą, którą niosła ostrożnie, zatknąwszy dłonią dziurę, przez którąby się płyn mógł wylać.

Uklękła obok Kuźmy i na twarz mu wodą bryznęła. Kuźma ruszył się i odetchnął. Żebraczka mu delikatnie hełm do ust przychyliła. Kuźma ruszył ustami i machinalnie wciągnął kilka łyków i otworzył oczy, popatrzył i znów je zamknął. Żebraczce oblicze promieniło ciągłym uśmiechem, a ręce jéj drżały.

Kuźma ciężko westchnął.

— Hołubczyku mój... Serdeńko moje...— przemawiała żebraczka. —Tobie ciężko.

I nagle zawołała:

— Ach!... jemu zbroja ciąży.

I natychmiast, rzuciwszy na ziemię hełm, z którego rozlała się reszta wody. jęła się rozbierać rannego bohatera naszego.

To szło jéj trudno, bo nie umiała się do tego wziąść. Rozpinała sprzączki i klamry palcami i zębami. Spieszyła się, chciałaby je stargać, rozrywać, ale obawiała się przycisnąć, żeby rannemu bolu nie sprawić. Obchodziła się więc z niemi jak można najdelikatniéj.

Samo porozpinanie sprawiło rannemu ulgę. Lżéj odetchnął i otworzywszy dłoń prawéj ręki, wypuścił z niéj rękojeść i zrobił taki ruch, jakby usiłował podnieść rękę. Żebraczka to spostrzegła. Podniosła mu rękę i obok cia-

ła położyła. Kuźma własną siłą lewą rękę od gardła spuścił na piersi i poruszył ją po zbroi. A gdy odjął ją od szyi, pokazała się rana od szczęki przez podbródek, na której krew zakrzepła i poczerniała.

Ujrzawszy tę ranę, żebraczka drżeć poczęła. Snać wydać się jéj musiało, że on ma gardło poderznięte. Boleść zajęła na jéj twarzy uśmiech radości. Klęcząc, patrzyła na Kuźmę i po chwili milczenia wymówiła poszeptem:

— Jeżeli ty umrzesz, to i mnie nie żyć... a póki ty oddychasz, to mnie tobie służyć.

I niby tém pokrzepiona, znów jęła się rozbierać naszego bohatera.

Trudniéj, niż z rozpinaniem klamer i sprzączek, szło jéj ze ściąganiem pancerza i innych części uzbrojenia: musiała bowiem rannego podnosić, dźwigać i przewracać. W tém jednakże Kuźma sam jéj pomagał. Pozbawionym on był przytomności, ale nie czucia: czuł ulgę i podawał się swojéj przez Opatrzność zesłanéj opiekunce i przez to ułatwił jéj ściągnięcie jednéj po drugiéj wszystkich części uzbrojenia.

Ranny wkrótce pozostał w lekkim kaftanie, wzdychał oddychał ciężko, ale regularnie i często, to jedno, to oba oczy otwierał i zamykał, ruszał rękami i ściągał nogi.

Żebraczka nie odstępowała go. Ręce jego i nogi okrywając gorącemi pocałunkami, to klęczała, to siedziała przy nim. Kuźma dźwignął parę razy głowę. Po ruchu tym poznała żebraczka, że mu nisko. Rzuciła się więc

i wkrótce zniosła kilka poduszek z kozackich siodeł, których we mnogości na pobitych było koniach, podłożyła mu dwie pod głowę i podsunęła kilka pod niego.

Ranny coraz więcéj i coraz wyraźniéj znaki życia pokazywał. Najwyraźniejszym było to, gdy otworzył usta i cichym głosem wymówił:

— Wody...

Cicho wymówił, ale żebraczka usłyszała. Zerwała się, jakby ją miną z miejsca wysadziło i aż jęknęła z wielkiéj radości. Ruchów jéj i pośpieszności, z jakiemi hełm porwała i po drugi pobiegła i wody przyniosła, opisać niepodobna. Drżała cała jak w febrze a oczami wyrażała skwapliwość.

Kuźma napił się i oczy otworzył. Tym razem powieki nie spadły mu na źrenice. Lecz wzrok jego był błędny i niby przygasły. Patrzał na żebraczkę bez żadnego wyrazu.

Żebraczka, klęcząc nad nim, trzymała jeden hełm z wodą w ręku a drugi oparty o kamyk. Klęczała przez chwil kilka w milczeniu, poczém machinalnie jęła się obmywać Kuźmę.

Powoli, dalekatnie, wyszukawszy jakiegoś kawał płótna czy chustki, o który na polu bitwy było nie trudno, mocząc go wodą, obmyła bohatera naszego. Obmyła mu twarz, ręce, głowę i szyję, dotknęła się ran jego palcami i przekonała się, że gardło miał całe. Przekonała się zarazem, że głowa jego pałała i z ust, niby z pieca, buchało gorącém. To znaczyło, że bohater nasz miał go-

rączkę i tłomaczyło, dla czego we wzroku jego nie było wyrazu wdzięczności dla opatrznościowej opiekunki; patrzał na nią, jakby jej nie widział i tylko od czasu do czasu wymawiał wyraz:

— Wody...

Za każdym razem żebraczka go napoiła, a gdy hełmy wyczerpnęła, znów pobiegła do rzeki i wody przyniosła i znów Kuźmę myła.

Myjąc, coraz dalej rozpinała mu odzież. Pod kaftanem, na piersi, znalazła jakiś kwadratowy przedmiot, w skórę zawinięty i w pewien rodzaj bocznej kieszeni włożony. Rozwinęła skórę. Pokazał się arkusz papieru we czworo złożony. Ujrzawszy to, prędko żebraczka skórę zawinęła i papier za pazuchę sobie włożywszy, dalej Kuźmę myła.

Rannemu wyraźnie coraz lżej i wygodniej się robiło. Jedno złe, któremu żebraczka zaradzić nie umiała, było to, że krew mu się z ran sączyła, i gdyby tak dłużej potrwało, to sam krwi upływ mógł mu śmierć sprawić. A ran miał dużo. Na samej twarzy i głowie było trzy cięcia i jedno obuchowe uderzenie, na ciele pokazywały się pchnięcia dzid, guzy i sińce, na ręku miał rąbnięcie od berdysza.

Żebraczka trzy godziny przeszło przepędziła sam na sam z Kuźmą i była jedyną zdrową istotą na okrytem trupami i rannymi polu. Wyczerpnęła wszystko, co tylko jako pomoc naszemu bohaterowi udzielić mogła i przyszła chwila, w której pomyślała, że sama nie podoła,

że aby skutecznie rannemu pomódz, należy troskliwość ze sztuką i umiejętnością połączyć. W duszy jéj urodziło się życzenie:

— Oh! gdybyż kto mi poradził i dopomógł!..

I poczęła się modlić. A gdy piérwsze wyrazy modlitwy wymówiła, z oczu jéj, które dotąd były suche, strumieniem popłynęły łzy.

Modliła się do Matki Boskiéj, Jéj pomocy wzywając. Modliła się długo i gorąco.

Prośba jéj snać została wysłuchaną, Bo dał się słyszéć tentent czwałującego konia i na opuszczony plac bitwy wjechał towarzysz pancerny.

Towarzysz zwolnił koniowi biegu i stępem jechał wprost na to miejsce, na którém potykał się oddział Starosty. Jechał on coraz wolniéj, oglądając się na prawo i na lewo i o kilka kroków od Kuźmy zatrzymał się.

Żebraczka, ujrzawszy go, krzyknęła i ręce do niego wyciągnęła i błagalno-radośny wyraz z oblicza i z całéj strzelił jéj postaci.

Towarzysz zeskoczył z konia, który był spieniony i ciężko bokami robił. Postąpił kilka kroków, wpatrzył się w żebraczkę i łagodnym choć nieco zdziwionym zapytał ją tonem:

— A ty, moje dziecko, co tu robisz?...

— Och, nie pytajcie mnie!... — odparła natychmiast zapytana— a ratujcie Kuźmę, bo już ja nie wiem co robić... Krew mu płynie... Jak krew zatrzymać?...

— Żyje?...— zapytał towarzysz.

— Żyje, och! żyje!...— odpowiedziała żebraczka przez łzy, które jéj razem pomieszane żal, radość i wdzięczność obficie z ust wyciskały.

— Towarzysz zbliżył się do Kuźmy i wziął go za puls, i pomilczawszy przez chwilę, rzekł:

— Będzie żył...

— Boże!...— krzyknęła żebraczka i na kolana upadła. Oczy jéj i ręce wzniosły się modlitewnie do góry, ale z ust modlitwa nie płynęła, tylko z całéj jéj biła postaci— modlitwa dziękczynna, która jéj obdartą łachmanami postać jakąś dziwnie piękną i jasną aureolą otoczyła. Zdawało się, jakoby brudna żebraczka przemieniła się naraz w śpiewającego hymn Najwyższemu anioła. Modlitwa ją uskrzydliła, upiękniła, podniosła, uanieliła.

Towarzysz przemówił kilka słów do Kuźmy, a ten mu odpowiedział:

— Wody...

Natychmiast modlitewny wyraz opuścił postać żebraczki a miejsce jego zajęła skwapliwość. Poskoczyła, pochwyciła hełm i nachyliła go do ust pragnącego.

— Myłaś go i rozbierałaś?...— zapytał towarzysz.

— Myłam i rozbierałam...— odparła żebraczka.

— Nie znalazłaś przy nim jakiego papieru?...

— Ot...— odrzekła, podając pytającemu zawitek skórzany.

Towarzysz wziął i schował go w zanadrze.

— Ratujcie go, wasza wielmożność...— prosiła żebraczka.

— Natychmiast przybędą tu tacy, którzy mu skuteczniejszą niż moja pomoc przyniosą: hetmański doktor i chirurg pana Potockiego... Oni go opatrzą... Ale cóż ty tu porabiasz?...— zapytał towarzysz.

— Ja... za nim... póty po świecie chodziłam, aż Bóg dozwolił mi spotkać go wówczas, kiedym mu najwięcéj była potrzebną... O, Boże!... żeby on ino żył...

Towarzyszowi nie stanęły łzy w oczach, bo snać oczy jego ze łzami się nie znały; ale w spojrzeniu jego odmalowały się czułość i uznanie, mówiące:

— Ty anioł...

— Cóż daléj z sobą zrobisz?...— zapytał.

— Nic... chciałabym tylko póty być z nim, póki się nie przekonam, że on będzie żył... chciałabym tylko mu służyć; bo jemu nikt tak jak ja nie usłuży.... a potémbym poszła... poszła, het... bo wiem, że byłabym mu zawadą... Och!... gdybyż się ta wojna skończyła...

Towarzysz, który patrzył na żebraczkę z pewnym rodzajem zachwycenia, odpowiedział jéj:

— Wojna się skończyła...

— To on wróci!...— krzyknęła kobieta.

Towarzysz głową skinął na znak pół-potwierdzenia.

— O! ja tylko chcę być z nim, póki on trochę sił nie odzyska, póki nie pocznie do zdrowia przychodzić... potém pójdę... Ja nikomu nie będę zawadzała...

Gdy tych słów domawiała, pokazali się na polu jezdni, wozy i powozy. Jeden z tych ostatnich, będący dużą, pyszną, ozłoconą kolasą, na pasach zawieszoną, skiero-

wał się ku miejscu, gdzie leżał Kuźma i towarzysz z żebraczką rozmawiał.

Kolasa podjechała, zatrzymała się i z niéj dwóch ludzi wysiadło.

Za kolasą ciągnął wóz, który się za nią zatrzymał i z którego także dwóch ludzi wysiadło.

— Cóż?... jakże, panie Lisowski?... — zapytał jeden z tych, którzy kolasą przybyli — żyje?...

— Żyje...— odparł towarzysz, w którym zapewne domyślny czytelnik Lisowskiego już poznał.

Pytający człowiek wyglądał zupełnie tak, jak podania i sztuka malarska przechowały nam średniowiecznych uczonych. Był niemłody i chudy; długa broda spadała mu na piersi; postać okrywało długie o szerokich rękawach odzienie; na głowie miał przykrycie pół do kapelusza pół do biretu podobne; na nogach trzewiki z klamrami i pończochy,— wszystko czarne. Był to nadworny Zamojskiego lekarz, doktór w kilku umiejętnościach wyzwolony, człek wielce uczony a więcéj jeszcze poważny. Jak się nazywał? — nie wiem. Nie mam pod ręką źródeł, z którychbym się o jego dowiedzieć mógł nazwisku. Wiem tylko, że był Niemcem, oddawna w Polsce zamieszkałym i dla tego z polskim językiem oswojonym. Towarzysz jego, chirurg starosty Kamienieckiego, był Żydem. Dwaj zaś ludzie, którzy wozem przyjechali, byli jeden Niemcem, drugi żydem i pierwszy z nich grał rolę podchirurga a drugi podlekarza, to jest, biorąc tę rzecz ze względu na naro-

dowość, u Niemca doktora terminował żyd a u żyda chirurga niemiec.

Doktór rzucił najprzód okiem na Kuźmę i zapytał:

— A któż go tu już opatrywał?...

— Włócząca się za wojskiem żebraczka...— odparł Lisowski. —Litościwa dusza...

— Tu pół roboty już zrobione...— dodał chirurg.

Doktór przystąpił do chorego z jednéj, chirurg z drugiéj strony. Ten ostatni czekał na skutek diagnozy lekarskiéj, jaką Niemiec rozpoczął. Macał pulsów, oglądał i dotykał się ran, przypatrywał się i myślał;— gdy jednę obejrzał, powracał często do poprzedniéj i miarkował. Szczególnie uwaga jego zwracała się na cięcie po karku i na rąbnięcie po ręku.

— Heu!...— rzekł w końcu— śmiertelnéj nie ma żadnéj, ale są ciężkie... Ot ta— pokazał na szyję, zwracając się do pomocnika i kładąc instrument w ranę— gdyby poszła tak, to przecięłaby arteryę i upływ krwi sprowadziłby śmierć... Ta to samo....— dodał ukazując na rękę.— Ta...— i ukazał na pchnięcie w bok— powinna była pójść niżéj...

I wysypał mnóstwo technicznych wyrazów, odnoszących się do *anatomii i fizyologii*, a mających znaczenie lekcyi danéj uczniowi, który go z natężoną słuchał uwagą.

— Ponieważ żadnéj z ran— ciągnął— nie ma śmiertelnéj, przeto upływ krwi sprawił osłabienie, a z tego ostatniego wynikła gorączka, zwana...

Nazwał gorączkę i prawił:

— Chory zatem wymaga podwójnego ratunku: chirurgicznego i czysto medycznego... Pierwszy powinien leczyć rany, drugi, wewnętrzny organizm, ale trzeba to tak urządzić, aby jeden drugiemu nie przeszkadzał... Przeszkodą zaś byłyby, gdyby jeden wzmacniał, wówczas gdy drugi będzie osłabiał... Wzmacnianie niszczyłoby osłabienie i wzajemnie, i w skutku otrzymałoby się zero, które choremu żadnéj nie przyniosłoby ulgi i od śmierci go nie uratowało... Organizm jego byłby pod wpływem dwóch nieprzyjaznych sobie systemów... Należy więc je pogodzić...

Długo jeszcze uczony doktor prawił. Otaczało go grono słuchaczów.

Co on prawił, tego w całości powtarzać nie mogę, obawiając się, abym przez powtórzenie obcéj mi zupełnie rzeczy, nie strzelił jakiego bąka i nie ściągnął na siebie oburzenia lekarzy. Opowiem raczéj z kogo audytoryat się składał.

Oprócz lekarskiego ucznia, chirurga, jego pomocnika, Lisowskiego i stojącéj u nóg Kuźmy a usiłującéj zrozumiéć niezrozumiałe dla siebie rzeczy żebraczki, grono otaczające Kuźmę składało się z połowy starościńskich, kilku hetmańskich i po parę każdego pana dworzan. Zjechali się oni, z koni pozsiadali i Kuźmę otoczyli. A każdy świéżo przybywający dopytywał się troskliwie:

— Jak się jegomość pan Jeż ma?...

Kilku z nich, dowiedziawszy się, że Kuźma żyje, i że jest nadzieja zachowania go przy życiu, pędem oddaliło się z pobojowiska.

Tymczasem skończył doktór swoją gadaninę i wydał rozkazy chirurgowi, który z szarpiami i plastrami wziął się natychmiast do bandażowania i niespełna w półgodziny bohater nasz wyglądał jak mumia egipska, tak głowę i ciało miał raz koło razu obwinięte.

Kolasa, którą lekarze przyjechali, była przysłana dla niego. Po skończeniu chirurgicznego opatrzenia, poskoczyli dworzanie i wzięli Kuźmę na ręce i ostrożnie położyli go na poduszkach i materacach. Chirurg usiadł obok niego, a lekarz pozostał na pobojowisku.

Gdy podnoszono Kuźmę, Lisowski podszedł do żebraczki, która wszystkim tym troskliwym staraniom z niemém przypatrywała się zadowolnieniem, i po cichu ją zapytał:

— A ty?...

— Ja pójdę zdaleka...— odpowiedziała po cichu.— O, Boże! jaki ty dobry!... Ja nie potrafiłabym go tak pielęgnować, jak ci panowie go pielęgnują... Jak oni go kochają!...

Ostatni wyraz z dziwnym jakimś z piersi jéj wydarł się akcentem.

W téj chwili zamykano drzwiczki od karety, która odwozić miała Kuźmę. Lisowski postrzegł to i zawołał:

— Poczekajcie!... Jest tu ktoś, co jegomość panu Jeżowi wielką oddał usługę, co go najpierwszy opatrzył i przez zdjęcie uciskających go żelaz, życie mu, rzec można, uratował... Ten ktoś ślubował doglądać chorego i jako jedyną nagrodę, żąda, aby mu wolno było pielęgno-

wać jegomość pana Jeża... Nagrody téj nie można mu odmówić...

Oczy wszystkich błysnęły wyrazem pytającym, jakby dla dowiedzenia się:

— Któż to?...

— Oto ten ktoś... — rzekł Lisowski ukazując na żebraczkę.— Te najpierwsze starania, którym doktorzy się dziwili, były jéj dziełem... Proszę przeto, żeby téj bogobojnéj duszy wolno było jegomość panu Jeżowi towarzyszyć...

Prośba ta zwracała się głównie do uczonego doktora.

Doktor namyślił się i w odpowiedzi rozpoczął traktat o pielęgnowaniu chorych, za pomocą którego, zostawiwszy rozmaite *pro* i *contra*, postawiwszy *premissa* i z tych wyciągnąwszy kilka wniosków i jednę *ogólną* konkluzyę, do tego przyszedł rezultatu, że pielęgnowanie chorego najlepiéj jest poruczyć kobiecie.

— Która— tak kończył— pod względem umysłowym, co się najdowodniéj z formacyi jéj czaszki i z dyspozycyi niektórych organów pokazuje, daleko niżéj stoi od mężczyzny i według zdania bardzo poważnego, według jednego z najpoważniejszych w świecie uczonym autoritetów, uważaną być powinna jako niższego rzędu kreatura; jednak żywość jéj uczucia i wrodzona téj istocie tkliwość, pozwala użyć ją do pielęgnowania chorych... Wprawdzie żywość ta i tkliwość bywają niekiedy szkodliwe i dla tego potrzeba, aby nad nimi dozorował rozum lekarski...

Ta kobieta— tu ukazał palcem na żebraczkę— może towarzyszyć imćpanu Jeżowi.

Żebraczka jednym susem wskoczyła do karety, nie podziękowawszy ani Lisowskiemu, ani doktorowi. Nie obrazili się wszakże za to ani jeden, ani drugi. Lisowski nie wymagał podziękowania a doktor nie zważałby na nie.

Kareta ruszyła i potoczyła się powolnie. Konie noga za nogą postępowały. Dworzanie wsiedli na koń i z porządku wszyscy obok kolasy jechali, formując niby honorową eskortę, lecz po wyjechaniu z pobojowiska, większa ich połowa ruszyła przodem. Pozostało kilkunastu a było ich do stu. Z pozostałymi jechał i Lisowski. Ci rozmawiali o wypadkach minionego dnia.

Wewnątrz kolasy siedząca grupa tak się ułożyła. Pośrodku pół-leżąc, siedział Kuźma. Obok chirurg, który wcisnąwszy się w kąt, zadrzemał. Naprzeciwko Kuźmy żebraczka. Ta nie spuszczała z bohatera naszego oka i często, to mu coś poprawiała, to go podtrzymywała, to podkładała pod niego ręce, to, gdy chirurg oczy zamykał, ręce i nogi chorego okrywała pocałunkami.

Dla czego tak licznie zjechali się dworzanie, i tego, którego od razu nie lubili, a potem podejrzywali o najszkaradniejszą zbrodnię, otoczyli raptem troskliwością?

Na zapytanie to nie moglibyśmy odpowiedzieć bez cofnienia opowiadania naszego o parę godzin wstecz i przeniesienia się z bojowiska do obozu.

Jak tylko obóz został rozłożonym, natychmiast przewódzcy oddziałów udali się do Hetmana ze sprawozdania-

mi z odbytych czynności. Zamojski nie lubił, aby takie sprawozdania zwlekano lub odkładano. Kazał je sobie jak najprędzéj podawać i wymagał, aby obok wymienienia ogólnych czynności, wyszczególniano czyny pojedyńcze, zasługujące na naganę lub pochwałę, na karę lub nagrodę.

Słuchał więc rozmaitych raportów, a na ostatku najważniejszego, bo starościńskiego.

Starosta opowiadał o ruchu swego oddziału, o przeszkodach jakich doznał, o sposobach, jakiemi przeszkody usunął, o zbliżaniu się do wołoskiéj armii, o tém— na co przycisk położył— że jego marsz nie był do samego ostatka tajemnicą dla nieprzyjaciela i z téj przyczyny taki silny znalazł opór, o szyku jakim atakował, o zwarciu się i zakończył opowiedzeniem czynu towarzysza pancernéj chorągwi, imćpana Jeża:

— Któremu— były ostatnie jego wyrazy— zawdzięczam życie...

— Któremu — podchwycił Zamojski — ojczyzna zawdzięcza zachowanie jéj takiego męża jak waszmość, panie Starosto...

Pomiędzy słuchaczami — a byli to sami Tęczyńscy, Zbarascy, Chodkiewicze, Sieniawscy, Wiśniowieccy i im podobni— rozległ się szmer uwielbienia.

— Cóż stało się z imćpanem Jeżem?.... — zapytał Hetman.

— Widziałem, jak padł...— odparł Starosta— ale nie jestem pewny, czy zginął...

— A to o tém natychmiast trzeba się dowiedzieć!..— zawołał Hetman podniesionym głosem. — Nie żyje, czy żyje, taka cnota nie powinna pozostać bez nagrody...

Jan Karol Chodkiewicz a za nim inni poparli słowa Hetmana, pomimo że te, jako przez Zamojskiego wygłoszone, nie potrzebowały poparcia. To jednakże jednogłośne przez panów uznanie cnoty Kuźmy sprawiło to, że dworzanie podnieśli ją do najwyższéj potęgi. W mgnieniu oka Kuźma urósł na niepospolitego bohatera, szczególnie gdy dowiedziano się, że Hetman własną po niego kolasę i własnego poseła lekarza. Wszystkie usta zabrzmiały pochwałami Jeża a dworzanie kazali co prędzéj podawać sobie konie, żeby dowiedzieć się: czy żyje lub nie, czy zdrów, i w jakim stopniu niebezpieczeństwo mu zagraża?— Nim się jednak wybrali, Lisowski uprzedził ich, bo temu chodziło o dokument, który Kuźma w zanadrzu nosił. Dla czego mu o to chodziło? — o tém może dowiemy się później.

Tryumfalnie wjechał nasz bohater do obozu. Na spotkanie jego wyszedł tłum, złożony z rozmaitego rodzaju i stopnia rycerstwa. Byli tam hussarze, pancerni i kozacy, prości towarzysze, dworzanie, rotmistrze, pułkownicy i przewódzcy, starostowie i wojewodowie, wszyscy uprzedzeni już o tém, że żyje, tylko ciężko jest ranny. Kolasa zatrzymała się przed namiotem Hetmana i ten osobiście wyszedł do rannego, dla którego własny namiot rozkazał przygotować.

— Co to za kobieta?..— zapytał, zajrzawszy do karety.

Lisowski, stojący umyślnie tuż obok, opowiedział z jakiego tytułu żebraczka towarzyszy naszemu bohaterowi.

Pospieszył dla odwiedzenia go i Starosta Kamieniecki i Chodkiewicze, Sieniawscy i inni.

Z kolasy zniesiono go do namiotu, gdzie na bogatém złożono posłaniu. Chirurg był przy nim nieodstępnie. Wieczorem odwiedził go doktor, a w nocy, którą chory przepędził spokojnie, czuwała nad nim żebraczka.

Nazajutrz rany jego zostały przewinięte, w obecności doktora, który przepisywał dla niego lekarstwa. Kolasa hetmańska zaszła, znów w niéj Kuźmę umieszczono i dodawszy mu chirurga, wyprawiono pod silną Zaporożców eskortą do Jass. Przewódzca eskorty wiózł pismo hetmańskie do samego hospodara, którém Zamojski prosił uprzejmie o gościnność i staranność «dla imćpana Kuźmy Jeża, który — tak w piśmie stało — dał dowody szczególnéj odwagi i zasłużył się tak waszéj hospodarskiéj mości, jak Rzplitéj.»

W obozie o niczém tylko o Kuźmie była mowa. Chwalono jego cnotę i zastanawiano się nad jego rodem. Piérwsza była uwielbianą i wysoce podnoszoną. Co się zaś tyczy tego ostatniego, to powstały niejakie wątpliwości, a to z tego powodu, że najbieglejsi w heraldyce nic o rodzinie Jeżów herbu Jeż nie wiedzieli.

Hetman, Starosta i cała w ogólności starszyzna, w następujący sposób wątpliwość tę rozwięzywali:

— Jeżeli imćpan Jeż nie posiada szlachetnych przod-

ków, to nic nie przeszkadza, aby sam był przodkiem swego rodu.

Za starszyzną wszyscy się na to zgodzili.

Hetman kazał sekretarzowi swemu wygotować dyplom, poświadczający cnoty Kuźmy. Dyplom ten, albo raczéj *testificatio*, podpisanym został przez Hetmana i całą starszyznę i wręczonym Janowi Potockiemu na to, aby gdy Kuźma wyzdrowieje, wręczył mu go Starosta, jak można najuroczyściéj, na przykład dla innych i pamiątkę dla potomności. Jeżeliby zaś pokazało się, że Kuźma nie jest szlachetnego pochodzenia, to na podstawie tego świadectwa podejmował się Zamojski wyrobić mu u Króla szlachectwo. Samo wszakże to *testificatio* dostateczném już było uszlachceniem, na potwierdzenie którego wymagało się w owych czasach poświadczenia dwunastu obywateli, z których każdy byłby *possessionatus et bene natus*. Ono zaś *testificatio* okrytém było więcéj niż dwunastu podpisami i to jeszcze jakiemi.

Gdy to działo się w obozie, bohater nasz, niewiedzący o niczém, ani niczego się nie domyślający, obandażowany i chory, doglądany przez chirurga i żebraczkę i nie umiejący pierwszego od drugiéj odróżnić, ciągnął powoli do Jass, gdzie przybył trzeciego dnia po wyruszeniu z obozu. Setnik udał się natychmiast do hospodara z hetmańskiem pismem. Hospodar wysłał wielkiego logoteta, z rozkazem, aby dla walecznego lackiego rycerza, tak przez Hetmana poleconego, najlepsze w miescie wyszukać i dać pomieszkanie, a zarazem własnemu doktorowi kazał mieć o

nim staranie. Logotet uważał za najlepsze do swego wziąć go domu, który był jednym z najpiękniejszych i najwygodniejszych w Jassach. Przez to bowiem zadość czynił rozkazowi księcia i zarazem miał nadzieję zaskarbić sobie łaski Hetmana.

Pociągnęła więc kolasa do pałacu logoteta i zatoczyła się na podwórzec, gdzie liczna oczekiwała służba. Z karetą weszła i zaporoska setnia. Podwórzec napełnił się ludźmi i końmi, zamieszaniem i zgiełkiem, śród którego nie dostrzeżono, jak wraz z chorym wysiadła z karety żebraczka i wcisnęła się za nim na pokoje i w komnacie, gdzie go na wygodném, osłoniętém kotarami łożu złożono, za kotarą stanęła. Stanęła i— jeżeli tak się wyrazić godzi— duch w sobie przytaiła, zdziwiona i obałamucona wystawnością i przepychem na pół po wschodniemu urządzonego dworu. Nikt jej nie spostrzegł póty, póki zamieszanie się nie uspokoiło, kozacy nie odeszli, kareta nie odjechała i logotet w towarzystwie hospodarowego lekarza nie przyszedł do chorego.

— A to co?... co ty za jedna?...— groźnie krzyknął mołdawski bojar, ujrzawszy ukrytą za kotarą żebraczkę.

— Jakaś złodziejka...— rzekł na to lekarz— która korzystała z zamieszania...

— Hej!...— zawołał logotet i klasnął w dłonie.

Na ten odgłos kilku niewolników wbiegło do komnaty.

Wziąć ją, i wygnać!...

Słudzy poskoczyli do żebraczki. Ta napróżno chwyciła się rękami łoża. Oderwali ją. Napróżno odwoływa-

ła się do pozwolenia Hetmana. Nie słuchano jéj. Nie krzyczała, przez wzgląd na chorego, tylko po cichu prosiła, ale na prośby nie zważano. Niewolnicy ją porwali i na rękach prawie z izby wynieśli; tam daléj powlekli i literalnie rozkaz pański wykonali, zaprawiając go wszystkiemi dodatkami, na jakie służebnicza podłość zdobyć się jest w stanie. Wygnali na podwórze i psami poszczuli, które litościwszemi okazały się od ludzi, bo kiedy żebraczka wśród nich upadła, one szczekały na nią, ale jéj nie kąsały.

Zbita, okrwawiona, poszarpana wywlokła się nieszczęśliwa istota za bramę i na bruku usiadła. Nie skarżyła się, nie jęczała ani nawet płakała, tylko cierpienie wyryło się na jéj twarzy. Usiadła, zwróciła na pałac oczy i chciała, zdaje się, niemi mury przebić i do środka zajrzeć. Po upływie kilku chwil wstała i poszła, lecz znów się wróciła. I tak po kilkakrotnie odchodziła i wracała się, a zawsze pilnie pałacowi logoteta się przypatrywała.

Noc przepędziła na ulicy. Poranek znów ją przed pałacem zastał i przed nim dzień jéj upłynął. Odchodziła, ale nie na długo. Rzucił jéj kto grosz lub chleba kawałek i to jéj na cały dzień wystarczało. Jakaś nadludzka siła przykuwała ją do miejsca, w którém był Kuźma.

W dniach następnych poczęła pałac obchodzić do koła.

Przypominała ona sobie dokładnie, że Kuźmy ani na pierwsze, ani na drugie piętro nie niesiono, lecz złożono go na dole, w komnacie, któréj-położenie przeciwległém było głównemu wchodowi. Więc komnata ta musiała być

na dole domu. Obeszła więc pałac i dowiedziała się, że tył onego wychodził na ogród murem otoczony i gęsto, o ile przez mur zajrzeć mogła, drzewami zarosły.

— Gdybym mogła dostać się do ogrodu i pod sam pałac podejść, to byłabym bliżéj Kuźmy, jak z ulicy...— powiedziała do siebie.

Od chwili tego powiedzenia, *myśl dostania się do ogrodu stała się dla niej konieczną potrzebą*. Chodziła, oglądała, wspinała się, aż pewnéj nocy wdrapała się na mur i skoczyła.

Mur ten nie jednakowéj był wysokości zewnątrz i wewnątrz. Zewnątrz był wysoki, wewnątrz nizki. Pochodziło to ztąd, że ziemia w ogrodzie była nasypaną, a do tego wzdłuż muru szła terassa dla widoku jaki się z niéj odkrywał. *To* wielkiém *było* dla żebraczki szczęściem, bo myślała ona, jak się do środka dostać, ale— jak się wydostać— o tém nie pomyślała.

Dostawszy się do ogrodu, zrobiło się jéj zrazu straszno. Dopiero przyszło jéj na myśl:

— A nuż zajrzy mnie kto i złapie!...

Mróz poszedł jéj po za plecy i poczęła się oglądać i słuchać.

Ciemno było i cicho. Tylko listki lekko poruszane szeleściły tajemniczym jakimś poszeptem.

Żebraczka, postawszy przez chwilę, poszła naprzód i wkrótce ujrzała przed sobą bielejącą na tle nocy tylną ścianę pałacu, a na téj ścianie czerniały trzy jeden na

drugim szeregi okien. We wszystkich oknach było ciemno, tylko w jedném się świeciło.

— On tam być musi...— szepnęło jéj przeczucie, ów głos tajemniczy często w nas się odzywający, który ludzi niekiedy niby za rękę prowadzi.

Podeszła lekko do okna, przyłożyła twarz do szyby, zajrzała i przekonała się, że przeczucie jéj nie zawiodło. Była to ta sama komnata, z któréj ją tak nieludzko wywleczono. Pośrodku, w jakiémś szerokiém a błyszczącém naczyniu, stała alabastrowa lampa i bladém, łagodném światłem oświecała wnętrze, w głębi którego stało łóżko kotarą zasłonione.

— Tam on... mój hołubczyk... mój sokolik— mówiła poszeptem żebraczka i do szyby się tuliła i od okna oderwać się nie mogła.

Ktoś wszedł. Ona odskoczyła. Lecz zbliżywszy się znów ostróżnie, widziała jak ten ktoś poszedł do łóżka, odchylił kotarę i ona Kuźmę ujrzała. Wydał się jéj blady, jak marmur. Nie spał, bo człowiek co wszedł lekarstwem go poił i niektóre z jego ran przewijał.

— Ach! czemuż to ja tego nie robię... Jabym nigdy w nocy oka nie zmrużyła...

Chirurg, skończywszy przewijanie, powiedział tak głośno, że aż żebraczka usłyszała:

— Niech wasza wielmożność nie rusza się i nie mówi, bo ruch i mowa zarówno szkodzą... Jeszcze kilka dni cierpliwości, a wasza wielmożność będzie mógł wstawać...

Żebraczka ani jednego z tych wyrazów nie uroniła.

Chirurg, zasłoniwszy kotary, wyszedł. Ona pozostała. i stała jeszcze długo, długo, aż do świtania.

Lampa wciąż paliła się jednakowym blaskiem. W komnacie i całym pałacu było cicho i tylko nierówne oddychanie chorego się rozlegało i sobą zdawało się, cały pałac, całą atmosferę napełniało.

Żebraczka nie myślała o odejściu. Ona przylepiła się do okna i wsłuchiwała w oddech, i kto wie. czy nie naraziłaby się na powtórne, zapewne bardziéj jeszcze nieludzkie obejście się ze sobą służby logoteta, gdyby nie— koty.

Raptem jękło jéj coś nad głową i zajęczało boleśnym ludzkim głosem. Żebraczka odskoczyła od okna. Jęk się urwał, lecz znów boleśniej się powtórzył, przeszedł w inny jakiś głos, zapiszczał, zamiauczał i naraz coś jéj u nóg padło, parsknęło i potem niby zachichotało.

Odrętwiała żebraczka ze strachu, przysiadła na ogrodowéj murawie, lecz powoli przychodziła do siebie i przyszedłszy, rzekła:

— To koty...

I oglądnąwszy się po niebie, postrzegła brzask jutrzenki. Więc dodała:

— Czas już iść...

Ale się jeszcze raz do okna wróciła i popatrzywszy przez chwilę, westchnęła i odeszła.

Tak przychodziła ona co nocy. Co nocy oko jéj czuwało nad chorym za kotarami ukrytym. Dnie zaś spędzała na krótkim śnie za miastem, na przechądzce po uli-

cach za jałmużną i na staniu przed wrotami pałacu. Po kilku tygodniach takiego życia, doczekała się przyjścia wojsk polskich pod dowództwem pana Potockiego i widziała, jak rycersrwo jeździło i chodziło do pałacu logoteta.

Raz oko w oko spotkała się z Lisowskim.

— Ty nie przy Kuźmie?... — zapytał ją z akcentem *zdziwienia*.

— Nie...— odpowiedziała, ale w tém «nie» zabrzmiała radość z ujrzenia człowieka, z którym przecie po ludzku mogła się rozmówić.

— Czemuż-to?..

Żebraczka odpowiadała, tak jednakże, żeby istotnéj nie wyjaśnić przyczyny i temi słowy zakończyła:

-- Ale ja go widuję, często, co dnia go widuję.... *Tam go doglądają i starają się o niego*... Powiedzcie mi wasza wielmożnosć— proszącym dodała tonem — czy on prędko będzie zdrów?...

— Jeżeli go widujesz, to musisz o tém wiedzieć...

— O! ja go widuję, ale zdaleka...— podchwyciła żebraczka— i spytać go nie mogę...

— Będzie zdrów... już wstaje...— rzekł Lisowski.

— Już *wstaje!...— zawołała radośnie żebraczka...*— Ach! mój Boże!... gdybym też go mogła stojącego, albo choć przynajmniej siedzącego widzieć...

— Chodź!— rzekł szlachcic i już się puścił ku pałacowi, lecz raptem się wstrzymał:

— Nie!... nie można... Twój widok, w takich zwła-

szcza łachmanach, zrobi na nim takie wrażenie, które może mu zaszkodzić...

— To nie pójdę, kiedy nie można...— tonem rezygnacyi powiedziała żebraczka.

— Zróbmy tak...— przerwał Lisowski— ja go uprzedzę, a ty się przebierz w co lepszego...

— A w cóż ja się przebiorę?...

— Ja ci ułatwię... Tu w sklepach dostanie wszystkiego... Najmę ci jaką izdebkę... Odpoczniesz trochę i z biedy się otrząśniesz...

— Nie, nie chcę...— odparła stanowczo żebraczka.— Ta nędza, to moja obrona od napaści złych ludzi.... Kto nędzarkę zaczepi!.... Tych łachmanów ja nie zrzucę aż w domu...

Lisowski popatrzył na nią z wyrazem rozczulenia i po chwili zapytał:

— A kiedyż do domu powrócisz?...

— Kiedy?...— odparła.— Czy już wojny nie będzie?..

— Nie...— odpowiedział Lisowski.

— O!... abym go tylko chodzącego widziała, to zaraz powrócę...

— Tyś się tak namarnowała...— rzekł szlachcic.

— Gdzie tam!... Ot, gdybym się była nie marnowała, to w mogilebym już spała... Bo ja nie mogła żyć, myśląc o tém, że on gdzieś po świecie za śmiercią goni.... Mnie z tęsknoty i żalu serce byłoby pękło... Ja odżyła dopiero, kiedym go zobaczyła...

— To wrócisz, jak będziesz widziała, że już chodzi?.. —zapytał Lisowski.

— Wrócę...— odparła żebraczka stanowczo...

— Poczekajże przed bramą pałacu i patrz na podwórzec....

To rzekłszy, poszedł Lisowski do pałacu logoteta i po upływie nie więcéj jak pół godziny, wyszedł, a z nim Kuźma.

Żebraczka stała za wrotami, przytuliwszy się do muru i głowę wychyliwszy. Śledziła każde stąpienie, każdy ruch Kuźmy.

Lisowski prowadził go pod ramię. Niewolnicy nieśli za nim szezlągi i poduszki. Kuźma postępował noga za nogą i co kilka kroków podstawiano mu szezląg i on usiadał. *Wyszedł na murawę, która regularném kołem* na środku podwórza, jak przetykany kwiatami kobierzec się rozściełała, i tam usiadł. Żebraczka mogła go widzieć dokładnie. Był blady i obandażowany. Słyszała jego mowę. Odpowiadał Lisowskiemu, który mu pytania zadawał.

— Więc waszmość czujesz się lepiéj?..

— Lepiéj... *coraz lepiéj...*

— Siły waszmości wracają?...

— Wracają... alem jeszcze bardzo osłabiony.

— To upływ krwi tak waszmości osłabił...

Kuźma głową skinął.

— Jak ozdrowiejesz to do Hrynenek pojedziesz?...

Chory się uśmiechnął, a żebraczka słuch wytężyła i następujące do jéj ucha doszły wyrazy:

— O! gdybym ino prędzéj ozdrowiał.... Chciałbym widzieć ojca i matkę i...

— I kogo jeszcze?...— dopytywał się Lisowski, spoglądając z podełba ku bramie.

— I... moją narzeczoną Jerynkę...

Żebraczce łzami oczy wezbrały a uśmiech rozpromienił jéj oblicze.

— To dziwne!...— ciągnął chory powoli.— Czy uwierzysz waszmość... że mnie się zdaje... że ona przy mnie była podczas choroby...

Lisowski znów spojrzał ku bramie. Żebraczka płakała i śmiała się.

— Jakbym ją we śnie widział...— ciągnął daléj a coraz słabiéj — jakbym jéj głos słyszał.... jakbym jéj pocałunki czuł.... To dziwne!.... A przecież to tak było wyraźnie...

— Mowa waszmości morduje...— rzekł Lisowski.

Kuźma zamilkł i rzucił okiem ku bramie. Żebraczka za mur się schowała.

Pół godziny z górą siedział Kuźma na murawie, ale nie mówił. Przez cały ten czas żebraczka nie odstępowała bramy.

W końcu Lisowski odprowadził go do wnętrza pałacu a gdy wyszedł, już więcéj nie spotkał się z żebraczką. Ona szła— nie szła, biegła— drogą do Prutu prowadzącą.

Kto ona była?— zdaje mi się, czytelnik już dawno się

domyślił. Z tą domyślnością czytelników wielki dla pisarza kłopot a szczególnie dla takiego jak ja pisarza, co nic a nic na powieściowéj nie zna się architektonice. Lepiéj mi podobno było od razu do jéj imienia się przyznać, nazwać ją jak się nazywała — Jerynką, wnuczką starego Semena — i opowiedzieć, jakim sposobem przyszła ona do żebractwa i na telezyńskiém pobojowisku się znalazła. Żem tego dawniéj nie opowiedział, więc zmuszonym się widzę cofnąć o parę miesięcy chronologiczny rozwój powieści.

Jerynka odważnie, jak widzieliśmy, wyprawiła kochanka w świat. Lecz rozstawszy się z nim, zrobiło się jéj tak tęskno, a tęsknota jéj tak z dniem każdym rosła i potęgowała się, że ojciec i matka, dziadek i babka, mielnik i mielniczka i cała wieś postrzegli i pytali ją:

— Co tobie, Jerynko?...

— Nic...— odpowiadała im wszystkim dziewczyna.

To «nic» jednakże nie dawało jéj ani spać, ani jeść i trawiło ją, jak choroba. Rumiane jéj policzki bladły, pulchne ciałko opadało i schło, cera żółkła.

— Co tobie Jerynko?...— dopytywano jéj się z naleganiem.

Dziewczyna zawsze odpowiadała:

— Nic...

Domyślano się, że to tęsknota i starano się ją pocieszać. Nawet matka bohatera naszego wmawiała w nią:

— On wróci... Widzisz, ja matka, i mnie żal: alem

ja się zdała na Boga i mam nadzieję, że Król niebieski zachowa go dla nas...

— O! i ja się zdaję na Boga...— odpowiadała dziewczyna — Ale cóż ja poradzę, że mi on ciągle w myśli stoi!...

Wieści o zbliżającéj się wojnie napełniły ją nieopisanym strachem. Nie wiedziała co z sobą począć. Aż razu pewnego przyznała się ojcu i matce, dziadkowi i babce, mielnikowi i mielniczce:

— Ja bez niego żyć nie mogę...

Starzy powiedzieli sobie po cichu:

— Ona oczarowana... ktoś jéj coś zadał... Ktoś pozazdrościł jéj piękności i może doli, jaka ją czeka, i chce ją ze świata spędzić...

Więc udano się po radę do znachorów i znachorek i sprowadzano ich do Jerynki, w któréj jakiś rodzaj obłędu począł się objawiać, tak, że we wsi mówiono już, że ona:

— Nie samowita...

Znachory i znachorki zamawiali, odszeptywali i kadzili; to wszystko jednakże nic nie pomagało.

Aż pewnego poranku gruchnęła po wsi wieść:

— Jerynka przepadła!...

Co jéj się nie naszukano po drogach i polach, po rowach i lasach, i nawet w stawie— podejrzywano bowiem, że ona, co nie daj Boże! duszę zgubiła— nigdzie jéj nie było, przepadła i ślad jéj znikł. Nic z domu z sobą nie wyniosła, nawet zwykłéj swojéj odzieży i tylko późniéj do-

piero opatrzyła się matka, że się w zgrzebnej koszuli i zapasce wybrała. Matka, babka, mielniczka, opłakały ją jak umarłą, ojciec, dziad i mielnik mocno się zasumowali, we wsi gadano o niéj przez dni kilka i potém przestano gadać.

A ona wybrała się szukać po świecie kochanka. Wybrała się, ale nie zapytała siebie: gdzie, w któréj stronie go szukać?

— W któréj stronie?.... — przyszło jéj dopiero na myśl na drodze, kiedy się o mil kilka od Hrynenek oddaliła.

— Na Mołdawii...— odpowiedziała sobie machinalnie, wyraz bowiem «Mołdawia», powtarzany często w opowiadaniach o wojnie, wbił się jéj w pamięć.

Więc szła i ludzi po drodze o Mołdawię pytała. Błądziła i szła ciągle o żebranym chlebie i dobiła się do Dniestru, a tam na Bessarabię. Znużenie podróżne zatarło na niéj ślady dobrobytu: jéj piękność przykryła się kurzem i cierpieniem; wyglądała jak ostatnia nędzarka i była bezpieczną, a myśl, że szuka Kuźmy, na którego tylko «popatrzeć się chciała», dodawała jéj siły i odwagi. Przechodziła pomiędzy wojskami wołoskiemi;— Wołochy nic jéj nie mówili— jałmużną nawet częstowali. Sypiała po trawach, burzanach i pod płotami, i ciągle szła. Piérwszymi polskimi żołnierzami, których spotkała, były zaporozkie podjazdy przez Potockiego wysłane. Od tego czasu ich się trzymała, myśląc:

—Jeżeli mam Kuźmę znaleźć, to pomiędzy naszymi.

Lecz często się gubiła, traciła ślad i błądziła, kilka razy zdarzało się jéj przechodzić przez miejsca, na których podjazdowe odbywały się potyczki. Widziała zabitych i rannych. To ją strwożyło:

— Ach! może i jego, mego sokolika, zabiją albo ranią!...

Mówiła sobie i pospieszała, jakby pospiech był dla niéj rękojmią przyjścia na czas z pomocą kochankowi.

Pierwszy raz spotkała się z nim wówczas, kiedy — jeżeli sobie czytelnik przypomina — Lisowski i Kuźma, po nocy spędzonéj na podsycaniu biwakowych ognisk, przebili się przez zasadzki, wówczas, kiedy zamyślonemu Kuźmie jakieś znajome «ach!» w uszach zabrzmiało. Owo «ach!» to ona mimowolnie wydała.

Poszła za setnią zaporozką, postanowiwszy trzymać się jéj z daleka, lecz Prut drogę jéj przerwał.

Znów się zgubiła i znów błądziła; a przeprawiwszy się nareszcie przez rzekę, po dwóch zaledwie tygodniach wydostała się na dolinę Seretu, na ślady hetmańskich wojsk i tych się trzymała. Tu już jéj szło łatwiéj, bo jak wiemy, Hetman powoli się ruszał. Tu niewidziana, kilkakrotnie widziała Kuźmę i po telezyńskim boju szukała go na pobojowisku i odszukała.

Reszta wiadomą jest czytelnikowi, aż do tego momentu, kiedy Lisowski przekonał ją, że kochanek jéj powstał już z choroby, i kiedy z własnych jego ust dowiedziała się, że do Hrynenek powróci.

Wiadomość ta pognała ją do Hrynenek.

— Trzeba żeby on mnie zastał...— mówiła idąc z powrotem— i zastał taką, jaką zostawił...

— Ach! jakaż ja teraz straszna i brzydka...— mówiła do siebie, przeglądając się w każdéj wodzie, jaką po drodze spotykała.— Czy będę ja taką, jaką byłam?...

Z pewnością, gdyby w owym czasie Konrad Wallenrod był już napisanym i Jerynka go czytała, byłby jéj ten na myśl przyszedł wiersz:

—«Ten straszny upiór, jestże to Aldona?»...

Pomiędzy Aldoną jednakże a naszą Jerynką ta wielka zachodziła różnica, że tamta podstarzała, a ta była w piérwszym kwiecie młodości. Niepotrzebnie więc lękała się. Z kobietami wszakże to zawsze tak: bardzo tkliwemi są one na własne wdzięki, i niech je co najmniejszego pod tym względem zastraszy, to obawom i zmartwieniu końca-miary nie ma. Jeden przypadkowy zmarszczek jest w stanie zepsuć im humor na całe życie.

I nasza Jerynka się zmartwiła i poczęła sobie różne czynić wyrzuty, które jednakże wszystkie niweczyła jedna myśl:

— Alem go przecie widziała...

Obok téj myśli stawała druga:

— *On wróci... On mnie kocha...*

Tém «on wróci» popędzana, dniem i nocą dążyła dziewczyna i już nie błądziła, bo po drodze swojéj miała niektóre stałe punkta, o które się rozpytywała. Tak doszła do Prutu, od Prutu do Dniestru, a od Dniestru do Hrynenek.

Gdy wieczorem niespodzianie do swojéj weszła chaty, nikt jéj nie poznał, ani nawet rodzona matka. Dopiero gdy odezwała się, z krzykiem kobiety i dzieci do niéj się rzuciły i w Semenowéj chacie powstał płacz i śmiech, gwar zapytań i odpowiedzi, hałas urywanych i rozpoczynanych rozmów i wyrazów. Powiększało się to, to zmniejszało, w miarę jak bliżsi i dalsi sąsiedzi, dowiedziawszy się o nadzwyczajnym wypadku, przychodzili dla naocznego przekonania się i odchodzili, i trwało aż do północy, i aż wówczas dopiero, na raz wszystkim na myśl przyszło:

— Ona zmęczona...

Jerynka nie tylko była zmęczona. Ona powróciła z zarodkiem choroby, która nie złamała jéj na drodze dla tego jedynie, że jéj moralność sił dodawała. Nie miała czasu chorować. O tém może lekarze nie wiedzą, a to przecież tak jest: że kiedy się nie ma czasu, to się nie choruje, to jest: można w cielesnym organizmie nosić zaród choroby i nie podać się jéj, póki umysł mocno zajętym jest jakimś przedmiotem. W takim razie i trudy się znoszą i człowiek nadludzkich sił nabywa, i nie zalegnie łoża boleści, aż spełni, co spełnić był powinien.

I nasza też Jerynka nie zachorowała w drodze; lecz jak tylko powróciła, położyła się i długo leżała. Przez miesiąc cały ze śmiercią walczyła. Matka, babka i mielniczka, wszystkie razem i każda naprzemian, doglądały jéj a znachorki zamawiali, odszeptywali i kadzili. W gorączce o niczém inném nie mówiła, tylko, że go widziała, że wróci do Hrynenek i że ją kocha. Czasami bredziła coś

o pałacach, w których on mieszka i o wielkich panach, którzy mu służą. Słuchając to, ojciec jéj, dziad i mielnik kiwali głowami i po cichu sobie powiadali:

— Ona to nie z siebie gada...

W skutek tego, ksiądz czytał nad nią Ewangelię, któréj ona z dziwną pokorą i skruchą słuchała. To dowodnie wszystkich przekonało, że w niéj zły duch nie mieszka.

Więc pozostawili ją naturze i pielęgnowaniu matki, babki i mielniczki i nasza Jerynka przełamawszy chorobę, powoli, stopniowo do zdrowia, sił i piękności powracać zaczęła. Choroba wydelikaciła ją. Z nóg i rąk, z twarzy i całego ciała znikły ślady długiéj, pieszéj wędrówki i ona podnosiła się, jak ten zwiędły na słońcu kwiatek, prostujący się i rozwijający pod wpływem ożywczéj rosy.

Z zakończeniem jéj choroby wrócił spokój pod strzechy Semena i mielnika, a dla Jerynki rozpoczęło się wyglądanie kochanka.

— Jak ja długo chora leżała?...— pytała mielniczki.

— Sześć tygodni, moje dziecko...— odpowiedziała zapytana.

— Sześć tygodni a jeden tydzień, to siedm... On mówił, że wróci, jak ozdrowieje.... Powinienby już dotychczas ozdrowieć... Ale, nie, bo on był ciężko poraniony i bardzo osłabiony.

— Doglądaliż tam jego?...— przerywała drżącym głosem i ze strwożonem obliczem mielniczka.

— Ach! jeszcze jak!... Zawieźli do pałacu i panowie

mu usługiwali... A na takiém pięknem i bogatém łóżku położyli i na palcach koło niego chodzili!... Jego może jeszcze trzymają, żeby ze wszystkiém wyzdrowiał... Ale za miesiąc najdaléj powinienby przyjechać...

Tak sobie Jerynka obrachowywała i obiecywała. Przyszła jednakże jesień i minęła, przyszła zima i minęła, przyszła wiosna,— Kuźmy jak nie było tak nie było. Jerynka zupełnie ozdrowiała i jeszcze piękniejszą się zrobiła, i tęskniła; ale że już wojny nie było, więc nie trwożyła się— czekała i wyglądała.

X.

W Kamieńcu, jak w Hrynenkach, panowały oczekiwanie i tęsknota, w różnéj jednakże mierze: wówczas bowiem, gdy hryneńscy nasi znajomi bez żadnych byli wieści, do Kamieńca regularnie przyjeżdżał kuryer i przywoził, jednym listy, drugim ustne przekazy, a wszystkim pozdrowienia. Okrom starościny i starościanki, które na wojnie męża i ojca miały, każda z dwornych pań kimś się interesowała: ta mężem, owa bratem, inna jakimś krewniakiem i to rzadko jednym, inna chociażby kimś takim, co to ją serce ku niemu ciągnęło, i to także rzadko jednym, słowem, każda miała kogoś swego na wojnie, wyjąwszy saméj jednéj pani Wolskiej. Tak się trafiło, że ani jéj brat, ani krewniak żaden nie poszli na wojnę, a tego kogoś serdecznego nie miała. Więc była niby sierota smutku, tęsknoty i oczekiwania, bo śród wszystkich

sama tylko im nie ulegała i z téj przyczyny spadł na nią ciężki obowiązek smucenia się, tęsknienia i oczekiwania ze wszystkiemi i pocieszania wszystkich.

Ten obowiązek spełniać musiała po odjeździe kuryera, i spełniała go aż do przybycia nowego. Jak tylko kuryer przybył, wówczas co innego na nią spadało, a to: podzielanie radości ze wszystkiemi. Jak jedno, tak drugie— przyznać musimy—nie było ani zabawném, ani przyjemném, ani łatwém, i gdyby nie to, że ją wielce interesowało ogólne powodzenie oręża polskiego, to pobyt w zamku byłby może w końcu stał się dla niéj nieznośnym.

Listy, odbierane przez starościnę od męża były pewnemi rodzajami buletenów z teatru zapasów wojennych, przeznaczonemi nie dla saméj wyłącznie starościny. Z tego powodu, odczytywano je publicznie na pokojach, gdzie schodziła się miejska i urzędowa starszyna. Lektorem był kapelan zamkowy.

Ślady takiego sposobu udzielania wiadomości, za pośrednictwem listów do żon, często napotykamy w ubiegłych dziejach narodu naszego. Gazet nie było, a szlachta, życiem politycznem żyjąca, żądną była wiadomości. Sztukowano więc brak gazet najnaturalniejszym, jaki się przedstawiał, sposobem. Wodzowie komunikowali z żonami i donosząc im o sobie, donosili zarazem o prowadzeniu wojska i wojny. Od żon ich dowiadywali się o tém inni i wieść rozchodziła się po okolicy i biegła daleko, narastając jak lawina, która od szczytu góry odrywa się okruszyną a na dolinę spada górą. Rozwożeniem wieści po

okolicach trudnili się żydzi, którzy nieraz pomyślną wiadomością wyjednywali sobie korzystniejszą sprzedaż lub wyrabiali bonifikacye na arendach.

Starosta był dokładnym w listach do staróściny. Pisywał on nie sam, ale przez sekretarza swego, którym był jeden z dworzan. Ten wchodził w nąjdrobniejsze szczegóły i był trochę za rozwlekłym, ale za to nic nie opuszczał. Wzmiankował nawet o stanie temperatury. W listach jego był porządek przedmiotu, którego stale i niezmiennie się trzymał. Zaczynał (w imieniu, rozumie się Starosty) od pozdrowienia staróściny, które w jednym ale długim, bo często przez dwie ciągnącym się stronice, peryodzie zawierał; potém— zapytywał ją o zdrowie; potém— donosił o zdrowiu Starosty; następnie zastanawiał się nad stanem temperatury, do którego i stan dróg dołączał; potém przechodził do chronologicznego wyszczególnienia wypadków, które wymieniał jedna po drugich; nareszcie wyszczególniał nadzwyczajności, do których zaliczał odznaczenia się walecznością pojedynczych rycerzy i kończył zawiesistym komplementem, mieszczącym w sobie wszystkie grzecznościowe ogólniki w owych czasach używane. Pod tym komplementem stał podpis Starosty. Starosta zwykle jeszcze i własnoręcznie kilka słów dodawał, które już do publiczności nie należały. Było to przesłanie serdecznych uścisków żonie i córce i pozdrowień całemu domowi.

Chwile przybycia takich listów były pewnym rodzajem uroczystości publicznej. Już, jak tylko kuryer prze-

jeżdżał przez Kamieniec, wiedziano, że trzeba udać się na zamek i jeżeli to było z wieczora, to schodzono się nazajutrz, natychmiast po mszy porannej, a jeżeli to było zrana, to schodzono się o nieszpornej porze. Osobami, które z prawa niejako do tych zgromadzeń należały, byli znakomitsi członkowie ziemskich i gromadzkich sądów, komendant załogi, wojskowi i całe duchowieństwo, tak zakonne, jak świeckie; osobami zaś, które w tych zgromadzeniach gościnną niejako grały rolę, byli bądź z interesu bawiący, bądź przejezdni w Kamieńcu szlachcice. Wszyscy ci ciągnęli na zamek, gdzie okrom najświeższych i najdokładniejszych wiadomości, znajdowali także, jeżeli to był ranek, to suto zastawione śniadanie, a jeżeli to był wieczór, to wyborną i obfitą wieczerzę. Jedli więc, pili i politykowali, i robiło się gwarno i wesoło, tem bardziej, że humor nastrajał się wpływem ciągle pomyślnych wiadomości, skutkiem których nie jeden szlachcic tak się zapędzał, że widział Zamojskiego w Konstantynopolu, a nawet w Jerozolimie.

— Hetman, o! Hetman!... — krzyknął siaki taki.— Jak Michała wykropi, to Dunaj przekroczy, jak Dunaj przekroczy, to bisurmanów wykropi!... Dla niego to jak chleb z masłem... Szach! mach!.. i w Jerozolimie się oprze.... Z Konstantynopola do Jerozolimy nie dalej, jak z Kamieńca do Warszawy...

— Ba, dalej...— któryś mu przerywał.

— Ba nie dalej!...

— Ba dalej!...

— Ba nie dalej!...

Takie «ba» i «ba nie» znaczyło początek *kłótni* u skorej do zwady szlachty; lecz obecność duchownego stanu łagodziła umysły w ten sposób, że któryś z księży brał na siebie przekonanie, że i dalej i nie dalej, to jest dowiedzenia, że obie spierające się strony mają racyę. Był to środek jedyny, którego powszechnie wszyscy rozjemcy *używali* i *używać* musieli, w społeczności niecierpiącej różnomyślności. *Środek ten zależał na dowcipnem* takiego *medium optimum* wynalezieniu, któryby, jeżeli nie przekonał, to rozśmieszył. Bo, jeżeli owo *medium optimum* ani jednego ani drugiego nie dokazało, to wówczas następowała wojna na wielką skalę, wyrażająca się przez rokosze i konfederacye, na małą przez najazdy i pojedynki. Dążenie do jednomyślności, występujące *w całym swoim blasku i w całej potędze w sławnem* a smutnej pamięci *veto* grasowało we wszystkich społecznych stosunkach, objawiając się tak na sejmie, jak na sejmiku, jak w gronie rodzinnem, jak w zgromadzeniu przyjacielskiem. Szlachcic nie mógł scierpieć, aby inny szlachcic mógł być innego jak on zdania, obstawał przy swojem, póki słowami to słowami, a gdy słów zabrakło, to— kordem. *Rozjemców w takich razach zwykle nie brakło,* a naturalnymi byli księża. Trzeba jednakże było bardzo być zręcznym, żeby, broń Boże! nie przyznać jednej ze stron słuszności, a drugiej nie odmówić takowej. Rozjemcy położenie było między młotem a kowadłem.

Na zgromadzeniach u starościny zanosiło się nieraz

na burzę, do której jednakże, z powodu obecności kapłańskich sukni, nigdy nie przychodziło, i która częstokroć zamieniała się na wybuch radości lub czułości. Ci naprzykład, co posprzeczali się o odległość z Konstantynopola do Jerozolimy i z Kamieńca do Warszawy, gdy się do księdza przeora odwołali, ten im tak go wytłómaczył:

— Jeżeli dwóch ludzi, jeden z Konstantynopola do Jerozolimy, drugi z Kamieńca do Warszawy, puszczali się w podróż, ale pierwszy szedł z ochotą a drugi z przymusu, to pierwszemu drogą będzie krótszą, drugiemu dłuższą, a i na odwrót; z czego wypada, że z Konstantynopola do Jerozolimy bliżej jak z Kamieńca do Warszawy i z Konstantynopola do Jerorolimy dalej jak z Kamieńca do Warszawy; czyli: że waszmoście obydwa nie macie się o co spierać, bo obydwa macie racyę...

— Wiwat!...— zagrzmiało w odpowiedzi.— Niech żyje ksiądz przeor!...

Kielichy stuknęły, a przy kielichach ktoś bąknął:

— Kochajmy się!...

I zupełna zgoda a jedność póty panowały, póki znów jakiś «ba» i «ba nie» nie wymogło nowego dowcipnego sofizmatu, nanowo «wiwat!» i «kochajmy się!» wywołującego.

Tak przewiwatywali i przekochiwali przodkowie nasi czas i jedyną dobrą stroną takiego przepędzania było to, że było im wesoło. Sumienie ich nie gryzło, o przyszłości nie myśleli, chwila obecna zadawalniała ich zupełnie

i serdecznie cieszyli się laurami, jakie oręż polski podówczas zbierał.

Podczas zgromadzeń tedy na zamku było hucznie i wesoło. Lecz gdy wesele przebrzmiało, następowała cisza na całych siedm, ośm, czasem aż dziewięć dni, to jest, do chwili przybycia nowego kuryera.

Ciszę tę urozmaicali: staruszek wojski, kapelan i harfiarz. Pierwszy usiłował żartami i dowcipami rozweselać niewieście towarzystwo, drugi starał się je rozrywać opowiadaniami, trzeci, jak zwykle, grywał i śpiewywał.

Stosunki tego ostatniego z panią Wolską w niczém się nie zmieniły. Ona była zimna i obojętna, on zawsze kochający, zawsze zachwycony i zawsze milczący, a milczący dla tego, że coś, niby bojaźń, zamykała mu usta, ile razy chciał je otworzyć i powiedzieć:

— *Kocham ciebie, piękna Barbaro!*

Mówił on to «kocham» i często, ale nie pani Wolskiéj. Mówił ścianom swojéj izby i wiatrom owiewającym Kamieniec, i echom okolicznych gór, i skałom, i lasom, i trawom, i ziołom, i ziemi i niebu, słońcu, księżycowi, ale nigdy pani Wolskiéj.

Czasami, zamknięty w izbie, całe dnie przesiadywał. Chodził i *kładł się, wstawał i siadał, chwytał* harfę i wydobywał z niéj, to jakieś czułe, łechcące, pieszczotliwe tony, to tęskliwe, rozpaczające. Chwytał pióro i pisał, a co napisał darł lub zębami targał. Opierał się łokciami o stół i godziny całe w niemej, niby skamieniałéj nieruchomości przepędzał.

Czasami wychodził za miasto i błąkał się po górach, których echom rzucał na pastwę wyraz «kocham» i wsłuchiwał się ich tysiąckrotnym odpowiedziom.

— O! gdyby mi ona raz tak odpowiedziała, jak te góry po tysiąc razy!...— wołał.

— Czego ona chce?... — pytał i sam sobie odpowiadał:

— Ach! *niczego... A mogłaby ze mnie wszystko zrobić!... Dla niéj, czuję, mógłbym zostać bohaterem, dla niéj...— zbrodniarzem!...*

Na ten wyraz «zbrodniarzem» wstrząsał się ciałem i wzrok jego dziczał i po chwili uśmiechał się, a jeszcze po chwili tłómaczył się sam przed sobą:

— Ale ją nikt tak kochać nie może, jak ja... ją, Polkę.... *Czemu ona nie Włoszka!...* Włoszka umiałaby miłość *moją ocenić... Przed Włoszką mógłbym* się przyznać: pokazałbym jéj sztylet i powiedział...

Tu urywał i tak daléj ciągnął:

— I Włoszce przebiegłoby po żyłach takie same gorąco, jakie przebiegało po moich, gdy w nocy, wykradłszy się z zamku, wkradłem się do obozu, i...

— Ale ona tego nie zrozumie... Onaby się strwożyła i uciekła i z obrzydzeniem odwróciłaby twarz odemnie... Ach! gdybyż ją można czém rozgrzać!...

Namiętne te monologi słyszały nieraz Kamienieckie okolice, a nieraz rozlegało się po nich tętnienie czwałującego konia, na którym Włoch jeździł aż na to miejsce, gdzie leżał obóz pod Żwańcem. Tam zsiadał z konia,

przywiązywał go u krzaka i zawsze na jeden udawał się punkt, na którym skrzyżowywał na piersiach ręce i stawał. Zawsze dumał przez chwilę, a potém się na głos roześmiał.

— Cha! cha! cha!... *Cavaliero!*... nawet na żałobę nie zasłużył... A uprzedzałem go... Nie słuchał... Tym Polakom się zdaje, że kto do grona ich szlachty nie należy, ten dawać ni dotrzymywać słowa nie może... Tylko słowo dotrzymałem: nic więcéj... Wszak mu tłómaczyłem różnicę pomiędzy polskim a włoskim honorem. Głupia głowa! nie zrozumiał...

I kiwał głową z politowania wyrazem.

— Któż mu winien... Odmówiłem *ave* za jego duszę, niech się tém kontentuje.... Nic więcéj nie mogłem dla niego uczynić...

Raz następującą zrobił uwagę:

— To dziwne! w Wenecyi nikogo sumienie nie gryzie, gdy się usunie człowieka zastępującego drogę... W Polsce jakaś inna panuje atmosfera: tu zabity nieprzyjaciel staje po śmierci w oczach i gorzkie czyni wymówki.... Ale i Polacy przecież się zabijają, inaczéj to prawda, kordami nie sztyletami, cóż to jednakże znaczy!... to tylko różnica w sposobie... Gdybym go był wyzwał, jak oni mówią, na rękę, to mogłem go tak samo zabić... I byłbym zabił, *per Madonna!*... o!... bo ja nie byłbym się z nim bił na to, aby się potém upić i pocałunkami oślinić...

A może on byłby mnie zabił... Mógł jednakże i bez

pojedynku zabić, bo postąpiłem z nim szlachetnie, szlachetniej jak każdy inny Włoch, który byłby na mojém miejscu, bom go uprzedził i ostrzegł... Głupiec!... Cha! cha! cha!..

Czytelnik więc dostatecznie jest już uwiadomiony o tém, kto był mordercą Słupskiego. Opowiem mu jeszcze, jak to się stało. Włoch, podczas pobytu swego w obozie, rozpatrzył się w położeniu onego i przechodach i wyśledził wszystkie kroki Słupskiego. Wiedział gdzie jego namiot i kiedy udaje się na spoczynek; wiedział, w którém miejscu śpi, kiedy się budzi, kiedy wchodzi i kiedy wychodzi. Pożegnał się ze Starostą ostentacyjnie, umyślnie dla tego, aby odwrócić od siebie podejrzenie. Powrócił do Kamieńca i zamknął się w swojéj izbie. Wszyscy to widzieli. Późnym jednakże wieczorem, wziął sztylet, wykradł się, spuścił się z niestrzeżonego muru, puścił się do obozu piechotą, wkradł się znanemi przechodami, zamordował Słupskiego i nad rankiem był już w swojéj izbie z powrotem. Nikt przeto ani w obozie, ani w zamku nie mógł go o zbrodnię podejrzywać, i nikt oprócz Włocha i Boga o niéj nie wiedział. Pod tym względem był on, w oczach wszystkich, zupełnie czystym. Zbrodnia jego była samotną.

Są ludzie, którzy tego rodzaju samotność lubią, którzy, popełniwszy taką np. jak harfiarz zbrodnię, tak ją na dnie sumienia swego ukryć potrafią, że się nikt jéj ani domyśli, że świat gotów im świadectwo niewinności, jak białemu jagnięciu, wydać. Są inni, którym potrzeba ko-

niecznie spółudziału, bądź dla produkowania się zbrodnią, bądź dla szukania moralnéj pociechy.

Produkują się z nią zakamieniali zbrodniarze. Ci lubią wystawiać ją na widok publiczny i widziano takich, którzy pod szubienicą, z pewnym rodzajem wewnętrznego zadowolnienia, chwalili się morderstwami i zabójstwami.

Szukają *pociechy* zbrodniarze *przypadkowi tacy*, których bądź *gwałtowna*, jak *np. głód, potrzeba, lub namiętność* na drogę zbrodni popchnęła. Takim był harfiarz.

On potrzebował spółudziału, potrzebował odkryć przed kimś głąb sumienia i spytać:

— Wszak prawda, żem niewinny?...

I usłyszeć odpowiedź:

— Prawda....

Kogo *on mógł* się tak spytać? i kto mógł mu tak odpowiedzieć?...

Oglądał się i nikogo nie znalazł, bo wszystkimi pogardzał, wyjąwszy siebie i Barbary.

Pogardzał wszystkimi dla tego, że on i otaczający go Polacy nie byli cyframi o jednym mianowniku. On, nazywając siebie człowiekiem, Polaków musiał nazwać bydłem, a *gdyby im człowieczeńskość przyznał*, *to* jemu dostałoby się miano i znaczenie małpy. W pojęciach i wyobrażeniach swoich w dwie przeciwne rozchodził się z Polakami strony. On był dzieckiem i wychowańcem sztuki, którą rozumiał i kochał; oni jéj ani rozumieli ani kochali, ani się nią bawili, a jego— harfiarza i pieśnia-

rza— jak skoczka na linie lub pajaca uważali. Dla niego miłość była niebem, rajem, lecz nie świętością i on jéj pragnął dla siebie i gotów był dla niéj na wszelkie ofiary, byle nie z siebie i nie ze sztuki; w Polakach zaś miłość rzadko i z trudem się objawiała, lecz gdy się objawiła, to ją szanowali i gotowi byli na ofiary dla niéj z siebie, tylko z siebie i zdobywai ją głośno, nawet hałaśliwie i otwarcie. On z nią chciałby się ukryć za jakąś ciemną, nieprzejrzystą zasłoną i tam używać sam dla siebie; oni ją na jaw, na słoneczne światło wyprowadzali i nią się przed całym światem chwalili. Polskie zaręczyny, polskie wesela, obrzydliwość we Włochu sprawiały.

Nie miał więc przed kim się wynurzyć, wyspowiadać— chyba przed piękną wdową, lecz ta była nieprzystępną. *Signor Gerolamo*, jak kobieta lub dziecko, gorzkiemi zalewał się łzami, a niekiedy gorąco się modlił.

Pani Wolska wiedziała, że ją harfiarz kocha namiętnie. Litowała się nad nim, ale mu tego nie okazywała, a to z téj przyczyny, żeby litości nie dać wzajemności pozoru. Zaślepiony namiętnością Włoch nie umiałby odróżnić jednéj od drugiéj. Bezpieczniéj więc było dla wdowy ani jednéj ani drugiéj nie okazywać i prze to trzymać pieśniarza z daleka. To się jéj udawało. Włoch się jéj bał i ograniczał się tylko na pilnowaniu, aby pomiędzy nią a nim nikogo trzeciego nie było. Tym sposobem spodziewał się, że kiedyś, kiedyś — po chociażby jak najdłuższych latach — ona sama «spłynie w jego objęcia.» Innéj nadziei nie miał, innego środka nie widział i gotów

był, gdyby tego była potrzeba, dziesięciu jeszcze, stu Słupskich poświęcić swojéj miłości.

— Ja jéj sztyletem się dobiję...— mówił ze złowrogim jakimś w głosie i twarzy wyrazem.— Czy ja temu winien?... Ona mi ze krwi coraz piękniejszą i droższą wykwita.... Niech się spełni, czego odwrócić nie można!... Zrobiłem jeden, piérwszy krok i już się na téj drodze nie zatrzymam...

Piérwszy krok, szczególnie w zbrodni, jest zawsze najtrudniejszym. Póżniéj idzie jak z płatka.

Signor Gerolamo, myśląc o wdowie, myślał zarazem i o ofiarach, jakie swojéj namiętności poświęci i wybierał je. Wybór ten jednakże krążył jeszcze w nieokreślonéj jakiéjś próżni, w któréj widział tłum, ale żadnéj oddzielnie nie wyróżniał postaci. Głowa mu się kręciła, jakby nad bezdenną stał przepaścią.

A w zamku szło wszystko zwykłym trybem.... Regularnie po smutku następowała radość, po radości smutek. Regularnie przyjazdy kuryera spowodowywały zgromadzenia, na których: słuchano czytanych przez zamkowego kapelana buletynów, jedzono, pito, rozprawiano, hałasowano, zwodzono sprzeczki i zawierano zgody.

Buletyny (przepraszam czytelników za nazwę, któréj *w 1600 roku nieznano, a któréj używam dla tego, że piszę* w 1861 r.) — buletyny te były monotonne. Z góry prawie wiedziano, co one w sobie zawierają, szczególnie w większéj od początku połowie. Większa ich interesowność poczynała się dopiero pod koniec, kiedy traktowały o wypadkach, lecz i to, wyjąwszy potyczki nad Roki-

tną i drugiéj, która miała miejsce w czasie przeprawy hospodara przez Prut, wypadki do wypadków tak były w opisie podobne, że się je naprzód odgadywało. Opisom tym bowiem brakowało ożywiającéj je treści, mianowicie poimiennego wyliczenia osobistości, któreby bądź w złym, bądź w dobrym odznaczały się sensie. W drugiéj dopiero potyczce pojawiły się dwa imiona: «Imćpan Aleksander Lisowski, *herbu Jeż* i imćpan *Kuźma Jeż herbu Jeż*. Gdy je ksiądz kapelan wygłosił, kobiety poruszyły się. mężczyzni uwagę natężyli. Kapelan, jak na toż, zawiesił czytanie i wziął się do ucierania nosa.

— Cóż tedy?...— ozwało się kilka niecierpliwszych w gronie męzkiém głosów.

— Ksiądz dobrodziéj zawsze w najciekawszém urywa miejscu...— wystąpiła z pretensyą jedna z dwornych pań.

— Zaraz... zaraz...— odparł kapelan, czytając daléj oczyma. —Nie ma tu nic ciekawego...

Kilka chrząknień dało się na to słyszeć.

Kapelan odpowiedział na nie głośném odchrząknięciem i czytał daléj.

Było to sprawozdanie z tego, że Lisowski i Kuźma zostswionymi zostali dla łudzenia nieprzyjaciela przez utrzymywanie i podsycanie nocnych ognisk. Sprawozdanie to kończyło się życzeniem:

— «Oby Bóg miłosierny wyprowadzić ich raczył cało i zdrowo z rąk nieprzyjaciela, który nie omieszka ich w nocy otoczyć... My przeprawiliśmy się przez Prut i t. d.»

Kobiety wzdychały. Mężczyzni, wysłuchawszy listu

do końca, wzięli pod rozbiór położenie Lisowskiego i Kuźmy. Jedni utrzymywali że wyjdą, drudzy że nie wyjdą. Powstała sprzeczka, która się zerwała przez wzgląd na obecność starościny i dwornych pań, lecz znów się wszczęła przy śniadaniu, i ledwo nieledwo załagodzoną została energiczną interwencyą dziekana, który nie mogąc tym razem dowieść, że wyjdą i nie wyjdą, wyprosił cierpliwość do następnego kuryera i wymógł na stronach pewien rodzaj zawieszenia broni. W imię tego zawieszenia były wiwaty i «kochajmy się.»

Kobiety zaś ze swojéj strony nie mogły nagadać się o Kuźmie, wytaczając nanowo wszystkie dawniejsze domysły i przypuszczenia, nahaftowane na tle tajemniczości jego pochodzenia.

Dodać należy, że gdy imię jego wymówił ksiądz kapelan, pani Wolska lekkim spłonęła rumieńcem.

Rumieniec ten nie uszedł baczności harfiarza, i odbił się na postaci Kuźmy, która mu na tle niewyraźnego tłumu wyraźniéj nieco błysnęła. Włoch zmarszczył się i zgrzytnął zębami. Po chwili jednakże wypogodził czoło i cicho rzekł do siebie:

— To może złudzenie...

Po odjeździe kuryera, zwykłym trybem przyszły smutek i oczekiwanie, a oczekiwanie było tém niecierpliwszém, że wiązało się do nazwisk dwóch ludzi zapytaniem:

— Co się z nimi stało?...

Niektóre z dwornych pań wyraźną miały do Starosty

pretensyę za to, że takiego młodego na takie wielkie wystawił niebezpieczeństwo.

— To dla młodego jest zaszczytném....— tłómaczyła im pani Wolska— bo dowodzi, że posiada już tyle męzkiego hartu, że go można na niebezpieczeństwo wystawić...

— Ale cóż się z nimi stało?...— pytały panie.

Następny kuryer nie odpowiedział na pytanie. W liście Starosty najmniejszéj ani o Lisowskim, ani o Kuźmie, ani o powierzoném Lisowskiemu zadaniu wzmianki nie było. Więc «cóż się z nimi stało?»— stało się w ustach pań jeszcze natarczywszém, a mężczyźni zapomnieli o tém «czy oni wyjdą?— czy nie wyjdą?»

Późniejszy dopiero buletyn wymienił Lisowskiego, jako on «wyprowadził powierzony sobie oddział i po kilku szczęśliwych utarczkach, ze zdobyczą i językiem przybył do obu.» O Kuźmie nie było ani słowa.

— A imćpan Jeż?...— zapytała jedna z pań.

Kapelan ścisnął ramionami, na znak że nie jest w stanie na zapytanie odpowiedzieć.

— Może zginął?!...— rzekła inna.

— Gdyby zginął...— odparł kapelan— to zapewne byłoby to w liście wymienioném...

— O, z pewnościąby było!....— potwierdziło kilku obecnych.

— Dla czegoż imćpan Starosta nic o nim nie pisze?..— odezwała się jakaś ładniutka blondynka.

— Gdy imćpan Starosta powróci, to się go o to spytamy...— odrzekł jéj wojski— i powiemy mu, że jejmość

panna masz do niego pretensyę, za to że o imćpanu Jeżu nic nie donosił...

— Ja nie mam pretensyi...— odparła spłoniona blondynka, której raka pokrył śmiech bliżej znajdujących się osób.

Gdy o Jeżu była mowa, harfiarz pilnie wpatrywał się w twarz pani Wolskiéj, ale w niéj nic, najmniejszéj zmiany ani wzruszenia nie dostrzegł. Wdowa zachowała się spokojnie i obojętnie.

Nie była jednakże obojętną, kiedy kuryer przywiózł sprawozdanie o bitwie nad Telezyną, sprawozdanie z tła którego postać Kuźmy otoczona blaskiem bohaterstwa wystąpiła. Ale też nie ona jedna była nieobojętną. Wszystkich pań oczy, nie wyjmując ani flegmatycznéj starościny, ogniem zapału zapłonęły i potém łzami zwilgotniały.

Nasze Polski umieją mieć spółczucie dla czynów męztwa na polu bitwy dokonanych. Nie dziw. Córki rycerskiego narodu, zachwyca je heroizm, otoczony broni szczękiem i tłómaczy się poświęceniem, którego innych narodów kobiety nie czują ani rozumieją. Niemka np. przelękłaby się, gdyby usłyszała relacyę o tém jak Kuźma, ratując od śmierci Starostę, sam się na śmierć naraził. Polkę to zachwyci. Jéj taki Kuźma wyda się najpiękniejszym, najgodniejszym i największym z ludzi.

Takim też wydał się on wszystkim dwornym paniom, zgromadzonym pod zamkowym dachem. O mężczyznach nie ma co i mówić. Ci nawet sporów zaniechali i jednym głosem dank waleczności młodzieńca oddali.

— Oto mi zuch!... oto chwat!...— powtarzali i wąsy podkręcali.

— Ktoby się był spodziewał!...— odezwał się któryś.

— Dla czego?...— zapytał inny.

— O nim jakoś dwójznacznie ludzie mówili...

Ściągało się to do znanego podejrzenia, z którém jednakże głośno odzywać się nie śmiano.

— Ale, ba!... co to, dwójznacznie!..— odparł inny... —Tu już dwójznaczności nie ma.... Poczynał sobie tak, że na dank i na chwałę zasłużył, i kwita...

— Zasłużył!...— podchwycono jednogłośnym chórem.

Pomiędzy kobietami niektóre z silnego wzruszenia popłakały się a między innemi starościna i starościanka. Te ostatnie miały słuszny powód. Łzy wyciskało im uczucie dziękczynności Bogu, za zachowanie im męża i ojca. Starościna natychmiast zamówiła u obecnych księży solenne nazajutrz nabożeństwo, na podziekowanie Bogu, tak za pomyślność oręża, jako też za ocalenie Starosty.

Nazajutrz wszyscy kamienieccy mieszkańcy zeszli się do katedralnego kościoła, gdzie celebrował biskup, i słuchali uroczystego *Te Deum laudamus*.

W czasie odczytywania sprawozdania z Telezyńskiéj bitwy, pani Wolska nie płakała, lecz twarz jéj i oczy promieniły jakiémś uroczystém a nie dającém się ani opisać, ani opowiedzieć ukontentowaniem. Była ona i radośna i dumna i rozczulona zarazem. Serce jéj pod stanikiem biło mocno a oczy zdawały się powiadać:

— Przewidywałam, że tak będzie...

Co pani Wolska oczami, to inne panie ustami wypowiadały:

— Po imćpanu Jeżu można było tego się spodziewać...

— Jemu to z oczu mówiło...

— Byłabym się założyła, że on się odznaczy...

— On bohatera postacią wydawał...

— Ja zawsze utrzymywałam, że to niepospolity człowiek...

Jedna przed drugą starała się wykazać, że ona pierwsza przeczuła i z góry uznała cnotę imćpana Jeża. Wykazy te kończyły się ogólnem życzeniem:

— O! gdybyż on prędzéj do Kamieńca przybył!...

— Imćpan Jeż musi być ciężko chory i tam zapewne braknie pielęgnowania, jakiego mu potrzeba i na jakie zasłużył...

Niektóre z młodych pań, a między innemi i sama starościanka, roiły już o tém, jakąby go one starannością otoczyły. Nie jedna radaby była, na ten przynajmniéj raz, zostać siostrą miłosierdzia i chodzić około młodego bohatera.

Od tego czasu nasz Kuźma stał się wyłącznym prawie przedmiotem rozmów w zamkowém towarzystwie. Wiadomość o nim w sprawozdaniu listowém była niedokładną. Wiele jéj brakło, jako to: kto, gdzie i jak go leczy?... czy ma on wszelkie wygody?... czy nie doznaje jakich przykrości?... gdzie i jakie otrzymał rany?... czy rychło będzie mógł do Kamieńca przybyć?...

Paniom chciało się, aby listy Starosty podawały do-

kładny buletyn zdrowia naszego bohatera, i z téj przyczyny wielkiém było ich nieukontentowanie, gdy następny kuryer nie przywiózł żadnych o nim wiadomości. Nieukontentowanie to podzielała i starościna i dla tego poleciła księdzu kapelanowi, który pełnił przy niéj spowiednika i sekretarza funkcye, aby prosił Starosty o przysłanie Kuźmy do Kamieńca, przynajmniéj na rekonwalescencyę.

Prośbie starościny stało się zadość.

Wkrótce po opuszczeniu Jass przez Jerynkę, opuścił je także i Kuźma.

Stan jego zdrowia wiele jeszcze pozostawiał do życzenia. Osłabienie trwało ciągle, rany jeszcze się nie pogoiły; wszelako, gdy mu Starosta zakommunikował treść żądania starościny, Kuźma uśmiechnął się i jak mógł najmocniéj zawołał:

— O! gdybym to mógł do Kamieńca się dostać... Zdaje mi się, że samo rodzinne powietrze, bez lekarstw by mnie uzdrowiło...

— To najmniejszéj nie ulega trudności...— odparł Starosta— byle tylko lekarze pozwolili...

Lekarze pozwolili, nie tyle może przez wzgląd na stan choroby, ile przez wzgląd na żądanie Starosty, który nie pytał ich: «czy można?» ale— nie wiem, umyślnie, czy przypadkiem,— «czy nie mogliby oni zrobić mu téj przyjemności i Kuźmę do Kamieńca przywieźć?»

Jak było odmówić zrobienia przyjemności pełnomocnikowi Rzeczypospolitéj?... Lekarze nietylko się na to zgodzili, ale podjęli się towarzyszyć choremu— wszyscy, je-

żeliby to miało czém przyczynić się do przyjemności Starosty.

Starosta nie wymagał takiéj wielkiéj po jasskich doktorach ofiary. Skończyło się więc na tém, że przydano Kuźmie chirurga i przyrządzono dla niego wygodny i obszerny powóz, w którym on, nie jechać, ale mieszkaćby mógł, mógł w nim bowiem dowolnie leżeć, stać i siedzieć. Do powozu zaprzężono ośm silnych ale powolnych koni i woźnice dostali surowy rozkaz jechania przez całą drogę noga za nogą. Dodano eskortę więcéj dla usługi choremu jak dla bezpieczeństwa, bo Mołdowianie ogromnie po telezyńskiém zwycięztwie spokornieli i na wszystko inne odważyliby się prędzéj, jak na targnięcie się na chorego lackiego pana, za jakiego— w niewiadomości swojéj— mieli naszego Kuźmę. Eskorta składała się z drabantów mołdawskich i miała wyraźny, hospodarski rozkaz, usuwania z przed Kuźmy wszelkich przeszkód i dostarczania mu wszelkiéj pomocy, tak w drodze, jak na noclegach, popasach, przewozach i przeprawach.

Ruszył więc Kuźma w drogę, zaopatrzony we wszystko, czego jeno mógł zapotrzebować i zupełnie pod względem zdrowia zabezpieczony. Eskorta okazała się wielce przydatną, z powodu bowiem stanu dróg owoczesnych, takie zdarzały się wypadki, że bez jéj pomocy nie możnaby było w niejedném miejscu przejechać. Tu trzeba było drogę rozkopać, ówdzie most postawić, gdzieindziéj do óśmiu koni drugich ośm doprzęgać lub wszystkie wołami

zastępować. Z Jass wlókł się Kuźma przez dni sześć i dopiero siódmego nad wieczorem stanął w Kamieńcu.

Kamienieccy i zamkowi mieszkańcy byli uprzedzeni o przyjeździe jego i oczekiwali na niego a wyglądali. Jak tylko pojazd pokazał się na przedmieściu, natychmiast dano o tém znać do miasta, a z miasta do zamku i wszystko co żyło, wybiegło na spotkanie bohatera naszego. Pomiędzy rzemieślnikami była kwestya, czy nie wypadałoby wystąpić z cechowemi chorągwiami, a między żydami, czy nie godziłoby się wynieść dziesięciorga Bożego przykazania.

Kwestya ta jednakże rozwiązała się przez «nie», z powodu nagłości rzeczy, którój uprzednio nie oddano pod zdrową rozwagę, a teraz nie było czasu.

Więc rzemieślnicy i żydzi i mieszczanie i kto tylko był w mieście, bez chorągwi i przykazań, biegli naprzeciwko pojazdu, witali Kuźmę okrzykami i ciągnęli za nim tłumem, aż do samój bramy zamkowój, przed którą spotkał go cały dwór Starosty. Wtoczył się powóz przez zwodowy most i zniknął za bramą i śród pochodni przetoczył się przez dwie inne bramy i zatrzymał się przed gankiem przeznaczonych dla chorego apartamentów. Tu powitały go starościna, starościanka i dworne panie, za któremi, oparty plecami o ścianę i przypatrujący się wszystkiemu zdaleka, stał Włoch.

Dworscy Starosty wynieśli Kuźmę z powozu i posadziwszy na szezlągu, przenieśli go na ganek.

Starościna powitała go jako zbawcę swego małżon-

ka, wymówiła kilka słów i ucięła, bo jéj się w piersiach ścisnęło. Było to ze wzruszenia, ale ona myślała, że ze zmęczenia. Więc tylko zawołała:

— Ach!... jakżem zmęczona!...

I zamilkła, a do ócz jéj cisnęły się łzy, które ona gwałtem, przez wzgląd na powagę, hamowała. Panna Zatorska podała jéj flaszeczkę z orzeźwiającemi solami. Starościna powąchała i usta chustką zasłoniła.

Starościanka na żadne względy nie zważała. Ta przypadła do chorego, przyklękła przed nim, czepiła go się rękami za odzież i zalewając się gorącemi łzami wdzięczności, w kolana go całowała.

Pomiędzy dwornemi paniami wiele było takich, które płakały i każda cisnąc się do Kuźmy, starała się kilku chociażby słowami uwielbienie mu swoje okazać.

Pani Wolska rzekła do niego:

— Winszuję panu, panie Jeżu... Winszuję i cieszę się...

Kuźma nic na to wszystko nie odpowiadał. Bo raz, nie wiedziałby co odpowiedzieć, powtóre, z osłabienia i wzruszenia nie mógłby się zdobyć na odpowiedź, i potrzecie, te objawy niezmiernie go żenowały. Przed starościną coś go do wstania na nogi pobudzało, przed starościanką, *gdy ta mu do kolan się pochyliła, chciał* się zerwać, z paniami nie *wiedział* co począć. Zrobiło mu się jakoś rzewnie, jakby do rodziny się dostał; zdawało mu się. że te panie co go otaczały, były jego rodzonemi siostrami. Różnica stanu ani na myśl mu nie przychodziła. Radby *był* wszystkie panie zagarnąć w ramiona

i do piersi przycisnąć. Nie mógł tego zrobić, bo się dźwignąć nie mógł; więc chwycił tylko lewą dłonią, która zdrową była, jedną rękę, która mu się najbliżéj nawinęła, i do ust ją poniósł, a od ust przeniósł na serce i gniótł ją, cisnął z takiém uczuciem, jakby przez nią jedną chciał wdzięczność swoją i rozrzewnienie wszystkim wyrazić. Ręka ta, która mu przypadkowym sposobem *w dłoń się wsunęła, była ręką*— pani Wolskiéj. Signor *Gerolamo widział to.*

Kuźma wniesionym został do przygotowanego dla niego apartamentu i tam otoczono go taką starannością, na jaką tylko dom pański i polska serdeczność zdobyć się mogły. Nic mu nie brakło, ptasiego nawet— jak powiadają— mleka, a pielęgnowano go i rozpadano się nad nim, jakby rzeczywiście wszystkim *tym* paniom był on rodzonym synem. Jedna drugą wyprzedzały i przy łożu chorego rodzaj deżuru odbywały.

Kuźmę, pomimo całéj wygody, znużyła podróż a powitalne wzruszenie zirytowało. Poczuł się więc gorzéj, dostał gorączki, nie takiéj jak w początkach, takiéj jednakże, iż lekarz zmuszonym się widział odłożyć leczenie ran zewnętrznych, a zająć się zwalczeniem wewnętrznéj choroby. Kuźma przez kilka dni leżał w malignie i bez przytomności. Po kilku jednakże dniach przytomność mu powróciła, gorączka słabła i powoli do dawniejszego stanu rekonwalescencyi przychodził. Począł rozpoznawać przedmioty i osoby, i piérwszą osobą, na któréj schorowana jego uwaga zatrzymała się, była pani Wolska. W niéj

przypomniał on sobie kogoś, co znał dawniéj, kogoś z kim łączyła go sympatyczna nić. Powitał więc ją z całą naiwnością chorego człowieka:

— Pani — rzekł — mnie dobrze kiedy pani przy mnie... Ja lubię patrzeć na panią...

Wdowa przyjęła to z uśmiechem i nic nie odpowiedziała; wiedziała jednakże, że to nie komplement, i dla tego właśnie miała sobie niejako za obowiązek dogadzać choremu swoją obecnością.

Kuźma lubił się na nią patrzeć i jéj głosu słuchać. Sam nie mógł dużo mówić, bo i osłabienie mu przeszkadzało i doktór zabronił. Mógł więc jedynie patrzeć i słuchać.

Patrzał więc na śliczny Boży utwór, rozwinięty jak kwiat w całéj pełni swego rozkwitu, piękny, a têm piękniejszy, że jakiś zarazem poważny i skromny i nieszukający w piękności chluby.

Pani Wolskiéj dziwnie do twarzy we wdowich było szatach. Od czarnych kolorów postać jéj wyraźniéj i wydatniéj odbijała, a tak łagodnie i tak przytêm pociągająco, że od niéj oczów nie można było oderwać. Nie była to piękność w oczy bijąca, lecz taka, która im dłużéj się w nią wpatrywać, têm piękniejszą się wydawała.

Patrzał więc na nią nasz bohater i to têm chętniéj, że ona, chcąc zapełnić jego przymusową bezmówność, dzwoniła mu w uszy wyrazami, które srebrzyście, dźwięcznie i łagodnie z piersi jéj wypływały. Rozpowiadała mu zrazu, a gdy treść do opowiadań wyczerpywała się, brała

księgę, rozkładała ją na stoliczku do łóżka chorego przysunionym, i czytała. Rozpowiadaniami i czytaniem prowadziła Kuźmę w nieznane mu dotychczas światy, w jakąś bezgraniczną przestrzeń, którėj istnienia on ani się domyślał. Milczał i słuchał, a do duszy jego spływało powoli jakieś światło, w którém ona jakby się kąpała.

Tak milczał, tak słuchał i tak patrzył przez całych dwa miesiące, częściej leżąc, czasami siedząc. Choroba jego włokła się, ozdrowienie przychodziło powoli; utracona krew, zdaje się, po jednėj kropli do żył wracała i cieniem rumieńca niekiedy mu twarz powlekała.

Ta milcząca rekonwalescencya wpływała na Kuźmę podwójnie, fizycznie i moralnie. Fizycznie— była odrodzeniem się w zdrowiu; moralnie— narodzinami myśli.

W przeciągu dwóch miesięcy nie wiele można skorzystać. Nikt jeszcze w tak krótkim czasie, nie mając rozumu, nie nabył go. Czas ten jednakże jest dostatecznym na to, aby na zdrowy grunt rzucić ziarno myśli i naprowadzić umysł na taką drogę, na którėj już i sam mógłby sobie poradzić.

W owych czasach nauka, mocniėj jak dziś, urabiała pedanteryę, *pomimo że* nie była ani tak obszerną, ani tak dokładną. Opierała się na takich prawdach, które axiomatami nie były, i które, aby je uznać, trzeba w nie było ślepo uwierzyć, wcielić się w nie niejako i do ich wyników się przywiązać. Z tego powodu uczonych piętnowała odrębna jakaś cecha: byli oni uosobionemi for-

mułami, mającemi tylko ludzką zewnętrzność, lecz ludźmi, w istotnem tego pojęcia znaczeniu, nie będącemi.

Nie było obawy, aby bohater nasz został uczonym. Nie mógł nim zostać z wysłuchania kroniki, kilku żywotów świętych i niektórych ustępów z poetów i prozaików złotego wieku naszego piśmiennictwa. Nabrał tylko ochoty do odczytania sam tego co słyszał, i wyrodził się w nim jakiś popęd do rozmyślania nad tem co usłyszał; a przesłuchawszy i przemyślawszy przez dwa miesiące, mógł już przemówić rozumniej trochę jak przedtem; rozumniej jak dziewięć dziesiątych ludzi, do uprzywilejowanej klassy należących, którzy, gdyby zliczyć i zsumować wszystkie chwile, w których się oni myśleniu oddawali, to kto wie, azali summa ogólna dwa miesiąceby wyniosła.

Dwa miesiące myślenia dla umysłów *dojrzałych*, nie *zwichniętych* a *zdolnością od natury obdarzonych*, *żywych* a obejmujących — to więcej jak dostateczne na to, aby one urobiły sobie moralną podstawę i na to, aby wyżej nieco wzniosły się nad tłum pospolitych ludzi, owych małp, papug i maryonetek, jedne drugie naśladujących i jedne drugim się powodujących, w śmiesznem przekonaniu, że są same sobą.

Nasz *chory posiadał umysł dojrzały, nie zwichnięty* a zdolnością od natury obdarzony, żywy a obejmujący. To też, gdy po dwumiesięcznem milczeniu i słuchaniu począł się sam odzywać, to w duchu tego podniesienia nad *tłumem*, o którem mówiliśmy wyżej.

A gdy się począł odzywać, wdowa przestała czytać i

pomiędzy nią a bohaterem naszym wiązały się długie rozmowy, których treść kręciła się ciągle około przedmiotów ogólnej doniosłości. *Ja*, owo miłe «ja», tak potrącane często przez pospolitych ludzi, nigdy w ich ustach nie zabrzmiało. Zdawało się, jakoby nie istniało ono dla nich.

Powtórzyć treść ich rozmów— o tem byłoby dużo mówić i szeroko pisać. Gdybym się porwał na to, to napisałbym książkę takiej objętości jak Łukasz Górnicki, chociaż nie takiej zapewne wartości, ale w treści tej mojej a jego «Dworzanina», byłaby pewna analogia. Nie dworzanin jednakże a człowiek był przedmiotem rozmów Kuźmy i pani Wolskiej i nie człowiek szlachcic, ale taki jakim go Pan Bóg stworzył, Pan Bóg, który gliny ludzkiej nie rozdzielił na szlachecką i chłopską, ale jednego wszystkim bez różnicy ludziom dał rodzica i jedną dla wszystkich z rodzicowego żebra stworzył rodzicielkę. Na tego rodzica i na tę rodzicielkę często zwracały się Kuźmy i pani Wolskiej rozmowy.

— Toż ten Adam musiał kochać swoją Ewę...— odezwał się raz Kuźma.

— Dla czego?...— zapytała z uśmiechem pani Wolska.

— Dla tego, że on był sam jeden i ona sama jedna na świecie...

— Ci co się kochają...— odparła wdowa— są zawsze samym jednym i samą jedną...

— A... tak...— rzekł Kuźma z powolnym rozmysłem i przypomniał sobie Jerynkę.

Ona często na myśl mu przychodziła. Często, gdy wpatrywał się w panią Wolskę, postać wdowy jakoś zmieniała się i przybierała kształty wiejskiéj dziewczyny, w bławatki i barwinek ustrojonéj, pomimo to, że pomiędzy dwiema temi kobietami najmniejszego nie było podobieństwa. Nigdy jednakże o niéj nie mówił, bo pamiętnym był na Lisowskiego, który mu do odezwania się o domowych jego stosunkach polecił sposobnéj wyczekiwać chwili. Sam więc nie zaczynał, a pani Wolska posiadała ten takt przyzwoity, tę delikatność, że ciekawością nie wdzierała się w tajemnice chorego, pomimo że nie raz, tak ogólnym pań dwornych głosem, jako też własném chceniem, partą była do zapytania bohatera naszego:

— Co waszmość za jeden?...

Nietylko jednakże sama nie pytała, ale jeszcze odwracała pytania innych, ilekroć takowe o uszy chorego się obiły. Pod tym względem najtrudniéj jéj szło ze starościanką, którą ciekawość paliła i która to wprost, to ubocznie często Kuźmę zaczepiała. Jeżeli go zapytała wprost, tak naprzykład:

— Powiedz mi waszmość, czy waszmość rzeczywiście jesteś szkockim królewiczem?...

Pani Wolska obracała to zapytanie w żart, odpowiadając starościance za Kuźmę, który uwalniał się przez to od odpowiedzi i mógł na uśmiechu poprzestać.

Inne dworne panie innym do tego brały się sposobem. One wdawały się przy chorym w rozpowiadania o rozmaitych dworach zagranicznych i rozwodziły się szeroko nad

Hiszpanią, Szkocyą, Anglią, Szwecyą, Francyą, Włochami, Turcyą, etc. etc. Robiły one to dla tego, że jak powiadają: «uderz w stół, nożyce się odezwą.» Myślały więc, że gdy uda się im o źródło Kuźmowego pochodzenia potrącić, to on oczami, twarzą albo jakimś ruchem się zdradzi. Więc wszystko co o dworach i o dworskich obyczajach wiedziały— a wiedziały o *tém* dużo, bo rozpowiadań o nich od kołebki się nasłuchały— wszystko to przed Kuźmą wygadały, z czego on tyle skorzystał, że nabrał teoretycznego o polorze wielkoświatowym wyobrażenia i wytłómaczył sobie znaczenie téj etykiety, która gdy piérwszy krok na salonach zamkowych postawił, wydała się mu dziwaczną i niepojętą.

Słowem, panie dworne, pielęgnując chorego, były dla niego wszystkie razem i każda z osobna pewnym rodzajem zbiorowego professora, który nie nudząc uczył — co mówię! «nie nudząc», każdy wyraz tego professora taki miał powab, jak dla dziecka nowe, piérwszy raz w życiu widziane cacko, a cały ogół téj nauki taki na niego wpływ wywarł, że powstawszy z choroby, mógłby, gdyby zechciał, ujść za skończonego wielkiego świata kawalera. Kobiety wszczebiotały w niego wszystko, co kawalerowi potrzebném było, tak pod względem wiadomości, jak pod względem sposobów znalezienia się.

Zanim jednakże powstał nasz bohater, przejść jeszcze musiał jedną ciężką próbę, która znów na niepewność jego ozdrowienie naraziła.

Działo się to o szaréj wieczornéj godzinie, o godzi-

nie wczesnego jesiennego zmroku — było to już bowiem późną jesienią. Palił się na kominie ogień i oświecał izbę, w której Kuźma mieszkał. Przy kominie jeden naprzeciw drugiego stały dwa szezlągi. Na jednym z nich siedział w pół ozdrowiały Kuźma, na drugim pani Wolska. Rozmawiali.

Tym razem rozmowa spadła na przedmiot niezwyczajny: *bo na miłość.* Niewiadomo zkąd się wzięła, dość że się wzięła i toczyła się żywo, była bowiem wcale nową i arcyciekawą dla naszego bohatera. Toczyła się długo — pytaniami ze strony Kuźmy, zadawanemi z akcentem bądź wątpliwości, bądź niedowierzania, bądź prostej niewiadomości, pochodzącej z tego, że on kochać umiał, ale mówić o miłości nie umiał; ze strony zaś wdowy zdaniami pewnemi i dobrze obmyślanemi a zaprawnemi urokiem kobiecego *na rzecz tak białogłowy interesującą* poglądu. Pani Wolska dużo pięknych rzeczy wypowiedziawszy, tak kończyła:

— Raz tylko w życiu kochać można.... O! panie Jeżu, waszmość może nie wie, ile świętości zawiera w sobie prawdziwa miłość, ile szczęścia daje ona!...

— Ten kawaler nie wie, ale ja wiem!...— odpowiedział jej głos *nie Kuźmy.*

Wdowa wydała okrzyk lekkiego przestrachu, Kuźma ruszył się w krześle odwracając głowę od komina, w którego płomień wlepione miał oczy.

Pomiędzy dwoma szezlągami, naprost komina, oświecony czerwonym odblaskiem płomienia, stał Włoch. Ręce

skrzyżował na piersiach i wpatrzył się w panią Wolskę. Wzrok jego był ponury, twarz spokojna.

— On nie wie, ale ja wiem...— powtórzył. — Miłość daje szczęście, ale daje i cierpienie... Szczęśliwi niech ją błogosławią, cierpiący, niech przeklinają.... Ja przychodzę przeklinać ją!...

Ton, jakim to mówił, był drżąco-patetyczny. Kuźma, gdy on zamilkł, odpowiedział mu spokojnie:

— Mogłeś waszmość nie przychodzić...

— Mogłem...— przerwał Włoch— gdyby mi tylko chodziło o to, aby bryznąć wyrazami... ale mi o co innego chodzi...

To rzekłszy, szybko oderwał prawą rękę od piersi i podniósł ją do góry. W zaciśnionéj pięści sterczało i błyszczało krótkie, gładkie i ostre żelazo sztyletu, na Kuźmową głowę skierowane.

— Boże!... — krzyknęła wdowa i szybko zerwawszy się z szezląga, pochwyciła Włocha za ramię.

Cios spadł, lecz zwichnięty i osłabiony. Kuźma miał czas zerwać się na nogi.

W jedném mgnieniu oka powstały szamotanie się, walka i krzyk.

Pani Wolska wołała o ratunek, Kuźma bronił się gołemi rękami, Włoch wściekle darł się ze sztyletem, co chwila podnosił dłoń i co chwila ciosy zadawał, ciskając z ust wyrazy:

— Darmo krzyczysz, piękna pani!... Takeście się rozmową o miłości zajęli, żeście nie słyszeli, jak drzwi na

klucz zamknąłem!... Nie brońcie się, bo to napróżno!... Ja zamorduję naprzód ciebie, kawalerze, potém ciebie, piękna pani, potém... siebie...

Kawaler Słupski nie bronił się... Nie broń się i ty!..— przemówił kilkakrotnie do Kuźmy, gdy ten ręką od ciosów zasłaniając się, starał się ująć go za prawą rękę.

Dało się słyszeć kołatanie do drzwi.

— Ratujcie!...— krzyknęła przeraźliwie pani Wolska i ku drzwiom poskoczyła. —Morduje!... ratujcie!...

— Skończę, nim drzwi wyłamią!... — odpowiedział Włoch. —Krwią zaleję cierpienie miłości!... Giń, ty, szczęśliwcze!...

I zadawszy już Kuźmie kilka ran, uderzył go w pierś. Krew bryznęła, lecz Kuźma nie padł. Włoch chciał cios poprawić, ale nie mógł podnieść ręki, którą bohaterowi naszemu w obie udało się pochwycić dłonie i ścisnąć ją z całą siłą, jaką w nim rozpacz bronionego swego i pani Wolskiej życia wywołała.

Włoch targał, szarpał, lewym kułakiem uderzał Kuźmę w boki, w zęby, w pierś — Kuźma nie puszczał mu ręki, do któréj i pani Wolska, poznawszy, że na tém jedynie cały ratunek zależy, także się przyczepiła.

Włoch miotał swojemi ofiarami po całéj izbie. Nie mógł ręki wyrwać. Miotał tém mocniéj i już rozpaczliwie, że początkowe kołanie do drzwi, zamieniło się na silne uderzenia młotów czy toporów.

Nakoniec, drzwi pękły. Do izby wpadł wojski z marszałkiem dworu i pachołkami, ze światłem i bronią, i za-

stał — Kuźmę leżącego pod ścianą i krwią zbroczonego, panią Wolskę leżącą pod drugą ścianą i także pokrwawioną, Włocha bladego i zmęczonego, na środku izby stojącego.

Pachołki poskoczyli ku niemu. On chciał się pchnąć w pierś, lecz nie zdążył. W jednym momencie powalono go na podłogę, sztylet wydarto i związano.

— *Precz z nim!... do więzienia!... okuć mu ręce i nogi!...* — *krzyknął* wojski.

Pachołki wynieśli Włocha na powietrzu.

W kilka chwil potém Kuźma znów zaległ niedawno opuszczone łoże boleści, i znów niedawna troskliwość go otoczyła. Opatrzenie pokazało, że dostał siedm ran, z których jedna tylko liczyła się do rodzaju niebezpiecznych, — żadna jednakże śmiertelną nie była. Za to szamotanie i irrytacya pootwierały mu te, które już się były pozabliźniały. Stan jego stał się niebezpieczniejszym jak na telezyńskiém pobojowisku.

Pani Wolska była także kilka razy draśniętą, i także położyć się musiała do łóżka, chora nie tyle z fizycznych ile z moralnych powodów. Głęboko się wzruszyła tém szczególnie, że dowiedziała się, iż *ona była przyczyną śmierci Słupskiego. To przyprawiło ją* o gorączkę, która ją trzy blisko tygodnie wytrzymała w łóżku.

O trwodze, jaką ten wypadek pomiędzy dwornemi paniami sprawił, i wspominać nie mam potrzeby. *Powiem* tylko, że połowa z nich zachorowała i *przez* czas jakiś zamek przybrał pozór szpitala. Doktor przez cały dzień

od łóżka do łóżka chodził, rozpoczynając wizyty od starościny i na niéj je kończąc. Najdłużéj zatrzymywał się przy Kuźmie, bo temu nietylko dać lekarstwo ale i przewinąć rany było potrzeba.

Wiele z pań chorowało tylko na imaginacyę i uleczyły się radykalnie wodą z cukrem lub pigułkami z chleba. Nadworny bowiem lekarz pana Potockiego taki był dobry, że *nikomu pomocy lekarskiéj nie odmawiał*; a że był rzeczywiście dobrym, to jest, w sztuce swojéj biegłym, przeto rozróżnić umiał stan chorowity od zdrowego. Jednakże, gdy kto będąc zdrowym, przyznawał się do choroby, on nie miał zwyczaju zaprzeczać. W takim tylko razie dawał lekarstwa nieszkodliwe i przepisywał dyetę.

— Jéjmość pani (lub panna) dobrodzika dostanie pigułki, *przy których potrzeba powstrzymać się od jedzenia*... Niech pani posila się rosołkiem z kury i pieczystem z kurczęcia, a pigułki proszę brać po jednéj co dwie godziny...

Chora stękała i tłomaczyła lekarzowi:

— Może to mało po jednéj...,

— To można po dwie, ale lepiéj po jednéj, gdyż to mocne lekarstwo, a jéjmość pani delikatna...

— *Ach!... to dość po jednéj... E! ach!.. O!.. J!.. U!...*

— Niech jéjmość będzie spokojną.... Ręczę za zdrowie...— uspakajał lekarz.

— Jakiż skutek pigułki sprawią?..— pytała chora.

— Bardzo wyraźnego, żadnego... Ingredyencye w pigułkach zawarte działają na system nerwowy, a choroba

jejmości właśnie w nerwach ma siedlisko... Nerwy pani bardzo delikatne... Nie prawdaż?...

— Ach!... prawda, panie doktorze...

— Idąc szybko pod górę, pani się męczy.... Nie prawdaż ?...

— Ach, prawda...

— Wąchając, pani czuje i zapach i smród... Nie prawdaż ?...

— Ach, prawda...

— Wyszedłszy w mróz na dwór, doświadcza pani zimna... Nie prawdaż ?...

— I to prawda...

— A kiedy na dworze gorąco, to i pani gorąco...

— A gorąco... Ach! jakże pan doktor zna dokładnie symptomata *mojéj* choroby!...

Doktor uśmiechał się dobrotliwie i zalecał:

— Niechże jejmość bierze regularnie pigułki i przestrzega dyety, a za zdrowie ręczę... Nerwy się uspokoją, wzmocnią i pani będzie zdrową, jak rybka, i...— dodawał z filuternym uśmiechem— i to jeszcze ładniejszą, bo to zwykle po takiéj chorobie wdzięków nie umniejsza się, ale przybywa...

Z powodu tego *sposobu leczenia praktyka* lekarza była ogromnie rozległą a ekspens na pigułki olbrzymim. Nigdy nie wystarczało mu tych gałek, które on sam przy obiadach i wieczerzach z chleba kręcił. Kręcił je także i jego pomocnik, dodając do chleba drobną dozę magnezyi, dla tego, aby był tego przekonania, że istotnie le-

karstwo preparuje. Wszystkie kieszenie we wszystkich sukniach doktora napełnione były gałkami: była to jego przenośna a wyłącznie na użytek płci pięknéj przeznaczona apteka.

Jak z chlebowemi gałkami, tak samo postępował z wodą z cukrem, tylko nieco oszczędniéj, dla téj przyczyny, że cukier w owych czasach bardzo był drogim artykułem. Wodę podfarbowywał niekiedy — np. czerwoném winem, miodem lub podpiwkiem — i tym sposobem tworzył z niéj brunatnego koloru miksturę, która nie była odrażającego smaku. To było jednym jeszcze więcéj powodem, dla którego rosła olbrzymio reputacya doktora. Panie w Kamieńcu i za Kamieńcem obejść się bez niego nie mogły. Doktór był dla nich uprzejmym i leczył je dwojakim sposobem: albo, gdy były rzeczywiście chore, rzeczywistemi lekarstwami, albo też, gdy chorowały na imaginacyę, pigułkami, w któréj istotnego lekarstwa zawierał się tylko pyłek magnezyi, i osłodzoną miksturą, w któréj istotnego lekarstwa ani kropelki nie było.

W chorobach dwornych pań także pigułki i mikstura wielką rolę odegrały, i panie, jedna po drugiéj, dźwigały się z łóż, na które je przestrach był rzucił. Jedna tylko pani Wolska wraz z innemi nie powstała, dla tego może, iż nie takie jak inne lekarstwa zażywała. Obstawiono ją pijawkami i bańkami, dawano jéj śmierdzące pigułki, obrzydliwe proszki i obrzydliwsze jeszcze mikstury; ona długo walczyła z chorobą, a przez początkowych kilka dni pozbawioną była przytomności — w malignie bredziła.

Otaczający ją słyszeli często wymawiane imię Kuźmy Jeża. Imię to jakiś magiczny na nią wywierało wpływ.

— Jegomość pan Jeż!...— mówiła niekiedy, wpatrując się w kotary łóżka lub w koło z przytomnych.— Jakby to dobrze było, gdyby wszyscy byli takiemi, jak pan Jeż...

— Jegomość pan Jeż!...— innym się razem odezwała. — On mi kogoś przypomina, kogoś takiego, kogo w dzieciństwie mojém znałam... Poczekajcie! przypomnę sobie...

I myślała, niby pamięć w jedno zbierając ognisko.

— Ha! miałam męża... Miałam!... Zkądże to się wzięło, że teraz moim mężem jest pan Jeż?...

Obecni, którzy to słyszeli, zdziwionemi oczami spojrzeli po sobie, i te bredzenia chorej kobiety zakarbowali jako adnotacyę dla pamięci na przyszłość.

Stan ten jednakże trwał nie długo. Chorej po kilku dniach powróciła przytomność, a po kilku tygodniach zdrowie.

W epoce przytomności najpierwéj myśl jéj zwróciła się na Kuźmę i najpierwsze jéj zapytania jego się tyczyły:

— Czy mocno poraniony?... Czy bardzo chory?...

Na jedno i drugie pytanie odpowiedziano jéj przeczącym sposobem, a to wyraźnie dla tego tylko żeby ją uspokoić, bo bohater nasz bardzo był chorym, tak, że życie jego na włosku wisiało i lekarz najenergiczniejszych użyć musiał środków, aby go uratować. Podobno jednak-

że nie lekarskie środki, lecz natura przy pomocy młodości przy życiu go zachowała. Wówczas, kiedy pani Wolska z łóżka powstała, Kuźma przychodził do przytomności, a kiedy ona już go odwiedzić mogła, on dopiero był w stanie usiąść na łóżku, opierając się ciałem i głową o poduszki.

Pierwsze ich spotkanie się było niemém. Pani Wolska uśmiechnęła się do Kuźmy, Kuźma odśmiechnął się pani Wolskiéj, popatrzyli na siebie z jakimś wyrazem współrozumienia się— wdowie oczy zaczęły łzami nabiegać,— uśmiechnęła się więc jeszcze raz, na pożegnanie, i odeszła.

Drugie spotkanie, które tego samego jeszcze dnia miało miejsce, już nie na samym skończyło się uśmiechu.

— Jak się jegomość, panie Jeżu, masz?... — pytała wdowa.

— Dobrze... lepiéj... — słabym głosem odpowiedział Kuźma.

Na tem skończyła się rozmowa, a zastąpiły ją spojrzenia i uśmiechy.

Trzecie spotkanie było rozmowniejszém, czwarte jeszcze rozmowniejszém, ale ze strony wdowy, bo bohaterowi naszemu trudném i zabronioném było mówienie. I powoli powróciły dawne posiedzenia: pani Wolska opowiadała lub czytała, a Kuźma słuchał.

Tak upłynęło blisko pół jesieni i blisko pół zimy.

W zamku Kuźmę i piękną wdowę nazywano — zako-

chanemi i rozprawiano już o tém, jak to podczas wesela przynajmniéj zdemaskuje się tajemniczy bohater.

— Do zapowiedzi księdzu— mówiono— będzie przecie musiał dać metrykę, z któréj dowiemy się, gdzie się urodził i zkąd pochodzi...

— A jeżeli za indultem ślub się odbędzie?...— ktoś zarzucił.

Więc rozmyślano nad tém, czy ślub będzie za indultem, czy z zapowiedziami.

Mówiono nawet o tém pani Wolskiéj, która odpowiadała w tym mniéj więcéj sensie:

— Dajcież pokój!... mnie ani się śni iść za mąż, a panu Jeżowi żenić się...

Ale nie chciano jéj wierzyć.

XI.

Wiosna sprowadziła dwie rzeczy, interesujące nas w rozwoju naszéj powieści: zdrowie Kuźmy i powrót wojsk, zostawionych na Multanach pod dowództwem Starosty.

Piérwsze przyszło przed przybyciem wojsk. Kuźma przebył spokojnie epokę rekonwalescyjną, wyzdrowiał i w zamku znalazł się nie jako dworzanin ani gość, ale jako członek starościńskiéj rodziny. Paszportem do rodzinnéj poufałości była wdzięczność, jaką dla niego starościna i starościanka przejętemi były i która wyrobiła mu *względy u wszystkich dwornych pań i u wszystkich*, bądź stale, bądź czasowo w zamku przebywających. Gdybym się nie obawiał nadużyć wyrazu « kochać », powiedziałbym, że panie w nim się kochały; panowie zaś uważali go jako młodzieńca pełnego nadziei i przyszłości.

— Kto tak rozpoczął, jak jegomość pan Jeż...— *mó-*

wił staruszek wojski— ho-ho!... ten daleko zajdzie... Bo to wszystko w nim jest, i odwaga i rozum...

Gdyby wojski znał był tajemnicę pochodzenia rozumu naszego bohatera, to możeby mu go tak bezwzględnie nie przyznawał. Nieznając jednakże, sam wielce się przyczyniał do pomnożenia jego wiadomości.

Kuźma w czasach podwójnej swojej rekonwalescencyi był słuchaczem. Po wyzdrowieniu zaś, zachciało mu się sprawdzić to co słyszał. Wziął się więc do ksiąg, których nie małą liczbę księgozbiór Starosty posiadał i nad niemi spędzał wszystkie chwile, w których nie był na pokojach zamkowych.

Z razu napotkał trudności, z któremi musiał się łamać. Nie umiał gładko czytać. Wodził palcem po wierszach i wybąkiwał sylabę po sylabie. Lecz z czasem wprawił się, i to go tylko gniewało, że nie był w stanie czytać po łacinie, że zatém znaczniejsza połowa starościńskiego księgozbioru pozostała dla niego tajemnicą.

Pod tym względem wielką pomocą stał się dla niego wojski. Staruszek nie uczył go po łacinie, lecz w pogadankach z nim rozpowiedział mu niemal wszystko ważniejsze, co w łacińskich księgach zawartém było, — a rozpowiedział to przypadkowym sposobem, bez zsyłania się na autorów, bez cytowania, nawet bez umyślności, a tylko— tak— po prostu, jak się rozpowiada o tém i o owém dla przepędzenia czasu. Do rozpowiadań tych przypadkiem przymieszała się historya Grecyi, historya Rzymu, historya Żydów, przypadkiem wtrącały się niektóre

poglądy filozoficzne na świat i ludzi, przypadkiem historye owe i poglądy czepiały się stosunków politycznych, w jakich się Polska i Europa w 1600 roku znajdowały, i tego wszystkiego treść lokowała się w głowie bohatera naszego. Nie byłby on w stanie zdać egzaminu z historyi, filozofii i polityki, nie potrafiłby oznaczyć dat i miejsc, lecz z tego co słyszał, utworzyła się pewna całość organiczna, przedstawiająca się jako szkic wiedzy wypełniony fantazyą słuchacza. Fantazya zastępowała szczegóły i tworzyła w głowie Kuźmy coś nakształt historyczno-filozoficzno-politycznéj powieści, któréj bohaterowie byli bohaterami dziejów ludzkości. Imiona ich plątały się mu w pamięci. Często jednego brał za drugiego i nie wiedział dokładnie, który do jakiego należał narodu. A wszyscy oni, jako świta cnotą świetna, grupowali się *około jednéj postaci, téj*, która nauczyła, że Ojciec niebieski jest ojcem wszystkich ludzi, i że wszyscy ludzie są braćmi pomiędzy sobą, téj, która za tę naukę na krzyżu umarła.

Dla czego postać ta najmocniej bohatera naszego uderzyła, to naturalnym sposobem z jego położenia społecznego wypłynęło.

Póki Kuźma był chorym, póty pozwalał robić ze sobą wszystko, nie mogąc się temu sprzeciwić ani o tém pomyśleć. Zawieźli go do pałacu logoteta, i wysoki urzędnik państwa na palcach około niego chodził: — on to przyjmował, bo nie przyjąć nie mógł; przywieźli go do zamku Starosty i panie otoczyły go troskliwością: — on

i to przyjmował, bo nie przyjąć nie mógł. Lecz wyzdrowiawszy, przyszła mu do głowy myśl następującej treści:

— Wszak ta sfera towarzyska, w której teraz żyję, to nie moja.... Ja tu obcy.... Ja do niéj podstępem się wdarłem...

I był niespokojnym, jak człowiek bez paszportu podróżujący po krajach przez policyę rządzonych.

Ukrzyżowany jednak za braterstwo ludzi Chrystus uspokoił go.

— E!...— rzekł sobie w duchu — toć przecie ja im brat.

I ze spokojnem sumieniem wiązał się poufałością z wielkim światem, do którego nauczył się stosować.

Pomimo wszakże tego nauczenia się, zdarzały się wypadki, w których znać w nim było chłopa. Niekiedy objawiały się w jego obchodzeniu się wielka szorstkość i gburostwo. Nieraz w łeb się podrapał, albo rękawa użył zamiast serwety, albo zapomniawszy się, ruszył jakimś nie zupełnie przyzwoitym konceptem. To jednakże szło na karb oryginalności i uchodziło. Nie uszłoby zapewne nikomu innemu, lecz Kuźma znajdował się w obec rodziny i dworu Starosty w położeniu wyjątkowem, z powodu którego nie takie nawet salonowe zbrodnie za dobrą byłyby przyjęte monetę. Starościna nie zapominała ani na chwilę, że on jéj męża, a starościanka, że ojca uratował, a przybywający do zamku lub przebywający w nim szlachcice, widzieli w nim człowieka, który zachował Rzplitéj zasłużonego i potrzebnego męża. Ztąd pochodzi-

ły poufałości, przebaczanie salonowych występków i szacunek, jakiemi bohatera naszego otaczano.

Od czasu wyzdrowienia, ustać musiały jego sam-na-sam z panią Wolską. Wdowa nie przychodziła już do jego izby. Jakoś na parę dni przed zaprzestaniem odwiedzin, oznajmiła mu:

— Już więcéj nie przyjdę do waszmości...

— Czemuż-to?... — zapytał Kuźma z akcentem żalu czy zdziwienia.

— Bo to byłoby nieprzyzwoicie...

— Nieprzyzwoicie!... — rzekł Kuźma i oczy szeroko otworzył.

— A tak... — odparła wdowa — świat przepisał dla ludzi pewne prawidła postępowania, których surowo przestrzega... Trzeba im zadość czynić, bo gruntują się one na moralności...

— Hm!...— odezwał się nasz bohater, przyzwyczajony wdowie wierzyć na słowo— jeżeli trzeba, to trzeba... Ale już teraz, ja i sam będę mógł chodzić...

To «sam chodzić», pani Wolską nie wiedziała, co znaczy. A znaczyło ono:

— Kiedy ty nie możesz przyjść do mnie, to ja będę mógł pójść do ciebie...

I nie namyślając się długo, drugiego czy trzeciego poranku, nie doczekawszy się odwiedzin pani Wolskiej, zebrał się i poszedł szukać ją po zamku. Wszedł najpiérw do komnaty spólnych zgromadzeń (po naszemu, do salonu), i ztamtąd skierował się w tę stronę, z któ-

réj widział przychodzące panie i zaczął błądzić w labiryncie izb, sieni i kurytarzów, zrazu nikogo nie spotykając. Spotkawszy w końcu jedną ze służących, zapytał:

— Gdzie tu pani Wolska?....

Służąca popatrzyła na niego zdziwionemi oczyma, nic nie odpowiedziała, zaśmiała się i uciekła.

— Zwaryowała!...— mruknął Kuźma, i szedł daléj.

Druga spotkana służąca taką samą jak piérwsza dała mu odpowiedź. Trzecia wyrzekła jeden wyraz:

— Niewiedzieć co!...

I uciekła.

Czwarta, jakoś nie śmiejąca się, ścisnęła tylko ramionami.

Kuźmę jednakże te służących odpowiedzi nie naprowadziły na domysł, że poszukiwania jego są co najmniéj niestosownością. Za punkt niejako honoru wziął sobie: odszukać panią Wolskę koniecznie. Więc szedł, błądził, aż dostał się na korytarz, na którym, niby w klasztorze, znajdowały się w obydwóch ścianach szeregi drzwi — i na którym rozmaite sprzęty świadczyły, że za temi drzwiami płeć piękna się ukrywa.

Nie po sprzętach jednakże, na których się nie znał, bliskość jéj obecności rozpoznawał nasz bohater, a potém, że za drzwiami słychać było niewieście głosy.

— A!... więc tu gdzieś być musi...— rzekł do siebie.

I otworzył piérwsze lepsze drzwi, które mu najbliżéj pod ręką były.

Przeraźliwie a natychmiast, jak tylko na progu się ukazał, słuch jego uderzyły:

— Ach!... Uch!...

Ujrzał bowiem dwie panie, z których jedna, w téj właśnie chwili, koszulę nocną na dzienną przemieniała, a druga siedziała przed gotowalnią więcéj niż wygorsowana i przy pomocy kamerystki warkocze trefiła. Parę pokojówek kręciło się po izbie.

«Ach!» i «Uch!» pań zagrzmiało *niby hasło dla* pokojówek. Rzuciły się ku drzwiom, bez ceremonii wypchnęły naszego bohatera i drzwi zatrzasnęły, nie dawszy mu nawet przyjść do słowa. Chciał Kuźma spytać się o panią Wolskę, ale nie miał czasu, tak szybko znów za drzwiami na korytarzu się znalazł.

W drugiej izbie nic *inne spotkało go przyjęcie, pomimo, że tam* panie były już na pół ubrane. W téj jednakże zdążył się zapytać:

— Gdzie tu pani Wolska?...

Odebrał wszakże odpowiedź taką, jaką mu dawały spotykane służące. Pokojówki w nos mu się roześmiały.

Szukał jednakże i po bezowocnem tu i tam zaglądaniu, *opuścić musiał* z niczem korytarz.

Awantura ta stała się głośną i doszła aż do saméj starościny uszów. Gdyby to nie był Kuźma, to nie wiadomo, jaki skutek pociągnęłoby za sobą to, takie wyraźne pogwałcenie prawideł przyzwoitości. Kuźmie jednakże uszło i tylko ściągnęło na niego niby-zagniewane spoj-

rzenia kilku pań, gdy o zwykłej porze spotkał się z niemi na salonie, gdzie spotkał się i z panią Wolską.

— Dziś z rana chciałem panią odwiedzić...— rzekł do niej w głos, nie domyślając się przestępstwa.

Panie— jedne uderzyły w śmiech, drugie, te które on w rozmaitych przygotowalnianych pozycyach oglądał, popiekły raki, a pani Wolska odpowiedziała:

— Ale, co też waszmość narobił!...

— Co?...— zapytał Kuźma naturalnym tonem.

— Tak się przecie nie godzi.... To nieprzyzwoicie, wchodzić do pań, kiedy nieubrane...

— Szukałem pani.. Pani do mnie nie przychodzi, to ja chciałem pójść do pani i trafić nie mogłem...

Wdowa uśmiechnęła się i wytłómaczyła mu, że przychodziła do niego z powodu jedynie jego choroby; teraz jednakże, kiedy już, Bogu dzięki, wyzdrowiał, przeto powód przychodzenia ustał i ona nie może tego robić, bez narażenia swojéj dobréj sławy. Z téj saméj przyczyny i on do niéj nie może przychodzić.

— Takie są— kończyła— przez świat przyjęte prawidła, których gwałcić bezkarnie nie można.

— A u nas...— przerwał Kuźma, lecz w język się ukąsił, bo przypomniał sobie, że nie można mu o Hrynenkach rozpowiadać. Więc poprawił się:

— A ja myślałem, że kto źle nie czyni, ten dobréj sławy nie naraża.... A jeżeliby kto targnął się na dobrą sławę tego co źle nie czyni, tenby skłamał, i kłamstwo

prędzej później wyszłoby na wierzch i kłamcaby się wstydził...

— Nimby to nastąpiło...— odrzekła wdowa— to tymczasem możnaby dużo ucierpieć... Nie lepiejże zastosować się do prawideł, które nie są ciężkie...

— Ale, nie ciężkie!...— podchwycił Kuźma.

Wdowa pokraśniała na ten naszego bohatera wykrzyknik, *który był naiwnym ale dobitnym komplementem*, a przytém *takim, że szczerość onego najmniejszéj nie podpadała wątpliwości.*

Od tego czasu Kuźma i wdowa widywali się ze sobą tylko w salonie i tylko w godzinach, w których kobiety z mężczyznami się schodziły. Reszta dnia upływała im osobno.

Każde *z nich tęskniło do chwili spotkania.*

Byłaż to miłość?... Zaręczyć nie można, że to nie ona objawiała się w dwóch sercach, skojarzonych ze sobą jakimś rodzajem moralnego pokrewieństwa, w dwojgu ludzi, których zespoliła tożsamość niebezpieczeństwa.

Nic bowiem nie zespala tak jak niebezpieczeństwo. W straszliwych burzach, których teatrem bywa południowa *Azya, zdarzało się, że w jednéj i téj saméj jaskini* szukali schronienia węże, tygrysy i ludzie,— razem słuchali wycia wichru i łoskotu piorunów, i byli ze sobą jak przyjaciele. Spólność niebezpieczeństwa zespalała ich i nakazywała im wzajemny dla siebie szacunek. Cóż to za wpływ wywierać ona musi na ludzi!...

Pod czarem wpływu tego byli Kuźma i pani Wolska. Byli sobie jakoś bliscy. Lecz, czy kochali się?

Z pozorów sądząc, możnaby na to pytanie twierdzącym odpowiedzieć sposobem. Tak odpowiadali sobie wszyscy, którzy z boku na naszą parę patrzyli.

A była to para dobrana.

Pani Wolska była piękną: o tém już wyżéj mówiłem. Kuźma nie był pięknym, lecz zajmującym. Z oczu patrzał mu zuch, gotów ważyć się na wszystko, z twarzy coś takiego, co to wzbudza zaufanie, a przytém przez czas choroby wydelikatniał i na pana wyglądał.

Pani Wolska była od niego o parę lat starszą. Ta okoliczność nie przeszkodziłaby uczuciu, gdyby miało się ono zawiązać. Widziano młodzików kochających się w dwa razy starszych od siebie kobietach i wzajemność posiadających. Mógł więc i nasz bohater pokochać piękną wdowę. Ale jego serce należało do Jerynki, jéj do nieboszczyka Wolskiego.

O tém ostatniém z pewnym przekąsem w zamku mówiono.

— Pani Wolska weźmie rozwód z nieboszczykiem...— powiadały jedna drugiéj panie, w takich chwilach, w jakiéj onego poranku spłoszył je Kuźma.

— Niewątpliwie...

— I zdaje się, że bez wielkich kosztów rozwód się obejdzie...

— Może kosztem kilku gorących łez.

— To jeszcze nie wiele.

— Możnaby drożej opłacić.... Jaką wotywą naprzykład...

— I to się przysposabia.... Pani Wolska haftuje obraz do głównego ołtarza w katedralnym kościele...

— Więc rozwód pewny!...

Takiém było ogólne mniemanie. Panie przypuścić nie mogły, aby wdowa chciała dłużéj dotrzymywać ślubów nieboszczykowi.

— Nie widać— powiadały— jak zrzuci wdowi ubiór i ukaże się nam świetniejąca blaskiem, jak motył...

— Gąsienica w motyla się zamieni...

Ten żart pobudzał do śmiechu, który aż łzy wyciskał.

Miałyż-bo panie do pani Wolskiéj niepospolity żal. Zdawało się im bowiem, *że ona im z przed nosa kawalera zabrała*, a chociaż pomiędzy niémi znajdowały się i takie, które kawalerów nie potrzebowały, dla téj prostéj przyczyny, że były mężatkami, niemniéj przeto i te krzywo się na wdowę patrzyły.

— Na cóż to było taką świętą i nieprzystępną udawać!...

A okrom tego zarzutu, był jeszcze i inny, *niemniéj* ważny. Każda mężatka *protegowała* jakąś pannę, którą chciałaby wyswatać. Kawaler się zdarzył— sam się nastręczył,— sam niejako wlazł w ręce — trzeba go było tylko wziąść— a tu już go uchwyciła i to jeszcze jaka? taka, co pod skrzydłem żadnéj nie stała protekcyi.

Złośliwość kobieca nie poprzestawała na żartach i prze-

kąsach. O! bo też jest to złośliwość bezgraniczna. Szła ona dalej i aż tak daleko zachodziła, że panią Wolskę za śmierć Słupskiego odpowiedzialną czyniono.

— Ona go uwodziła...

— Ona wiedziała o zazdrośliwej harfiarza miłości i umyślnie okazywała Słupskiemu względy, aby drażnić Włocha...

— *A, to okropnie!...*

I istotnie straszno się paniom robiło. Na wiarę własnego, fantastycznie wymyślonego przypuszczenia, oczy im się szeroko otwierały i po za plecy mrowie przechodziło.

— Gdyby mnie coś podobnego spotkało, to nie wiem cobym zrobiła... Uciekłabym od świata i ludzi...

— Ja do klasztorubym poszła...

— Zapewne... Pani Wolskiej nic innego nie pozostaje, tylko klasztor.

Pani Wolska nic o tych wszystkich gadaninach nie wiedziała. Ona od dawien dawna zajmowała stanowisko zewnętrzne względem wszystkich plotek i komerażów, jakie się na jej lub czyjebądź konto pomiędzy paniami kleiły, i które zwykle marły bezowocnie, bo nie znajdowały najmniejszej podpory w starościnie, która z powodu swojej flegmatyczności i stanu ciągłego spoczynku, bynajmniej się do nich nie mieszała.

Rej w tej mierze wodziła panna Zatorska, lecz bardziej dla zabawy jak z potrzeby, bardziej dla przepędzenia czasu, jak dla robienia jakiegoś donioślejszego użytku.

U téj *kabała* i plotka jedno i toż samo miały znaczenie: interesowała się niemi mocno i jednakowo, póki piérwsza była na stole a druga się toczyła; lecz zapominała o nich natychmiast, gdy jedna ze stołu znikła, a druga przebrzmiała.

Niektóre z pań miały to pannie Zatorskiéj za złe, a szczególnie, gdy stworzoną została plotka o pani Wolskiéj.

— Gdybym była na miejscu panny Zatorskiéj, to jużbym dawno o wszystkiém staroście powiedziała...— rzekła raz do niéj wręcz jedna z pań.

— A, niech-że mnie Pan Bóg broni!...— zawołała panna Zatorska.— O tożby się dopiero starościna zmęczyła!.. Jéjmość starościna bardzo ma delikatne zdrowie, takie delikatne, że *jéj o takich rzeczach mówić nie można.*

I nie mówiła, chociaż się wraz z wszystkiemi mocno oburzała.

Pani Wolska poznała, że jest celem obmowy. Nie pokazywała jednakże po sobie tego że poznała, trzymała się zdaleka, na stronie, i dla wszystkich i ze wszystkiemi była jednakową. Rozmowy jej tylko z Kuźmą stały się rzadszemi, a to z tego powodu, że dużo ciekawych uszów otwierało się, ilekroć ich dwoje wszczynało ze sobą pogadankę. Rozmowy te zamieniły się na ogólne i straciły ten interes, jaki dawniéj miały. A i te często się rwały, bo im nieraz wątka nie stawało: więc zastępywano je różnemi towarzyskiemi grami, z których niektóre do naszych przechowały się czasów. Bawiono się w pierścionek, w są-

siadów, w lisa. Kuźma brał w tém wszystkiém serdeczny udział, a kiedy przychodziło się z pytką mieć do czynienia, to nie żałował dokładać ręki. To też młode panie bały się go i nie żartem przed nim uciekały, ilekroć ujrzały rękę jego uzbrojoną strasznym instrumentem.

— Panu Jeżowi zdaje się, że ma z Wołochami do czynienia, że tak mocno bije... — mówiła mu jedna, śmiejąc się.

— Kiedy bić, to bić...— odpowiedział Kuźma. — Pozwalam odwetować na sobie...

Żart żartem a ślady po pytkach paniom zostawały, zwłaszcza, że w owych wiekach krynolin nie znano i pytka lgnęła do samego prawie ciała— i gdyby te gry dłużéj były potrwały, to nie ma najmniejszéj wątpliwości, że zaszczyt wynalazku krynoliny spadłby na kamienieckie damy. Gdyż już o tém mowa była, już jedna z pań wpadała na myśl:

— A gdyby to drut wsadzić.... tak... węższy u góry a szerszy u dołu...

— Lepiéj poduszkę...— odezwała się inna.

Poszło pod głosy i poduszka przeważyła. Chodziło tylko o wykonanie, to jest: o zastosowanie jéj kształtów do odpowiedniego użytku.

Nie daremnie powiadają, że «potrzeba jest matką wynalazków.» Jak zaczęły panie myśleć, przemyśliwać i naradzać się, to i wynalazły kształt i natychmiast zabrały się do roboty. I wystąpiły w puklerzach od pytek.

Bohater nasz nie dostrzegł tego wzrokiem, ale pierw-

sze uderzenie pytką dało mu to poznać. Więc na głos krzyknął:

— Zdrada!... dalibóg-że!... poduszka!...

Wyraz ten był niby niespodzianém pęknięciem bomby. Policzki pań oblały się szkarłatem raków, a téj, która biegając powtarzała:

— Lis bieży, ogon leży...— słowa na ustach zamarły.

Zmieszanie to powiększyło się jeszcze, kiedy bohater nasz, nie obwijając w bawełnę, wypowiedział tonem pretensyi:

— Pokładły poduszki... To się nie godzi...

Niedyskretność ta była ostatnią. Wyrwała się ona Kumie niechcący; lecz wszystkim jego «niechcący,» zwykle prostakowatym, położono koniec tém, że ile możności unikano wywoływać je. Najprostszym na to sposobem było, zdaje się, wywołanie Kuźmy, czyli zabronienie mu bywania na salonach i uczęstniczenia w rozrywkach wielkiego świata. Temu jednakże radykalnemu środkowi stała na przeszkodzie ta okoliczność, że względem niego dłużną się czuła rodzina Starosty. Nie było rady: trzeba było znosić jego «niechcący,» nad któremi potrzeba owa znoszenia wywoływała głębokie zastanowienie się, które w ostatecznym rezultacie wydawało z siebie — politowanie.

Litowały się panie nad Kuźmą.

— Biedny... zaniedbany... Nie odebrał odpowiedniego wysokiemu urodzeniu swemu wychowania...

Zawsze bowiem trwały przypuszczenia o jego sułtani-

costwie i królewiczostwie. Sułtanicostwo jednakże stało się najprawdopodobniejszém, a to z przyczyny, że wsparła je legenda o porwanej przez Tatarów Lubomirskiej, czy Koniecpolskiej, która jakoby miała być sprzedaną sułtanowi i zostać jego prawowitą żoną, a Kuźma miał być tego stadła owocem, wykradzionym przez Zaporożców i na Ukrainie wychowanym.

— Może on sam o tém nie wie...— krążyło pomiędzy paniami.

Może i nie wie...— była odpowiedź.— Ale to pewna, że gdy się dowie, to upomni się o tron i nawróci Turków na chrześcijańską wiarę... Zapewne nic mu o tém nie mówią, żeby przedwcześnie nie drażnić Turków, którzy myślą, że następca ich tronu nie żyje...

— O! z pewnością tak myślą...— odezwała się któraś *polityczka.— Im się bowiem zdaje, że gdyby żył*, to Zaporożcy żądaliby za niego okupu, a Turcy nie pożałowaliby złota na wykupienie sułtanica...

W obec takiego przypuszczenia, takiemi olbrzymiemi skutkami ciężarnego, jakże nie miano mu przebaczyć zapomnień się, niestosowności, i owych «niechcący» będących reminiscencyami wiejskiego jego prostactwa! Co więcej: *jakżeż nie jedna z pań, których ręce były na oddaniu*, nie miała roić:

— Mój Boże!... coby też to było, gdybym została chrześcijańską sułtanką!... jak łaskawą byłabym dla poddanych!... a jakibym u siebie zaprowadziła dwór!...

I wzdychała, a na falach westchnienia pływały: suł-

tańska korona gęsto dyamentami wysadzana, gronostajowa, aksamitem pokryta kacawejka, złotem i srebrem przetykany a bardzo gustowny strój, perły w warkoczach, pałac nad brzegami Bosforu, konie, cugi, pojazdy, dworzanie, muzykanci, etc. etc.

Te rojenia tém bardziej irrytowały płeć piękną na panią Wolskę, że zdawało się, że one dla niéj się urzeczywistnią. Z drugiéj jednakże strony nakazywały względem niéj pewien szacunek.

— Bo, a nuż... — tak sobie myślano — ona sułtanką zostanie, to nieźle będzie być u niéj choć dworną panią...

To przeto co jéj w opinii pań zamkowych szkodziło, toż samo jéj i pomagało, i służyło jéj jako pewien rodzaj puklerza, równie jak ów poduszkowy skutecznego, bo jak *tamten od ciosów pytki, tak ten od ciosów obmowy* ochraniał.

Trwało tak, wlokło się i plątało, bez żadnych szczególnych wypadków, aż do maja.

Przed majem jeszcze przychodziła Kuźmie ochota powrotu do Hrynenek, lecz wstrzymał go list Lisowskiego, który, przewidziawszy zapewne, że mu się zechce odwiedzić rodzinę, pisał, namawiając żeby się jeszcze wstrzymał. Wstrzymał się więc i doczekał powrotu Starosty, Lisowskiego i wojsk.

Wojsk przybyło nie wiele: trochę kwarcianych i nadworne chorągwie pana Potockiego.

Przyjęcie ich było okazałém i uroczystém. Cechy i

bractwa wystąpiły z chorągwiami, żydzi z dziesięciorgiem przykazań. U bramy Kamieńca witano Starostę odpowiedniemi oracyami, w których Mars, Bellona i Themida były co dziesięć wyrazów wspominane, i treść których około tego się kręciła, że Mars składa miecz wojny a przypasawszy miecz sprawiedliwości, bierze w ręce szalki Themidy.

«Szalki Themidy» do tego się odnosiły, że Starosta Kamieniecki był prezydentem sądów kryminalnych, w których zalegało kilka ważniejszych a gardłowych spraw, a między innemi sprawa harfiarza.

Starosta krótkiem pozdrowieniem odpowiedziawszy na oracye, udał się do zamku, gdzie go powitania rodziny i domowników spotkały. Tu nie było oracyj, ale łzy. Długo niewidzianego witano z tą serdecznością, która u niewiast nie może się bez płaczu obejść.

— A jegomość pan Kuźma Jeż?..— zapytał Starosta, jak tylko z uścisków żony i córki się uwolnił.

Na to zapytanie nie potrzeba było odpowiedzi, bo powiódłszy tylko oczami do koła, spotkał się ze wzrokiem Kuźmy, który wyszedłszy na jego spotkanie za bramę miasta i powróciwszy wraz z towarzyszącym Staroście do bramy zamkowej tłumem, w tej właśnie chwili wchodził do komnaty, w której powitanie rodzinne się odbywało.

Wyciągnął do niego Starosta prawicę.

— Za najpierwszy obowiązek poczytuję sobie podziękować waszmości.... Tobie zawdzięczam to, że żyw i zdrów rodzinę moją widzę...

Kuźma uścisnął podaną rękę i chciał — czy pocałować ją, czy schylić się do kolan Starosty, tego nie wiedzieć — lecz Starosta pociągnął go ku sobie, otoczył ramionami i uścisnął.

— Niech waszmości Bóg zapłaci...— wzruszonym mówił głosem— bo wszystko, co jako wynadgrodzenie twojéj cnoty, zrobić jestem w stanie, nie wyrównywa mojéj wdzięczności...

— Mnie żadnego wynadgrodzenia nie potrzeba...— odparł rozczulony Kuźma— ja tylko swoją powinność pełniłem...

— Takie pełnienie powinności jest cnotą...— mówił Starosta — a taka cnota powinna ludziom być znaną... Więc wynagrodzenie nie tyle jest dla pana, ile dla ludzi, których zachęca do naśladowania...

Panie były wzruszone tak zupełnie, jak podczas przybycia bohatera naszego z Jass. Odświeżyło się bowiem w ich sercach uczucie wdzięczności i uwielbienia, jakiém wówczas były przejęte i które nie ustało, ale było już spowszedniało. Znów postać Kuźmy Jeża otoczyła świéża aureola bohaterstwa, mająca tym razem takie mniéj więcéj znaczenie, jak odnowienie malowidła na obrazie. Kuźma nie nowym zajaśniał blaskiem, lecz dawnym, tylko przez odnowienie uwydatnionym i podniesionym.

Ze Starostą przybyli i dworzanie. Zamek zaludnił się i zrobiło się w nim huczno, szumno i wesoło.

Powitanie Kuźmy z Lisowskim było serdeczne. Uści-

snęli się jak dwaj bracia, okrom węzłów braterstwa związani jeszcze ze sobą koleżeństwem i przyjaźnią...

— No, waszeć się przecie wylizał...— mówił Lisowski, opatrując Kuźmę z góry do dołu.

— Bogu dzięki, nóg nie zadarłem...— odparł Kuźma.

— A było koło waszmości kręto, mało co się należało.

— I, może tak źle nie było...

— Ale, ba!...— podchwycił Lisowski.— Mówiłem z lekarzami i od nich wiem, że gdybys waszmość wcześnie na pobojowisku nie był opatrzonym i ze zbroi uwolnionym, toby ich starunek nic ci nie pomógł... Byłbyś skonał, zanim oni przybyli...

— To mnie opatrzył kto przed lekarzami?...— zapytał zdziwiony Kuźma.

— A opatrzył...— odrzekł Lisowski.

— Kto?...

Lisowski zamiast odpowiedzi zapytał:

— Ale, słyszałem, miałeś waszmość powtórnie z choróbskiem do czynienia?...

— Miałem...— odrzekł zapytany— ten huncwot śpiewak chciał mnie jak prosiaka zakłóć... i pokaleczył...

— Nie mógłżeś się bronić?...

— A nie mogłem... Czém? gołemi pięściami?... A tak niespodzianie skoczył do mnie, że gdyby go pani Wolska za rękę była nie pochwyciła, to byłoby po mnie... Ot, pani Wolska uratowała mi życie...

— Hm!..: mruknął Lisowski.

— Dla czego waszmość mruknąłeś?...— spytał Kuźma, uderzony niezwykłym jakimś tego «hm!» akcentem.

Lisowski się uśmiechnął i ramionami ścisnął, jakby chciał powiedzieć:

— Ot, tak sobie...

Lecz po chwilce odrzekł pytającemu:

— Dla tego, że dziwnie około osoby waszmościnéj nawijają się piękne czyny: waszmość uratowałeś od śmierci Starostę, waszmości zaś uratowano dwa razy, raz na telezyńskiem pobojowisku a drugi raz w kamienieckim zamku, a w tym ostatnim razie część zasługi spada i na waszmości, bo przecież Włoch, jak słyszałem, zagroził i pani Wolskiéj, która byłaby zginęła, gdyby nie waszmość...

— To wszystko dobrze...— przerwał z lekkim akcentem niecierpliwości Kuźma — ale ja radbym wiedzieć, kto to opatrzył mnie na pobojowisku?...

Lisowski, w momencie gdy usłyszał powtórzenie tego raz już danego zapytania, sięgnął ręką w zanadrze i wydobył znany nam skórą obwinięty papier.

— Potrzeba— rzekł— abym to doręczył już waszmości, bo wkrótce ci się przyda... Chciałem oddać ci w Jassach, aleś był jeszcze mocno chory...

I zagadał o Jassach, hospodarze i logotecie. Hospodar i logotet słali Kuźmie pozdrowienia, a piérwszy przysyłał mu prezent— drogi pierścień— w dowód swojéj łaski książęcéj. Wręczycielem tego podarku miał być Starosta, o czém Lisowski oznajmiał Kuźmie.

— Na co mi to?...— podchwycił Kuźma.

— Posiadając ten pierścień, masz waszmość prawo żądania od hospodara i jego następców dobrodziejstw...

— Jakich-że ja dobrodziejstw żądać od nich mogę?— co mi oni są w stanie zrobić?

— Hm!...— odparł Lisowski— pieniędzy, majątków, dostojeństw....

— Pieniędzy... majątków... dostojeństw...— powtórzył Kuźma powoli.— Toć ja nie za nich i nie za pieniądze się bił.... Toć ich dostojeństwa żadnego pożytku mojej ziemi nie przyniosą.... A majątków na obczyźnie mnie nie potrzeba, bo mam w Hrynenkach mój grunt, młyn i chatę...

Lisowski nic na to nie odpowiedział, tylko serdecznie ścisnął go za rękę i odszedł.

I udał się do Starosty.

Starosta był sam w swoim gabinecie. Siedział przy stole, na którym rozłożone były papiery i piśmienne przybory, jak: szklanny, duży kałamarz, bronzową klamerką z wierzchu zamykany, podobnaż piaseczniczka, pióra, lak, pieczęć i kilka ksiąg, takich zapewne, których w pracach swoich musiał się mąż stanu radzić niekiedy. Stół pokryty był przeszarzaném czerwoném suknem, licznemi czarnemi plamami i kilku znakami od spalenia pochodzącemi poznaczoném, co świadczyło, że sukno owe nie od dziś ani od wczora służyło.

Starosta zajęty był pisaniem. Usłyszawszy otwierają-

ce się drzwi, odwrócił się, a ujrzawszy Lisowskiego, złożył pióro i pokazał towarzyszowi stołek obok siebie.

Lisowski usiadł.

— Prosiłem waszmości— rozpoczął Starosta— dla pomówienia o imćpanu Kuźmie Jeżu, który zdaje się być waszmości z dawna znanym...

— Nie z dawna...— odparł Lisowski— od pozaprzeszłej zimy, *to jest, od czasu, kiedy jegomość panie Starosto,* byłem przez pana *wysłany dla oglądania się po kraju* za rycerskimi ludźmi...

— Więc go waszmość znasz?...

— Znam...

— Wiesz, kto on taki?...

— Wiem...

— *Nobiles et equitus*, albo przynajmniej *sui juris?..*

— Ani jedno, ani drugie, miłościwy panie... Ale...

— Przecież waszmość sam go pod rycerski znak wprowadziłeś!... przerwał Starosta tonem wymówki.

— Tak, sam...— odrzekł niezmieszany Lisowski — i wziąłem na siebie odpowiedzialność za niego... Ale w tej mierze powodowałem się nie tem co można, a tem co potrzeba, i to w dwojakim względzie. Wiedziałem, *że potrzeba walecznych rycerzy: wprowadziłem* Jeża... i skutek pokazał, że się nie zawiodłem...

Potocki skinął głową na znak potwierdzenia.

— Wiedziałem...— ciągnął Lisowski, lecz raptem urwał i tak się odezwał:

— Lecz tu muszę wielmożnego Starostę uprzedzić, że to co powiem, może się mu nie podoba...

— To nic nie znaczy... Mów waszmość...— rzekł Starosta.

— Wiem — ciągnął Lisowski — i najmocniej o tém jestem przekonanym, że Rzeczypospolitéj wielkie grożą nieszczęścia, z powodu ucisku, jakiego zwłaszcza na Rusi stan chłopski od rycerskiego doznaje... Za usprawiedliwienie tego ucisku służy to, co mi się występném i głupiém widzi, że chłop jest podłym a szlachcic szlachetnym, że zatém podły niezdolnym jest zdobyć się na cnotę... Od dawna chciałem przekonać, że to nieprawda... Od dawna więc oglądałem się za człowiekiem stanu chłopskiego, którego możnaby wziąść wprost od pługa i pomiędzy rycerstwem jako przykład postawić i powiedzieć: patrzcie, oto na jaką cnotę zdobył się ten podły!... Wyszukałem Kuźmę, wprowadziłem go i nie zawiodłem się...

Starosta znów skinął głową na znak potwierdzenia i odrzekł:

— Pojedyńczy przykład niczego nie dowodzi... Tém waszmość nikogo nie przekonasz....

— Da Bóg— podchwycił Lisowski— miłościwy panie Starosto, że jeżeli Stwórca pożyć mi pozwoli, to ja ten sam przykład na większą podniosę stopę... Takiemi pojedyńczemi przykładami przysposabiam sobie na przyszłość materyały... Są one jak owe kołki, wbijane na miejsca gdzie ma wznieść się gmach... Kołki same nie są gma-

chem, a bez nich jednakże wznieść się on nie może, bo one dla niego rozmiary fundamentów określają...

Tu zamilkł i czekał. Starosta także milczał i pochyliwszy głowę, myślał. Milczenie trwało długo. Na twarzy Starosty ani aprobacyi ani dezaprobacyi znać nie było. W końcu odezwał się Lisowski temi słowy:

— A zresztą, czy ja zrobiłem dobrze, czy źle, to to dobre i złe na mnie samego spada.... *Jeżeli źle, to* Kuźma nie może odpowiadać, ani nawet jako spólnik, bo uroczyście oświadczam i zaręczam, że ja sam, od początku do końca, zakrywając przed nim całą za samozwańſtwo odpowiedzialność, tę rzecz prowadziłem...

— O to bynajmniej nie chodzi...— przerwał Starosta. — Hetman sam robił to przypuszczenie, że imćpan Jeż nie jest szlachcicem... *Myślę nad tém: do czego tego* rodzaju przykłady doprowadzić mogą?...

— Do czego?...— podchwycił Lisowski.— Do tego, że Rzplitej głów i rąk przybędzie i zatrze się różnica pomiędzy herbownem a nieherbownem rycerstwem, które już jedno na drugie zawistnem i nienawistnem patrzy okiem...

Tu znów zamilkł i znów Starosta się zamyślił.

— *Być może...— rzekł po chwili ten ostatni.*—Szczęść Boże waszmości, panie Lisowski... Waszmość prędzej, jak kto bądź inny, jesteś w stanie przedsięwziąść to i dokonać...

Lisowski nic na to nie odpowiedział, a Starosta wstał i począł chodzić po izbie. Lisowski przez uszanowanie

także wstał i postąpiwszy kilka kroków, stanął przy oknie. Starosta po chwili zatrzymał się przed nim:

— Więc tak, panie Lisowski... Kuźmie Jeżowi ułatwimy możność nobilitowania się, nie wymieniając wcale jakiego on pochodzenia... Na to wystarczy mu *testimonium virtutis*, podpisane przez Hetmana, starszyznę i towarzyszy... Z tém, jeżeli i kiedy zechce, będzie mógł stanąć przed zgromadzonemi na sejm stanami i żądać nobilitacyi, któréj mu stany odmówić nie mogą.... A dla nadania temu tém większéj powagi i wagi, dla zachęcenia innych do naśladowania prawdziwéj cnoty, uroczyście wręczymy mu owe *testificatio*, którego treść znaną jest waszmości...

Lisowski pochylił głowę na znak, że jest znaną i zapytał:

— Kiedyż to nastąpi?...

Potocki podniósł do góry oczy, jakby co sobie przypominał i odrzekł:

— Po jutrze... Po jutrze ósmy maja, uroczyste i narodowe święto... Po mszy rycerstwo wystąpi na turniejowém podwórcu i tam odbędzie się akt wręczenia *testificatio*... Nic mu waszmość o tém nie mów... Dam rozkaz wystąpienia chorągwiom z powodu święta patrona... Niech i imćpan Jeż uda się do roty i z nią razem wystąpi...

Tego samego jeszcze dnia rotmistrze dostali rozkaz wystąpić na św. Stanisława jak najparadniéj i w jak największym komplecie, i natychmiast towarzysze rozpoczęli przygotowania. Kuto konie, naprawiano rynsztunki, czy-

szczono i polerowano oręże i zbroje. Całe rycerstwo było zajęte i zafrasowane, a z niém i nasz bohater, któremu najwięcéj brakowało.

— Co ja poczną nieszczęśliwy!...— użalał się przed kolegami, którzy mu wszyscy wielką przyjaźń okazywali.

— Czego się waszmość frasujesz?... — zapytał go jeden.

— Jak *nie mam się frasować, kiedy ani konia, ani hełmu nie mam!...— odparł nasz bohater.*

— I! to fraszki... Konia możesz waszmość zażądać ze starościńskiéj stajni, a hełmu pożyczy ci ten, co ma dwa....

Lecz zaledwie towarzysz te wyrazy wymówił, zjawił się starościński pachołek i oświadczył imieniem Starosty, że Starosta prosi imćpana Kuźmy, aby za swój hełm strzaskany *raczył przyjąć od niego nowy*, a za swego konia zabitego, żywego z rynsztunkiem.

— Ot! i nie ma już o co się frasować!...— rzekł kolega.— Starosta, hojny dla wszystkich, miałby być skąpym dla waszmości!... Tego ani przypuszczać było można...

Kuźma przyjął podarunki, za które kazał podziękować Staroście. Koledzy oglądali je.

Hełm był pyszny, z łuszkową podpinką, z *rozsuwaną* przyłbicą, rzeźbioną na nadczółku i spływającą po grzebieniu obfitą końską grzywą, która aż na ramiona rycerza spadała.

— Cóż to za hełm!... co za robota!... co za ogon!... co za hart!... — wykrzykiwali koledzy, podając hełm so-

bie z rąk do rąk, na wszystkie strony go opatrując i na głowach probując.

— W tym hełmie waszmość dwa razy tyle ciosów mógłbyś wytrzymać, co w swoim dawnym...

To było wyraźnie widoczne. Duch jednakże sprzeczności nie przystał na to. Ktoś się odezwał:

— A nu!... Wdziéj waszmość hełm na głowę, a ja rąbnę berdyszem... Zobaczemy, czy od razu i hełm i głowa nie poszwankują...

— Nicby im się nie stało...— odpowiedział piérwszy.

— Ale! nic...— utrzymywał drugi.

— Nic!.... — twierdził piérwszy. — To hełm hartowny....

— A -sprobujmy!... — zaproponował drugi. — Waszmość jeżeli tak śmiało twierdzisz, to musisz być swego pewny....

Broniący hartowności hełmu postawionym był w przykréj pozycyi, z któréj go jednakże wyprowadził Kuźma.

— Nie pozwalam — rzekł — na moim hełmie prób odbywać.... Hartowność jego pokaże się w piérwszéj bitwie...

— A, to co innego... — odparł napastnik. — Jeżeli waszmość nie pozwalasz, to nie ma sposobu przekonać się; to i ja mam racyę i mój przeciwnik ma racyę.

Spór się zgodnym załatwił sposobem; lecz wznowił się przy oględzinach konia, który był siwéj maści a polskiéj krwi, młody, rosły, kształtny i silnie zbudowany. Rzecz poszła o pęciny i ciągnęła się długo i podzieliła

spierających się na cztery partye, i o mało nie rozstrzygnęła się kilku pojedynkami, którym nie brak ochoty, ale brak czasu stanął na przeszkodzie. Towarzysze rozeszli się po płatnerzach, ślusarzach, rymarzach, szewcach i kowalach, chcąc osobiście dopilnować rozdanych im robót i do pośpiechu przynaglić.

Cała wigilia Św. Stanisława upłynęła na przygotowaniach i nietylko rycerskich, ale i białogłowich, gdyż i panie miały wystąpić na krużgankach, na podwórzec turniejowy wychodzących. Dla rycerzy stukano, kuto, klepano, piłowano, szlifowano; dla pań szyto, prano i prasowano, i to tém pilniéj, że oprócz wystąpienia na krużgankach, zapowiedzianą jeszcze była gala w zamku, czyli dzisiejszym wyrażając się terminem, bal, na którym miano jeść, pić i tańcować. Z tego powodu i dla niektórych rycerzy miały igły do czynienia :— kamienieccy krawcy reparowali i odnawiali przenoszone paradne odzienia.

Musieli być krawcy owocześni niezmiernie biegli w swojéj sztuce, mając do czynienia nie z jedną, jak dziś, ale z dziesięciu przynajmniéj na raz modami. Musieli bowiem znać kroje strojów hiszpańskich, włoskich, angielskich, francuzkich, niemieckich, węgierskich, tureckich, kozackich i do tego po kilka w każdym rodzaju, bo Hiszpanie, Włochy, Anglicy, Francuzi, Niemcy, Węgrzy, Turcy i Kozacy rozmaicie się nosili, a szlachta polska wszystkich małpowała. Krawcy więc się sadzili na doskonałość, a często, gdy takowéj im brakło, na koncepta. Wymyślali stroje, dając im dowolnie takie lub owakie na-

zwy i nieraz się przytrafiało, że jak jakiego eleganta szlachcica ustroili, to do diabła robili go podobnym.

Dzień więc przedbalowy upływał szybko na wieloliczznych dla wszystkich razem i każdego z osobna zatrudnieniach. W zamku odczyszczano i odświeżano obszerne salony, na dolnem piętrze znajdujące się, a mogące do pięciuset osób wygodnie pomieścić.

Dla niejednego noc nawet przed Św. Stanisławem zeszła bezsennie;— dnia nie starczyło.

Nakoniec, przyszedł dzień parady i gali. Od rana całe miasto wyglądało świątecznie. Sklepy były pozamykane. Mieszczanie i mieszczki odświętnie się postroili. Żydzi nawet zamożniejsi w rasimorowych wystąpili kaftanach i szabasowych czapkach, pomimo że nie był ani szabas, ani żadne żydowskie święto.

Po kościołach sygnowały sygnaturki i lud szedł kolejno na wszystkie msze, sądząc zapewne, że najlepszy sposób przepędzenia świątecznego poranka jest w domu Bożym. Kościoły więc od rana były pełne, lecz najpełniejszym stał się katedralny, podczas gdy wyszła summa.

Do katedry zeszedł się cały Kamieniec. Starostwo, z całym dworem, wszyscy miejscowi, sądowi i administracyjni urzędnicy, całe miejskie starszeństwo, wszystko z żonami i familiami, okoliczna szlachta sproszona umyślnie przez Starostę na festyn, całe rycerstwo z pod obecnych w Kamieńcu chorągwi, większa połowa mieszczan i mieszczanek, rzemieślników, czeladzi, szkolna młodzież, słowem, kto tylko mógł zmieścić się w świątyni, każdy

w niéj był, słuchał summy i kazania. W kościele zrobiła się ciżba i dużo jeszcze ludzi stało na dworze.

Kazanie miał ksiądz przeor. Pięknie rozpowiedział o Św. Stanisławie i o tém jak on Piotrowina, dla dania świadectwa prawdzie, z grobu wskrzesił. Od prawdy przeszedł do cnoty i wymownie przedstawił, jak to dobrze poświęcić się dla cnoty.

Cnota w owym wieku inne trochę miała znaczenie, jak w naszym. Rozumiano pod nią zasługi na polu marsowém. To też gdy ksiądz przeor o cnocie wspomniał i rozwiódłszy się nad nią bliżéj ją określił, słuchaczom natychmiast przyszedł na myśl Kuźma, a zwłaszcza słuchaczkom, które poczęły się obracać i oglądać za nim po kościele. Lecz wtém zagrzmiał ksiądz przeor:

— Dom Boży domem modlitwy jest. Kto przychodzi do *kościoła, po to przychodzić powinien, aby się modlić*, nie zaś obracać i oglądać....

Słuchaczki spuściły oczy i ze skruchą dosłuchały kazania, które trwało z godzinę i skończyło się o pół do piérwszéj.

Po kazaniu rycerstwo— jakby wymiótł— całe się wyniosło z kościoła. W kościele zrobiło się przestronniéj i *coraz się przestronniéj robiło, tak, że «ite missa est»* wysłuchała już sama poważniejsza starszyzna. Wszystko zaś zresztą wyniosło się za rycerstwem i pociągnęło do zamku, gdzie w części obsiadło ławy, w amfiteatr na turniejowym podwórcu ustawione, w części zaległo wały.

Po mszy wytoczyła się naprzód starościna, a za nią

starosta, dworne panie i cały dwór i wszyscy kamienieccy mieszkańcy i wszyscy przyjezdni, i jedni kolasami, drudzy dryndulkami, inni piechotą, udali się na zamek, znikli w komnatach i po chwili ukazali się na krużgankach i na galeryi, która pod krużgankami była urządzoną. Pomiędzy niemi nie było tylko jednego Starosty.

Podwórzec turniejowy był zabytkiem dawniejszych czasów, kiedy turnieje były jeszcze w modzie. W epoce naszéj powieści odbywały się one jeszcze, ale bardzo rzadko. Każdy niemal jednakże zamek posiadał w swoim obrębie szranki na turnieje przeznaczone, na których panowie i dworzanie oddawali się ćwiczeniom rycerskim.

Lecz że właściwém przeznaczeniem tych szranków były popisy publiczne, przeto stosownie do tego były one urządzonemi. Były to zwykle okrągłe lub wielokątne place, do koła murem budowli opasane i jedną stroną do głównéj, obwieszonéj krużgankami i obwiedzionéj u dołu galeryą, ściany zamku przypierające. Z innych stron, stopniami coraz wyżéj w amfiteatr wznoszące się otaczały je ławki, stawiane w czasie widowisk, a po zakończeniu takowych wynoszone. Ławki te były po prostu deskami na rusztowaniach układanemi. Przeznaczone one były dla pospólstwa; dla dystyngwowanych zaś widzów krużganki i galerye. Same szranki znajdowały się na środku placu, oddzielone od ławek baryerą. Na plac prowadziło dwie bramy, przy których stali heroldy.

W czasach kwitnienia turniejów, wszelkich dokładano starań do upięknienia turniejowych podwórców. Krużgan-

ki, baryery, amfiteatra urządzano, z wykwintem i przepychem przyozdabiano je kobiercami, chorągwiami i kwiatami, bronzami i posągami. W epoce jednakże naszéj powieści ta mania nie przeminęła była jeszcze, ale już przemijała, jakby przeczuwając w powietrzu Cervantesa, który paladyństwu, a przez to i jéj ostateczny cios zadał. (*) Poczęto mniéj dbać o turnieje, a z niemi i o turniejowe szranki. W Kamienieckim np. zamku, okrom krużganków, *które do stałej zamkowej* należały budowli, wszystko zresztą było drewniane i nosiło na sobie ślady pośpiechu, z jakim było budowane. Nawet baryera przedstawiała prosty płot z desek, nie zbyt wysoki, taki, że za turniejowych czasów każdy rycerz mógłby przezeń przeskoczyć.

Téj wszelako prostoty znać nie było, tak ją sobą widze *zamaskowali. Amfiteatr był zapełniony*, *że nie było* gdzie szpilką tknąć; na krużgankach i galeryi było pełno.

Na jednym z najparadniejszych krużganków, na krześle aksamitem ze złotemi frenzlami obitém, reprezentującem sobą pewien rodzaj tronu, półtrzecią krzyża na wysokiem poręczu ozdobionego, siedziała starościna, zmę*czona*, odpoczywająca i z lekka wachlarzem się chłodząca. *Obok niéj*, *z jednéj strony starościanka*, z *drugiéj* pani Wolska, za nią panna Zatorska i jeszcze parę pań.

(*) *Don Quichotte* był już podówczas napisany, lecz jeszcze nie rozpowszechniony. Cervantes ur. 1547 um. 1616 r. Sława jego dopiero po śmierci szeroko się rozeszła.

Środek placu, właściwe szranki turniejowe, był pusty. Widze oczekiwali, spoglądając ku bramie i gwarzyli pomiędzy sobą na krużgankach i galeryach, kawalerowie prawili damom komplementa, na które im panie kompletami odpowiadały.

Nie były, jak mówiłem, przyozdobione szranki. Muszę jednakże odwołać to «nie były», gdy wspomniałem płeć piękną. Były — i to jak najpiękniéj, w żywe różnobarwne girlandy, uwite z pań i panien, które szeregami zasiadły na galeryi, i w bukiety, które na krużgankach się barwiły, pozawieszane w powietrzu, niby w jaskółczych gniazdach.

Czas upływał, środek podwórza był pusty, gwar rozmów się wzmagał.

Na raz, rozmowy raptem ustały, a z-za bramy o uszy widzów uderzyły dźwięki i brzęki wojennéj muzyki. Trąby, surmy i kotły napełniły powietrze jakimś nie bez pewnéj harmonii ryczeniem, połączoném z łoskotem i piskiem, zlewającemi się w monotonną i krótkiemi zwrotkami powtarzającą się melodyę.

Oczy widzów zwróciły się na bramę, z-za któréj wkrótce wysunęła się kapela, mająca na czele trębaczy, dmących w długie bronzowe trąby, ozdobione w pewien rodzaj kwadratowych z frenzlami chustek, od instrumentów na dół spadających; za trębaczami szli surmacze, za tymi dobosze, a na końcu postępowali muzykanci z klarynetami, żelami i talerzami. Kapela szła krokiem powol-

nym i wciąż grała,— przeszła przez środek placu i z boku się zatrzymała.

Za kapelą pokazała się cudzoziemska piechota, w dzidy i halabardy uzbrojona. Było jéj trzy roty. Przed każdą niesiono sztandar. Zajęły one część placu, ścieśnionemi kolumnami, stając za kapelą.

Za piechotą wysunął się z bramy jeździec na koniu, w całem ussarskiém uzbrojeniu. Koń pod nim był dzielny, ognisty i z niedającą się opisać gracyą niósł na sobie lśniącego pancerzem i hełmem rycerza, uskrzydlonego srébrnemi u ramion skrzydłami, okrytego lamparcią skórą i niosącego w prawém ręku krótką z proporcem kopię. Za pojedynczym tym jezdcem pokazało się czoło ussarskiej roty, czwórkami maszerującéj. Widok ten wydarł mimowolne z piersi widzów okrzyki uwielbienia, zrazu liczne, niezgodne, lecz w końcu grzmotliwe i tak jakby jedna pierś je wydała, zagrzmiało:

— Hura!...

I grzmiało póty, póki się ussarze nie uszykowali rozwiniętym frontem.

«Hura!» ustało, lecz znów się powtórzyło, gdy po rocie ussarskiéj, pokazała się, mniéj świetna, ale niemniéj marsowo wyglądająca, pancerna. I tak powtarzało się razy pięć, witając każdą wchodzącą i szykującą się chorągiew, pomiędzy którémi dwie ostatnie były kozackiemi.

Ostatecznie chorągwie uszykowały się w kwadrat, któremu jednego boku, od strony krużganków i galeryi brakowało. Jeden bok stanowiły kapela i piechota, drugi,

frontem ku krużgankom zwrócony, ussarska we środku a po skrzydłach pancerne roty, trzeci kozacy. Środek placu był wolny.

Po zupełném uszykowaniu się wojska, na środek wyjechał Starosta, świetnym dworem otoczony. Jak tylko się ukazał:

— Niech żyje Starosta!... wiwat Starosta!... — huknęło na całym podwórcu. I huczało, grzmiało, aż konie pod jezdcami prychać, kopytami ziemię grzebać i niecierpliwić się poczynały.

Chorągwie powitaniem przed Starostą się pochyliły.

Jaki był pod nim koń, jaki na koniu rynsztunek — nad tém niepotrzebniebym się rozwodził. Dość jeżeli powiem, że pod rotmistrzami piękne były konie, ale pod Starostą najpiękniejszy, że rynsztunki rotmistrzów i towarzyszy były pyszne i bogate, ale Starosty najpiękniejszy i najbogatszy. To tylko winienem dodać, że pan Potocki nie miał na sobie zbroi, lecz strój długi, poważny, szerokim a bogatym pasem przepasany i drogiém futrem wykładany. Pod szyją błyskała dyamentami szpinka złotem oprawna. Przy boku wisiała krzywa w jaszczurowéj pochwie szabla turecka, któréj rękojeść osypywały drogie kamienie. Na głowie, na bok przechylony, siedział kołpaczek sobolowy, czaplém piórkiem zdobny.

Starosta powolnym stępem, hamując rwącego się konia, objechał szeregi, które w milczeniu i porządku stały. Przez ten czas grzmiała muzyka i okrzyki, i nie ucichły, aż pan Potocki zatrzymał się na środku placu.

Zatrzymał się i rękę wyciągnął. Był to znak na ucišzenie się. Na ten znak, jakby makiem zasiał na placu; taka zrobiła się cisza, że w niéj prychnięcie lub kopnięcie kopytem tego lub owego konia echem się rozlegało. W ciszy téj dał się słyszéć wyraźny i donośny głos Starosty.

— Panowie towarzysze, rycerstwo, kwarciani i wierni Zaporożce! Król Jegomość a pan nasz najmiłościwszy, polecił mi złożyć wam, w jego królewskiéj mości imieniu, uroczyste dzięki, za cnotliwe i zaszczytne sprawowanie się wasze podczas ostatniéj z Wołochami potrzeby...

Po tym wstępie, opowiedział mówca w krótkości dzieje wojny wołoskiéj, wymienił potyczki i bitwy i otrzymane owoce. Przy końcu znów wspomniał o wdzięczności królewskiéj, którą tym razem połączył z podniesieniem zasług względem Rzeczypospolitéj. Od zasług ogólnych przeszedł do szczególnych, w których jako przykład dał Kuźmę Jeża.

— Panowie towarzysze, rycerstwo, kwarciani i Zaporożce!...— ciągnął— Imćpan Kuźma Jeż, o czém wszyscy zaświadczyć możecie, zasłużył na to, aby go zaszczytnie wymienić i jako wzór postawić... Nie wiemy, kto on jest, zkąd pochodzi, jakie posiada parentele i kolligacye... Lecz kto takiéj cnoty dał dowód, tego się o parantele i kolligacye nie pyta, ten jeżeli nie jest świetnego rodu potomkiem, sam swoją osobą staje świetnie na czele rodu.... Panie Kuźmo Jeżu, wystąp z szeregu!...

Kuźma, gdy imię jego zabrzmiało w obec takiego li-

cznego i okazałego zgromadzenia, zmieszał się. Krew uderzyła mu do głowy, w oczach mu pociemniało:— patrzał przed siebie i nic nie widział. Starosta mówił powoli, więc bohater nasz, nim kilka okresów jego osoby się tyczących wygłoszonemi zostały, miał czas przyjść do siebie i zrozumiał wezwanie wystąpienia z szeregu.

Zrozumiał, ale nie wiedział co począć— i nie występował. Towarzysze szeptali mu:

— Daj waszmość koniowi ostrogi...

On to słyszał, lecz ostróg nie użył. Niepokoił się w siedle i koń pod nim się niepokoił, z czego powstało chwianie się całego szeregu. Rotmistrz podjechał do Kuźmy i cicho do niego powiedział:

— Ostrogą konia!... Szkapa jednym susem wyskoczy, wówczas osadź ją waszmość przed Starostą...

Ruch rotmistrza dał poznać widzom, który z towarzyszy jest Kuźmą Jeżem. Oczy wszystkich zwróciły się na niego. Tego Kuźma nie spostrzegł, lecz chcąc pójść za radą rotmistrza, już miał ścisnąć konia ostrogami,— lecz wstrzymał się, i jakby dla nabrania otuchy wzniósł wzrok do góry.

I spotkał się ze wzrokiem pani Wolskiéj.

I nabrał otuchy.

Westchnął, jakby dla zrzucenia z piersi ciężaru, i raptownem a silném ściśnięciem uderzył konia ostrogami, zwalniając mu zarazem cugli.

Koń, jak to rotmistrz przewidział, jednym skoczył susem. Skok ten do zupełnéj przywiódł Kuźmę pamięci, któ-

ra tém się wyraziła, że bohater nasz natychmiast opanował konia, dał mu wolę zrobić kilka susów, powściągnął, osadził i uspokoił go, tak, że koń chrapał, strzygł uszami i rozognionym spoglądał wzrokiem, ale stał na miejscu jak wryty.

Póki to ostatnie nie nastąpiło, Starosta milczał. Gdy zaś Kuźma stanął przed nim, wydobył z zanadrza arkusz papieru *we czworo złożony i pierścień, i trzymając jeden i drugi, tak rzecz dalej ciągnął:*

— Byłoby wielką niesprawiedliwością, gdyby cnota pozostawała bez nagrody. Czeka ją wprawdzie niechybna nagroda w przyszłém życiu, lecz wówczas tylko, kiedy jest ukrytą, kiedy o niéj ludzie nie wiedzą. Wiedząc wszelako, dawałoby to najgorsze o ludziach wyobrażenie, *gdyby pomijali ją milczeniem i niezważaniem: dawałoby* to bowiem widzieć, że nie umiejąc poznać się na cnocie, nie warci są, aby ta pośród nich kwitła. Z tego powodu, imćpanie Kuźmo Jeżu, na propozycyę Hetmana wielkiego koronnego i na jednogłośne zgodzenie się wodzów, którzy w telezyńskim boju uczestniczyli, sporządziliśmy dla waszmości *testificatio virtuti*, następującéj osnowy..:

Tu rozwinął papier i odczytał. Treścią tego dokumentu było poświadczenie waleczności i poświęcenia, polecone jako wzór dla spółczesnych i potomnych. Starosta przeczytał wszystko, a w końcu i podpisy, których było przeszło trzydzieści, gdyż podpisało się wielu pułkowników i rotmistrzów.

Brzmienie nazwisk na podpisach wyrażonych a kolejno i powoli wymawianych, wowoływało szmer powszechnego uznania.

Kuźma stał w milczeniu, słuchał i zdawał się być pogrążonym w zamyśleniu.

Skończywszy czytanie, podał Starosta Kuźmie papier, z taką przemową:

— Z tém stań waszmość przed Królem i zgromadzonemi na sejm stanami, i jeżeli jesteś szlachcicem, upomnij się o *panem bene merentium*, jeżeli zaś nim nie jesteś, o szlachectwo. Na podstawie tego dokumentu jesteś szlachcicem polskim.

Tu Starosta zamilkł, a widze podchwycili:

— Niech żyje Kuźma Jeż!... wiwat szlachcic polski!...

— Niech żyje!... powtórzyły szeregi i podwórzec zagrzmiał Kuźmy imieniem.

Kuźma stał ze spuszczoną głową, trzymając papier w ręku. Koń pod nim żuł wędzidło i kopał niecierpliwie kopytem.

Gdy się uciszyło:

— A oto— rzekł Starosta, podając Kuźmie pierścień— dar dla waszmości od jego miłościwości Jeremiasza, mołdawskiego hospodara... Ten pierścień otwiera waszmości przystęp do łask jego hospodarskiej mości...

Kuźma wziął i pierścień, i z dokumentem trzymał go przez jakiś czas w ręku i milczał. Starosta i widzowie oczekiwali od niego kilku wyrazów, w którychby się po-

dziękowanie zawierało. Uciszyli się więc, jak przed przemówieniem Starosty.

Nagle Kuźma podniósł głowę, wyciągnął rękę i podał Staroście papier i pierścień.

Zdziwionym wzrokiem spojrzał na niego Potocki, jakby pytając:

— Co to znaczy?...

Kuźma odpowiedział, niezbyt głośno, ale dobitnie:

— Nie potrzebuję, wielmożny Starosto, ani tego pierścienia, ani tego papieru: bo ja nie za hospodara krew przelewał, ale za naszą Rzeczpospolitę, a za Rzeczpospolitę nie dla papieru, ale dla tego, że mnie moja gromada wysłała... Bo ja jestem chłop z Hrynenek, gdzie mój ojciec jest mielnikiem, ma chatę i pole...

Tu nieokreślonego znaczenia ruch jakiś ze szmerem połączony objawił się w zgromadzeniu. Kuźma odchrząknął i dalej mówił:

— Gromada, wielmożny Starosto, wysłała mnie w swojém imieniu... A jak mnie wysłała, tak ja do niéj powinien powrócić... A jeżeli zasłużyłem na nadgrodę, to ona mnie wynadgrdzi... Gdybym powrócił jako szlachcic, tobym ją zawiódł, bo ona mi nie dobijanie się o szlachectwo, ale służenie Rzeczypospolitéj poruczyła. Na to mam dowód od gromady.. Służyłem, Bogu dzięki zasłużyłem się, mam od was, wielmożny Starosto, i od moich towarzyszy dobre słowo, za które wam dziękuję... Tego dla mnie dosyć, abym się ojcu memu i starszym z gromady śmiało mógł w oczy popatrzeć....

To wyrzekłszy, zawrócił konia i odjechał do szeregu.

Jakoweś osłupienie owładnęło na chwilę widzami, poczém Zaporożce huknęli raptem:

— Hura!...

I powtórzyli to trzykrotnie, wtórowani echem na tylnych ławkach amfiteatru odzywającém się.

Chorągwie rycerskie, krużganki i galerya milczały, z rodzajem jakiegoś podziwu przypatrując się bohaterowi naszemu.

Na jednym tylko krużganku, były jedne oczy, które wyrazem uwielbienia i zachwytu przemawiały. Strzelał z nich dziwny jakiś połysk, strzelał i— zgasł, nabierającemi łzami zwilgotniony.

Nie mam, zdaje się, potrzeby uwiadamiać czytelnika, czyje to były oczy.

Czy zaś tego połysku i tych łez dostrzegł nasz bohater, o tém— nie wiem. Prawdopodobniej, nie dostrzegł: bo odjeżdżając do szeregu, odwrócił się, a gdy we froncie stanął, zagrzmiała kapella, szeregi się złamały i rozpoczęły się obroty, skutkiem których rota po rocie przechodziła przez plac i za bramą znikała. Nie było więc czasu podnieść oczy ku krużgankom.

XII.

Nie wiem, doprawdy, jak wytłómaczyć sobie tajemnicę potęgi przesądów. Jest coś, jakiś wrzód organiczny, czyli *też coś takiego jak grzech pierworodny, co tkwi w głębi* moralnéj natury człowieka i każe mu być bądź głupim, bądź złym, wbrew rozumowi, wbrew uczuciom, wbrew najelementarniejszym pojęciom o tém co dobre, piękne, słuszne, godziwe, sprawiedliwe.

Pytam się ciebie, szanowny czytelniku lub piękna czytelniczko — co masz do zarzucenia memu pra-pra-pra.... dziadkowi?

Podług mego zdania, jedno jest tylko, coby mu było do zarzucenia, a to: intruzostwo do pancernéj chorągwi. Ten wszelako zarzut sam przez się upada, gdy pomyślimy o tém, że w owém intruzostwie bohater nasz grał zupełnie bierną rolę; że był ktoś, co go wprowadził, co jemu,

świata nieznającemu, powiedział: «rób tak!»— i on robił. Mógłże postępować inaczej?... Widząc człowieka wyższego moralnie od wielu a szanowanego przez wszystkich i domyślając się w nim jakichś szlachetnych i dobrych zamiarów, i widząc przytém siebie, użytego jako narzędzie do spełnienia tych zamiarów, uwierzył mu, zaufał i ściśle do jego rad się zastosował. Za to go obwiniać nie można, ani się godzi. Bo pamiętam, kiedym sam był w Kuźmy wieku (a nie byłem tak jak on w zupełnej niewiadomości świata wychowany), o! jakże mnie zachwycała każda myśl, szerokie i szlachetne rozmiary mająca!... jakże roiłem:— mój Boże! gdyby też znalazł się ktoś, coby mi w imię téj myśli kazał w płomień skoczyć!... Oglądałem się za owym «ktosiem», jak pragnący na pustyni za wodą, i dziś, już podstarzawszy, czuję, że gdybym go był znalazł, to byłbym na jego skinienie— w płomień skoczył.

Szukałem, nie znalazłem — a szukałem, opuklerzony przykładem i naukami najzacniejszych, jakich tylko wyobrażić sobie można, rodziców, opatrzony pojęciem i wiedzą, ostrzegany i ledwo że nie na pasku prowadzony. I temu tylko żem nie znalazł, winienem, żem ani przed czasem się spalił, ani naraziłem się na zarzut taki— chociażby przez analogię podobny— jak mój pra-pra-pra.... dziadek.

Kuźma nie szukał i znalazł, i z całą dobrą wiarą robił to, czego po nim Lisowskiego umysłowa wyższość wymagała, i robił to aż póty, póki mu się nie przebrała miarka, póki nie spostrzegł się, że postawiwszy jeszcze

jeden krok na téj drodze, przestanie być na prawdę Kuźmą, synem hryneńskiego mielnika, a stanie się — szlachcicem.

— Nie chcę!...— zawołało coś potężnie w głębi jego duszy.

I zatrzymał się.

A komentarzem do tego «nie chcę» było przekonanie, które w nim od dawna tkwiło:

— *Ja taki dobry, jak i oni...*

Skutkiem tego przekonania, wieczorem, tego dnia, w którym odbyła się parada, udał się Kuźma do zamku na festyn i spokojnie, z podniesioném czołem a czystém sumieniem, wszedł do tego samego grona, z którém się był jak z rodziną spoufalił.

Wszedł, i jakże się zdziwił, gdy się przekonał, że po *upływie kilku godzin stał się więcéj jak obcym. Więcéj* jak obcym: bo dla obcych jest się obojętnym, ale grzecznym. — jemu zaś okazywano nie maskowany żadną grzecznością wstręt.

Jeżeli przy kim usiadł, to natychmiast wstawano i samego go zostawiano; jeżeli do kogo się zbliżył, to odwracano się do niego plecami; jeżeli przemówił, to mu nie odpowiadano. *Panowie z ukosa na niego spoglądali.* Panie sznurowały usta, kręciły główkami i bladły na jego widok.

— Co to się im stało!...— myślał sobie Kuźma.

Nie chciał się nikogo pytać, bo wydało się mu, że samo zapytanie byłoby upokorzeniem. A jakoś czuł, że nie

powinien się dać upokorzyć. Przechadzał się więc po salonach z hardo do góry podniesioną głową i kogoś szukał.

Uczuł jednakże samotność w tłumie ludzi, z których większa połowa była mu dobrymi znajomymi, a znaczna część tak zwanymi przyjaciołmi, i zrobiło mu się niewymownie przykro. Nadstawiał miną, a jednakże jakiś robak gryzł go za serce, tém bardziéj, że sumiennie do niczego złego się nie poczuwał.

— Co się im stało?...— pytał siebie kilkakrotnie i nie mógł sobie odpowiedzieć.

— Gdzie ona?... gdybymże ją mógł odszukać!...

Jéj nie było.

— Gdybyż tu Lisowski przyszedł!...

Lisowskiego także nie było.

Przykro a coraz przykrzéj robiło się bohaterowi naszemu.

Zajrzawszy z daleka Starostę, otoczonego gośćmi, którzy mu uszanowanie okazywali, poszedł wprost ku niemu. Ten jeden po ludzku go powitał, to jest dobrotliwie się uśmiechnął i o zdrowie zapytał.

Kuźma mu odpowiedział i chciał coś daléj mówić, ale Starosta do kogo innego zagadał i odwrócił się od niego.

— Co to się stało?...— szeptało coś w głębi Kuźmy.

Wtém Starosta zwrócił się raptem ku niemu i rzekł:

— Przyjdź waszmość do mnie jutro przed południem...

— I odszedł.

Kuźma znów został się osamotniony. Szedł do dal-

szych i coraz dalszych komnat, gdzie ludzi było coraz rzadziéj i gdzie tylko dalekie echo grającéj w głównéj sali kapeli dochodziło, i wszędzie było to samo. Wszędzie goście stronili od niego.

Bohater nasz począł się złościć. To zwykłe następstwo podobnego stanu, w jakim on się znajdował. Przyszły mu na mysl szlacheckie zwady...

— *A nu, zaczepię ja którego...— powiedział* sam do siebie. — Zagadam, a jak mi nie odpowie, to go w łeb palnę...

I na próbę podniósł do góry dłoń i zamachnął się nią w powietrzu, a wziąwszy przed się to postanowienie, wracał do ludniejszych salonów, dla spełnienia onego.

I byłby z pewnością spełnił, byłby pięć swoich chłopskich *palców wypiętnował na któréjś ze szlacheckich twa*rzy, gdyby przypadkiem, a może i nie przypadkiem, nie spotkał staruszka wojskiego. Mówię «może nie przypadkiem,»— bo zdawało się, jakoby wojski szukał go.

— A, dobry wieczér waszmości... — rzekł staruszek, niby niespodzianie się spotykając.

To przywitanie rozbroiło gniew Kuźmy, było bowiem wypowiedziane *tonem życzliwości i spółczucia. Bohatero*wi naszemu zrobiło się jakoś rzewnie, jak gdyby stanął w obec pocieszyciela. Chciał się przed wojskim poskarżyć i wynurzyć, lecz właśnie, kiedy już usta otwierał, zabrakło mu wyrazów. Staruszek przyszedł mu z pomocą.

— Waszmość tak samotnie chodzisz...— rzekł.

— A cóż mam robić?...— odparł Kuźma.— Wszyscy mnie unikają, wszyscy odemnie stronią...

Słowa «unikają« i «stronią» wymówił tonem żalu i skargi, który nie uszedł baczności wojskiego.

— Hm!...— mruknął staruszek — nie ma się czemu dziwić!...

Nie ma?...— podchwycił zdziwiony Kuźma, a po chwilce dodał:

— Ja nie dziwię się, ale mnie to gniewa... Dziwiłem się z początku, kiedym się pytał, dla czego odemnie się odwracają... Teraz już nie pytam się....

— Więc wiesz?...— wsunął wojski.

— Nie wiem...

— A chcesz wiedzieć?

— Hm!...— odparł Kuźma wahając się.— Chciałbym...

— Oto, dla tego żeś... chłop...

— Dla tego?... A!... A przecież, gdyby oni wszyscy do mnie przyszli, a ja wiedział że oni szlachta, tobym się od nich nie odwrócił... Przecież ja temu nie winien, żem chłop, ani to, żem chłop, jest występkiem...

Wojski ścisnął ramionami.

— Hm!... — mruknął Kuźma i głową pokiwał i uśmiechnął się.— A dziś-że jeszcze tak mi krzyczeli: — niech żyje!...

— Póki nie wiedzieli, co waszmość za jeden...— podchwycił wojski.

— Więc to ma być moim występkiem, żem przyznał się!...— zdziwionym tonem rzekł Kuźma.—Żem się przy-

znał...— powtórzył.— Trzeba żeby wiedzieli, żem ja tego nie zrobił dla nich, ale dla mojej gromady... Mnie to bynajmniéj nie obchodziło, że oni mnie za kogo innego brali, nie za tego kim jestem, bo koniec końcem dowiodłem im, żem nie gorszy od nich... Oni się mylili, alem ja się nie mylił, i nie mam sobie nic a nic do wyrzucenia...

— Gdybyś był przyjął to *testificatio* i milczał...— przerwał *wojski— toby waszmość w téj chwili na rękach* noszono..

— To jest, gdybym się sam siebie zaparł... — odparł Kuźma.— Cha. cha, cha!...

— Przecież zapierałeś się, nie przyznając się dotychczas....

— Nie przyznawałem się, bo, najprzód, nikt mnie o to urzędowie nie pytał, a powtóre, gdybym się był przyznał, to nie mógłbym tak służyć i tak uczyć się, jak służyłem i uczyłem się.... Byliby mnie od razu odepchnęli i wyrzucili... Nie prawdaż?...

Wojski kiwnął głową na znak potwierdzenia, a Kuźma ciągnął daléj:

— I gdyby nie to, że mi Starosta ten papier dawał, to byłbym *daléj jeszcze służył, uczył się i zasługiwał* i może byłoby ze mnie co... A tak...

Tu urwał i ręką machnął.

— Bądźcie zdrowi, panie wojski!...

Odwrócił się, z podniesioną głową, przeszedł śród tłumów gości przez salony i wyszedł.

Wyjście jego rozwiązało języki. Mówiono o nim po cichu i głośno, w rozmaitych gruppach i parach, a wszyscy, bądź zuchwalstwem się jego oburzali, bądź chytrości się dziwili, bądź pojąć nie mogli, dla czego on ani *testificatio* ani hospodarskiej łaski nie przyjął.

— Hardy chłop...— mówili jedni.

— Nie hardy, ale podły....— utrzymywali drudzy.— Nikczemna dusza nie umie nawet ocenić tego co zaszczytne...

Byli jednakże tacy, co bąkali:

— Ale się zaszczytnie sprawował...

Takim odpowiadano:

— Czyż to wielka rzecz!... Każdy z nas to samoby zrobił...

— Ale Lisowski!... Lisowski!... — odzywali się niektórzy.— Ktoby się był po nim spodziewał... Przecież on *posessionatus et bene natus*, *nobilis et equitus* nie podejrzany, i nie podobna, aby nie wiedział, że to chłystek....

— I to dziwak...— tłómaczono Lisowskiego.

Panie zwłaszcza były niepocieszone w utrapieniu, spowodowaném tak spoufaleniem się z naszym bohaterem, jako też tym zawodem, jakiego doznały w rojeniach swoich.

Póki Kuźmę otaczała tajemniczość, póty przebaczały mu wszystko. Litowały się nad nim, ale mu za złe nie miały żadnych nieprzyzwoitości, salonowych uchybień i zapomnień się, które niekiedy do wysokiego posuwał stopnia, do tego — o, zgrozo! o czém nie wspominałem—

że parę razy udało się mu (przez zapomnienie, rozumie się) nos w palce na środku salonu utrzeć.

Uchodziły mu jednakże te uchybienia, uchodziły, aż stanęły jako zbrodnie, gdy dowiedziano się, że on— chłop.

A za takiego miały go zbrodniarza, że pomiędzy nim a oczekującym na spełnienie nad sobą wyroku sprawiedliwości Włochem żadnéj prawie różnicy nie robiły. Gdyby w téj chwili oddać go było pod sąd dwornych pań, to ręczyć nie można, azali nie zdekretowałyby go jeżeli nie na śmierć, to na taką jakąś karę, która bezpośrednio ze śmiercią graniczy. A gdyby go było każdéj z osobna oddać na łaskę i niełaskę, to łaska i niełaska każdéj wyraziłaby się — przynajmniéj szczypaniem, tak wszystkie były na bohatera naszego zagniewane.

Kuźma poszedł do siebie. A już nie mieszkał w tym apartamencie, w którym chorował, ale w jednéj z takich izdebek, w jakiéj, po najpierwszém swojém do zamku przybyciu, z Lisowskim był stanął. Wszedł i chciał się położyć. Wykrzesał ognia do hubki, zapalił świeczkę i zawołał na pachołka. Lecz napróżno wołał. Pachołka nie było. Służący, co mu był wiernym i bardzo zdawał się być do niego przywiązanym, dowiedziawszy się że nie u szlachcica służy, opuścił go. Nie wiedział jeszcze o tém Kuźma, lecz wkrótce domyślił się, gdy spostrzegł, że pachołek zabrał całą swoją odzież i wszystkie ruchomości, które do niego należały, pozostawiając jednakże wszystko to co stanowiło własność Kuźmy. Gdy dostrzegł tego nasz bohater, uśmiechnął się.

— I on od chłopa stroni...— rzekł do siebie.

I rozglądając się po izbie, spostrzegł na stole papier w formie listu złożony. Wziął go, przybliżył do świécy i na adresie wyczytał:

«Imćpanu Kuźmie Jeżowi, do rąk własnych.»

— Któś do mnie pisze... Ktoby to taki?

Spojrzał jeszcze na adres i wyczytał na dole:

«Pilno.»

Koperta była starannie opieczętowaną. Rozłamał Kuźma pieczęć i następujące wyczytał wyrazy:

«Gdy będą piały drugie kury, bądź waszmość w zamkowym ogrodzie i przechadzaj się wzdłuż muru, od strony Smotrycza. Spal ten list i nie mów o nim nikomu.»

Podpisów nie było, a charakter pisma był kobiecy. Na tém jednakże ostatniém nie znał się nasz bohater, bo nietylko z kobietami, ale z nikim jeszcze żadnéj korrespondencyi nie prowadził. Niemniej obcemi mu były zupełnie *rendez-vous*. Więc nie mógł się nadziwić, ani domyślić:

— Coby to mogło być?...

Myślał, medytował, oglądał list na wszystkie strony i tak w końcu zakonkludował:

— *Co tu myśleć!... jak drugie kury zapieją*, to się dowiem...

A że do drugich kur było jeszcze z godzinę, więc zgasił świécę, odemknął okno i wsparłszy się na niém łokciami, puścił wzrok po gwiazdach a myśl po świecie.

Noc była cudna, majowa. Księżyc nie świecił, ale

wszystkie gwiazdy wystąpiły na szafir niebieski i mrugały zalotnie do ziemi. Gdzieniegdzie wałęsały się białawe obłoczki, a powietrze pachło i brzmiało echami kapeli, która na zamku grała i której wtórowały nadsmotryckie okolice.

Myśl bohatera naszego błąkała się z razu to tam to ówdzie, wędrowała czas jakiś samopas po obozach, po polach bitew, po obcych i swoich okolicach, aż zaszła do Hrynenek i tam się zatrzymała.

— Czas mi do domu...— rzekł Kuźma sam do siebie... —Nie mam już co tu robić...

I żywcem prawie stanęły mu w oczach hryneńskie postacie, a najprzód gruppa ze trzech osób złożona— z ojca, matki i kochanki— a potém wszyscy inni — Semen i cała jego rodzina, wójt, cała wiejska starszyzna i wszyscy, nawet dziatwa, na wygonie pod krzyżem w chyłki się bawiąca. Stanęły mu w pamięci przeszłe czasy i całe życie wiejskie, a granie zamkowéj kapelli przypomniało mu, jak to w Hrynenkach, we święto, muzykanci wiejscy od ucha rzępolą, i jak to on nieraz, w czapce na bakier, w nowéj o wyszywanym kapturze świcie, w nowych podkutych butach, szedł tropaka i prysiudy. Tam nikt na niego krzywo się nie patrzył, chyba tylko dziewczęta, które z pode-łba zerkały, a w ich zerkaniu cienia gniewu nie było. Przypomniawszy sobie dziewczęta, przypomniał i figle, jakie im płatał, a właśnie maj był najdogodniejszą do figlów porą, bo to trawy już podrosły i następowały kosowica i gromadzenie, a tam i Kupajło.

— O! trzeba, żebym był w Hrynenkach przed Kupajłem!!...— zawołał.

— I snuł w głowie rozmaite to wspomnienia, to projekta, a wtem— ozwało: ku-ku-ri-ku!....

Na to «ku-ku-ri-ku» Kuźma się wzdrygnął i od razu całą osnowę rojeń zgubił; pod ich jednakże wrażeniem nie mógł sobie od razu przypomnieć, dla czego.

— Aha!...— zawołał nareszcie, i ruszył do zamkowego ogrodu.

Nie tak kto inny na jego miejscu byłby sobie postąpił, ktoś taki co zrozumiałby tajemnicze listu znaczenie. Nie w izbie, ale w ogrodzie byłby się piania kur doczekiwał, i chodziłby niecierpliwie i co chwilaby stawał, podejrzywając każdy szmer listka, każde mignięcie cieni nocnych, w drzew gęstwinie się łamiących. I doczekałby się.

Z Kuźmą zaś stało się przeciwnie: bo się jego doczekano.

Gdy wszedł na oznaczone w liście miejsce, natychmiast spotkał postać, która go zatrzymała. W postaci téj od razu poznał panią Wolskę.

— Szukałem pani tam...— rzekł ukazując ręką na rzęsisto oświecony zamek.

— Nie bywam na balach...— odparła wdowa.

— To pani pisała do mnie ten list?..— zapytał Kuźma przerywając.

— Ja, panie Jeżu... Pisałam, bo chciałam waszmości powiedzieć, że jestem... jego... przyjaciołką...

Te wyrazy takim jakimś wymówiła głosem, że się

nasz Kuźma rozrzewnił i ze wzruszeniem a serdecznie wziął w dłoń wyciągniętą ku niemu rękę i do ust ją przycisnął.

— To pani nie gniewa się na mnie za to żem chłop?.. — po chwilce milczenia zapytał.

— Panie Kuźmo!..— odparła wdowa.— Ja jestem panem... zachwyconą...

-- To dobrze... — rzekł Kuźma z akcentem zadowolenia.— *A ja myślał, że może i pani się gniewa...*

— Pan nie powinieneś był tak myśleć...— podchwyciła wdowa.— A na dowód, że nie powinieneś był tak myśleć... powiem panu... że ja... pana... kocham...

Wymówiwszy to drżącym, wzruszonym i z głębi całego jéj jestestwa wydobywającym się głosem, takim co to sam przez się za prawdę ręczy, co sam przez się całą istotę uczucia *tłómaczy, chwyciła się* pani Wolska *obiema* rękami ręki Kuźmy, ścisnęła ją w delikatnych dłoniach swoich i do ust poniosła.

Kuźma wydarł rękę. Krew uderzyła mu do głowy. Przed oczyma jego przesuwały się jakieś żółtawe płachty a w uszach mu bębnić zaczęło i prostym wyraziwszy się terminem, języka w gębie zapomniał.

— Nie *odpychaj mnie, panie Kuźmo...— mówiła wdowa* modlitewnym głosem.— Chciałam tylko cię przekonać, że byłam i jestem twoją przyjaciołką... Miłość moja dla ciebie niedawna... Zaczęłam cię kochać dziś, od chwili, kiedyś się przyznał, żeś... chłop... Ja ciebie, panie Jeżu' nie namiętnością, ale uczuciem kocham i niczego, nawet

wzajemności od ciebie nie żądam... Gotowam zrobić wszystko co chcesz, wszystko co każesz, ale nie chcę tobie się narzucać...

Kuźma milczał i milczał długo. Wziął wdowę za rękę i pocałował ją. Chrząknął i chciał coś mówić, lecz powstrzymał się. W końcu odezwał się:

— Toż gdyby się o tém tam — tu ukazał na zamek —dowiedzieli, toby panią tak jak mnie odepchnęli.

— Dla tego też chciałam piérwéj rozmówić się z panem...— podchwyciła wdowa— i spytać: czy chcesz abym zerwała z wielkim światem, czy nie chcesz... Bo— tu jakimś pieszczotliwym mówiła głosem — myślałam sobie: jeżeli on mnie pokocha, to ja się mu oddam i powiem o tém wszystkim; jeżeli zaś mnie nie pokocha, to cóżbym z sobą poczęła, gdybym zerwała te węzły, które mnie ze światem łączą!... Gdzieżbym się podziała, ja, słaba kobieta!... Za tobą pójdę wszędzie; bez ciebie nie mam gdzie iść: osamotnieję, ale wśród ludzi, wśród których mnie Opatrzność rzuciła... A zresztą, kiedym ci powiedziała «kocham», to utraciłam wolę... Każ... będę ci posłuszną, jak niewolnica...

— Pani...— przerwał Kuźma— Ale, kiedyż bo ja kocham... ja mam narzeczoną, która na mnie czeka...

Wdowa westchnęła na te słowa, a w westchnieniu jéj zabrzmiał jakiś głuchy i cichy jęk.

— To nic...— odrzekła— Przecież mówiłam, że nawet wzajemności nie żądam...

I zamilkła i po chwili zapytała:

— Było panu przykro, jakeś wszedł na komnaty zamkowe i spostrzegł żeś odepchnięty?...

— Było mi przykro...— odrzekł Kuźma.

— Otoż chciałam... tylko... pocieszyć pana... przekonać, że nietylko nie wszyscy cię odepchnęli, ale są nawet tacy, którzy cię... kochać... są zdolni...

«Kochać» wymówiła z takim przyciskiem, jak się rzucają wyrazy w rozpaczy. Kuźma dosłyszał tego brzmienia i zrozumiał je, albo raczéj odczuł. Pocałował więc panię Wolską w rękę i jak mógł najłagodniejszym przemówił do niéj głosem:

— Pani, nie gniewaj się na mnie...

— Czyż mam powód albo prawo gniewać się na pana!...— podchwyciła wdowa.— Ja taka szczęśliwa, żem mogła.... pana.... pocieszyć.... Pan sobie niekiedy wspomnisz o mnie?...

— O!...— zawołał Kuźma, uszczęśliwiony, że już tylko o wspomnienie chodzi— Do śmierci nie zapomnę...

— To i dobrze... To i dosyć...— odrzekła wdowa.— To mi wystarczy... Pamiętaj pan, że masz siostrę, któréj na imię Barbara, i która modlić się będzie o to, aby takich jak pan tysiącami Rzeczpospolita nasza liczyła...

— Czy pan długo jeszcze w Kamieńcu zostanie?...

— Nie wiem...— odparł Kuźma — Zdaje mi się, że nie długo... Może jutro, może pojutrze odjadę...

Powróci pan do swoich, do swojéj wsi, do swojéj...

Chciała zapytać «kochanki» czy «narzeczonéj,» lecz jéj wyraz zamarł na ustach.

Był to jednakże ostatni już z jéj strony gwałt, jaki sobie zadała. Zaczęła mówić spokojnie i swobodnie. Nawet śmiała się. Rozpytywała Kuźmę o Hrynenki, o rodziców. On, rad że od roku pierwszy raz zdarzyła się mu okazya o swoich pogadać, rozgadał się szeroko. Pani Wolska pytała go o Jerynkę. On i o niéj opowiadał: ile ma lat, jak wygląda, od jak dawna się znają, a gdy wszystkie tyczące się jéj szczegóły wyłuszczył, pani Wolska zapytała:

— I dobra?...

— O, dobra!... Ale, jaka jeszcze dobra!... jak anioł jak pani...

— I kochacie się szczérze?...

— O, jeszcze jak!... Ja za nią dałbym się porąbać na drobne kawałeczki, a ona beze mnie nie mogłaby żyć...

Tu pani Wolska cicho westchnęła.

Rozmowa ciągnęła się przeszło godzinę, służąc jako przyprawa do przechadzki, którą bohater nasz i pani Wolska w ocienionéj gęstym szpalerem drzew ulicy odbywali. Na zamku było huczno i wesoło, światła z nocy dzień robiły, kapella grała, goście tańczyli, a oni chodzili tam i nazad i rozmawiali.

Nagle pani Wolska zatrzymała się i rzekła:

— Trzeba nam się już rozstać.

I zdawało się, jakby czekała, aby coś Kuźma na to powiedział. Kuźma jednakże nic nie mówił, chociaż nie był rad potrzebie rozstania.

— My się już więcéj, panie Jeżu, nie zobaczymy...

— Kto wie...— podchwycił Kuźma— *Hora z horoju ne zijdesia, a czołowik z człowikom zijdesia...*

Wdowa pokiwała głową.

— My rozchodzimy się, jakby się dwie góry rozpadały... Trudno, abyśmy się zeszli, chyba w takim tylko razie, jeżelibyś pan zapotrzebował, czego ani przypuszczam, serca niewieściego, to... zapukaj do mego... Znajdziesz we mnie zawsze... siostrę.... Bądź pan zdrów i... szczęśliwy...

To mówiąc podała mu rękę, nad którą się Kuźma pochylił. Lecz w tymże momencie i pani Wolska się pochyliła i ująwszy w obie dłonie głowę Kuźmy, z jakimś półkonwulsyjnym ruchem do piersi ją przycisnęła i długi, gorący na czole bohatera naszego pocałunek złożyła. Oderwała usta i znów niemi przylgnęła. Oderwała powtórnie. Jęknęła:

— Bądź zdrów!...

Odwróciła się i poczęła szybko biedz, jakby przed kimś co ją goni uciekała. Do uszu Kuźmy doleciały z daleka odgłosy łkania, które wkrótce zamarły, balową muzyką zgłuszone.

Kuźma, zostawszy sam, postał, podumał, pokiwał głową, machnął ręką, czapkę na głowie poprawił, począł coś sobie gwizdać pod nosem, poszedł do swojéj izby, położył się i zasnął.

Pani Wolska pędem wbiegła do zajmowanéj przez siebie komnaty, padła na klęczniku na kolana i modlić się poczęła. Płakała i modliła się.

Płaczącą i modlącą się podejrzały ją balujące panie i wyniosły wieść o tém na salony.

— Nie dziw... — odpowiadały słuchające opowiadającym o łzach wdowy. —Tak się zawiodła!...

— Ależ bo i nieszczęścia na nią spadały: mąż zginął, tylu odmówiła, w końcu jedno po drugiém: imćpanu Wolskiemu koszyk, imćpan Słupski, świeć panie nad jego duszą! zamordowany, harfiarz wskazany na ścięcie, a ten co miał stanąć za wszystkich i wszystko wynagrodzić, który, jak się pani zdawało, miał ją na tronie obok siebie posadzić, pokazało się, że... chłop...

— A, sama sobie winna...— zauważała jedna.

— Tylko Bóg zawsze karze te, które bardzo przekwintują...— dodała inna.

A jedna zrobiła przypuszczenie, na które wszystkie panie jednogłośnie się zgodziły:

— O, aż teraz chyba już pani Wolska pójdzie do klasztoru...

Żadna o tém nie pomyślała, że teraz mniéj jak kiedybądź, bo wdowa, według wyrażenia naszego wieszcza:

«Niebu serca nie śmiała zaręczyć,
Póki w niém ziemski panował kochanek.»

Bal skończył się dniem.

Kiedy się goście na spoczynek udawali i z hałasem po różnych podwórzach zamku się rozchodzili, bohater nasz obudził się, przetarł oczy, a chociaż go sen jeszcze kłonił, wstał, umył się i ubrał

Zwykle o téj porze pachołek przynosił mu z kuchni piwa grzanego, które wszyscy w zamku z rana dostawali. Pachołka nie było, więc i piwa nie było. Mógł wprawdzie bohater nasz pójść i osobiście zażądać; nie szedł jednakże i nie żądał, nie chcąc, jak sobie w duchu myślał:

«Świecić przed ludźmi oczami»...

W braku więc piwa, napił się wody, i jeden po drugim spotkały go dwa przysmaki.

Najprzód, przyszedł od rotmistrza ciura i przyniósł mu dymissyę z roty pancernéj. Dymissya była bardzo dla bohatera naszego pochlebną, ale on o nią nie prosił.

Zaledwo ciura wyszedł, przyszedł pachołek, który go od wczora opuścił. Kuźma powitał go dobrego dnia życzeniem. Pachołek nic na powitanie nie odpowiedział, tylko wręcz *oznajmił, że przychodzi po jurgielt.*

— Dla czegoż mnie opuściłeś?...— spytał go Kuźma łagodnie.

— Jak nie miałem opuścić!...— odparł pachołek — kiedy stałem się ludziom pośmiewiskiem... — Daleko gdzieś muszę szukać służby, bo ani tu, ani nigdzie, gdzie waszeci znają, nie znajdę... Wszystkie ciury i pachołki palcami mnie wytykają...

— To jedź ze mną do Hrynenek...

— Po co?...— zapytał ze zdziwieniem pachołek.

— Będziemy razem koło roli pracować...

— Proszę waszeci, ja do takiéj pracy nie stworzony... — odparł tchem jednym pachołek. — Czy to ja chłop?...

Niech mi waszmość zapłaci jurgielt, a już ja sobie poradzę...

Kuźma nic mu na to nie odpowiedział;— obrachował się z nim i zapłacił.

— To już mi tu nie popasać!...— rzekł sam do siebie. — Ludzie mnie odepchnęli, z roty wykluczyli, słudzy wytykają palcami pachołka, który u mnie służył.... To mnie dziś, zaraz, trzeba się wybierać i wynosić...

Przypomniał sobie jednakże panią Wolskę.

— Ona jedna!...— rzekł sam do siebie i westchnął.

Przypomniał sobie wojskiego.

— I ten stary... On także mnie nie krzyw... i uśmiechnął się. — Przecież to ludzie nie wszyscy jednakowi, są i tacy, są i tacy...

Przypomniał sobie Starostę i Lisowskiego.

— A, Starosta kazał mi przyjść.... Ale gdzież Lisowski!...

Lisowskiego nie widział od dwóch dni i wiedział, że go przez ten czas w zamku nie było.

— O, gdybym też mógł się z nim pożegnać!...

Tak myśląc i myśląc ze sobą rozmawiając, zabrał się do przygotowań podróżnych. Począł zwijać i składać do juków swoje rzeczy, i robiąc to powoli, we dwie godziny był już zupełnie wybrany. Rozumie się, że zabrał tylko to, z czém wyjechał z Hrynenek i co jako swoją wyłączną własność uważał, wkluczając w to hełm, konia i rynsztunek, darowane mu przez Starostę. Resztę zaś, to jest: dwa drugie konie (powodowego i z pod pachoł-

ka) z ich rynsztunkami i objuczeniem, zamierzył zostawić Lisowskiemu, od niego bowiem dostał je na drodze z Hrynenek do Kamieńca i chociaż w oczach wszystkich uchodziły one za jego własne, ale w swojem sumieniu uważał je Kuźma jako własność Lisowskiego, gdyż ten ostatni mu ich nie darował, a on mu za nie nie zapłacił.

— Zostawię to w rękach *marszałka...*— powiedział do siebie Kuźma— *a on Lisowskiemu odda...*

Pokończywszy przygotowania podróżne, udał się do Starosty.

Zdziwił się, gdy zastał tam Lisowskiego.

Ten ostatni pozdrowił go uprzejmém głowy skinieniem; Starosta zaś jeszcze uprzejmiéj, bo wstał gdy on wszedł i rękę mu podał.

— *Cóż?....* — zapytał go z dobrotliwym uśmiechem.

— Wybrałem się, miłościwy Starosto, w drogę...— odparł Kuźma— i tylko pozostaje mi pożegnać waszą wielmożność...

Starosta z uśmiechniętego zmienił wyraz twarzy na surowy i zamyślony, i kilkakrotnie powtórzył do siebie:

— *Szkoda... szkoda... szkoda...*

Potém rzekł:

— Tacy ludzie, jak waszmość, rzadkimi są w naszym wieku... Kto tylko palcem kiwnie, to wnet to sobie za zasługę liczy, i wniebogłośnym krzykiem o nadgrodę się upomina... Gdyby wszystkim upominającym się, wedle ich

żądania nadgrody wydzielać, to dziesięć, co mówię! sto Rzeczypospolitych Polskich na toby nie wystarczyło.... Waszmość jesteś wyjątkiem, rzadkim w téj mierze wyjątkiem... A przecież nie chciałbym waszmości bez nagrody puścić.... Toby mi na sumieniu, jak grzech ciążyło...

Kuźma milczał.

— Zażądaj waszmość czego odemnie.... — rzekł Starosta proszącym niemal głosem. — Choćby jakiéj pamiątki....

— Wasza wielmoożność dałeś mi konia, hełm i rynsztunek....— odrzekł Kuźma — To ja sobie na pamiątkę zatrzymam...

— Te są tylko zwrotem za tego konia, hełm i rynsztunek, które w obronie mego życia, z narażeniem własnego, postradałeś...— przerwał Potocki z akcentem niecierpliwości.

Kuźma milczał.

— Pokaż waszmość imćpanu Staroście dokument hryneńskiej gromady...— rzekł Lisowski.

Kuźma wydobył z zanadrza dokument i podał.

Starosta przeczytał go myślą i rzekł:

— Pięknie...

I miał go już zwrócić Kuźmie, gdy Lisowski odezwał się:

— Niech imćpan, panie Starosto, dopisze tu własnoręcznie, jako jegomość Kuźma Jeż dobrze się Rzeczypospolitej zasłużył.... Ten dopisek opatrzony podpisem i pie-

częcią waszéj miłości, będzie dla imćpana Jeża dostateczną nadgrodą...

— Wszak tak?...— zapytał Kuźmę.

Kuźma głową skinął, a Starosta natychmiast usiadł, napisał, podpisał i przypieczętował, świadcząc, nie jako prywatna osoba, ale jako urzędnik Rzeczypospolitéj i bezpośredni Kuźmy naczelnik, a podając papier bohaterowi naszemu, jeszcze go raz zapytał:

— Więcéj nic?...

— Nic, wielmożny Starosto...— odpowiedział zapytany. — Pokłonię się tylko waszéj wielmżności i wyruszę w drogę...

To mówiąc, pokłonił się nizko i miał się ku wyjściu. Starosta wziął go za rękę, serdecznie uścisnął i błogosławił:

— Kiedy ani ludzie, ani ja, nie są w stanie waszmości twoją cnotę wynagrodzić, to niech ci za nią Stwórca niebieski wynadgradza.... Bądź zdrów.... Pamiętaj o mnie.... Pamiętaj, że masz we mnie przyjaciela i dłużnika....

Wzruszony i rozrzewniony, opuścił Kuźma Starostę. Pozostawało mu już tylko osiodłać konia, wsiąść i jechać. Szedł więc. Lecz na środku podwórca się zatrzymał, obrócił i począł spoglądać po zamkowych oknach. Biegł wzrokiem z okna na okno, z szyby na szybę i nigdzie nic nie znajdował, na czémby mógł dłużéj nieco wzrok zawiesić. Szukał czegoś i czekał, i doczekał się— Lisowskiego.

— Czego waszmość tak strzelasz oczyma...— zagabnął go ten ostatni z nienacka.

Kuźma się zmieszał, jakby na gorącym schwytany był uczynku.

— Cóżby na to powiedziała Jerynka!... A ona tam tęskni, wygląda i czeka.., Takiéj jak Jerynka, tu żadnéj nie ma...

Kuźma uśmiechnął się uśmiechem zadowolenia, a odwróciwszy się i idąc obok Lisowskiego, odrzekł:

— I możeby się znalazła...

— Która, naprzykład?...

— Pani Wolska...

— Ehe!... *oś, kudy naszi strilajut!*...— podchwycił Lisowski śmiejąc się. — Otoż ja waszmości powiem, że ani ona nawet Jerynki nie warta: pani Wolska nie zrobiłaby tego, co waszmościna narzeczona...

Cóż ona zrobiła?...— zapytał Kuźma, uderzony tonem pewności, z jaką mówił towarzysz jego.

Lisowski ścisnął ramionami i zwrócił rozmowę na inny przedmiot.

— Tęgoś się waszmość znalazł!.... Podrosłem i odmłodniałem, kiedym się dowiedział o wczorajszéj paradzie...

Kuźma nic na to nie odpowiedział i przez czas jakiś szli oba w milczeniu, które Lisowski dopiero w izbie Kuźmy przerwał:

— Mam do waszmości prośbę...

— Jaką?...— zapytał nasz bohater.

— Dałem waszmości sygnet...

— Ach! prawda!...— podchwycił Kuźma, *który przyzwyczaiwszy* się przez rok cały do sygneta, zapomniał, że go miał na palcu; począł go więc zdejmować.

— Nie zdejmuj...— rzekł Lisowski.— Właśnie chcę waszmości prosić, abyś go zachował... na pamiątkę...

Bohater nasz podziękował Lisowskiemu i obydwa na chwilę spoili się długim, serdecznym, braterskim uściskiem. *Kuźmie w gardle coś na poprzek stanęło i oczy* mu zwilgotniały.

— My nie żegnamy się na zawsze...— rzekł Lisowski. — My się spotkamy jeszcze, o! i nieraz...

— Daj Boże!...— mówił Kuźma.

— Dla waszmości będzie jeszcze robota...

— Będzie?...— zapytał Kuźma i wzrok mu zajaśniał.

— *Tylko, słuchaj!...— odezwał się Lisowski i palcem* po nosie groził.— Nie wyrywaj się na Zaporoże... Tam się niedobre rzeczy święcą... Dobrześ zrobił, żeś się nie uherbował na rycerza... Tu potrzeba taką znaleźć kluczkę, żeby herbowne rycerstwo z nieherbownem związać...

Wymawiając wyraz «kluczkę», pokazał ją na palcach i zapytał:

— *Rozumiesz?...*

Kuźma kiwnął głową i mruknął coś nakształt: echu, ust nie otwierając.

— No, więc tedy: do widzenia się...

— Do widzenia się...— odparł Kuźma.

Dwa te wyrazy «*kluczka*» i «*do widzenia się*», re-

komenduję czytelnikowi. Są to wyrazy, które, gdym je czarno na białém zobaczył, to one przedemną wyskoczyły z papieru, wyrosły do olbrzymiéj wielkości, każda litera wydała z siebie tysiące liter zupełnie tak, jak ryba kiedy ikrę roni i— koniec końcem— wyrazy owe rozwinęły się, ni mniéj ni więcéj, tylko w sześcio-tomową powieść. O téj jednakże ich szczególności powiem jeszcze kilka słów w epilogu. Tu zaś, wracając do ciągu powieściowych wydarzeń, dodać muszę, że Kuźma, siedząc już na koniu, odwrócił się i powiedział Lisowsbiemu:

— Do widzenia!...

A Lisowski za odjeżdżającym posłał w pogoń tenże sam wyraz:

— Do widzenia!...— i dodał:

— A pokłoń się tam odemnie starym i wszystkim w Hrynenkach!...

W tym samym dniu odbyła się w Kamieńcu egzekucya signora Gerolamo, któréj asystowało mnóstwo ludzi. Egzekucya ta wybiła dwornym paniom z pamięci naszego bohatera. Kazały one sobie opowiadać wszysłkie szczegóły śmierci harfiarza, który po śmierci długo je prześladował, pod rozmaitemi we snach przedstawiając się im postaciami: to jako szkielet, to jako trup, to z głową, to bez głowy, to znów w postaci głowy bez tułowa. W przeciągu kilku tygodni o niczém inném nie było rozmowy, tylko o Włochu. A o naszym bohaterze— zapomniano.

A nasz bohater znajomemi okolicami ciągnął do domu. Przejechał przez Mohylów i Bracław i na piąty czy szósty dzień podróży stanął w Hrynenkach. W podróży nic mu się szczególnéj godnego wzmianki nie przytrafiło. To chyba tylko warto wymienić, że dojeżdżając do Hryuenek, w tém samém miejscu, w którém zapłakał, opuszczając wieś rodzinną, zapłakał powracając do niéj. Wiedział z góry, że tam się rozrzewni, wiedział i mówił sobie:

— *To cóż z tego!... Ale przecie...*

To «przecie» miało oznaczać «nie zapłaczę.» A jednakże, gdy wjechał i oglądnąwszy się, poznał tę samą okolicę i przypomniał sobie, jak to ojciec, matka i kochanka, Semen i wszyscy, wyprawiając go, błogosławili a błogosławiąc płakali, gdy mu wspomnieniowe echo tych płaczów w uszach zabrzmiało,— nie wytrzymał,— jak baba się *rozbeczał.*

A raz dawszy łzom wolę, już ich nie hamował, bo żadnego nie miał świadka, ani też nikt go nie podglądał. Zsiadł z konia i idąc powoli, co chwila się zatrzymywał i oczy obcierał. Aż gdy wszedł na hryneńskie pola, ukląkł, krótko się pomodlił, ziemię która go wyhodowała z uszanowaniem i miłością raz, drugi i trzeci *pocałował i wsiadł na konia.*

Jakie spotkało go w Hrynenkach powitanie, o tém— mało mówić, nie warto, wiele, nie potrafiłbym.

Jakim bo np. sposobem zdołałbym wyrazić krzyk dziatwy, która wieść o jego przybyciu po wsi rozniosła.

— Przyjechał!... — wrzaskliwie i piskliwie ciągnęło

się z jednego końca Hrynenek w drugi, wznosiło się i opadało kilkakrotnie i zwoływało z chat, z sadków, z chlewów, zewsząd, wszystkie dzieci, które nie miały szczęścia pierwsze spotkać tego rycerza, który przez ciąg całorocznych pogadanek rósł powoli i urósł na olbrzyma. Dzieci szczególnie ciekawemi były oglądać mielnikowego Kuźmę.

Mielnik rozpłakał się, mielniczka ledwo nie oszalała z radości. Ten powitawszy syna, jak usiadł na ławie, tak i znieruchomiał i oczu od niego oderwać nie mógł; ta przeciwnie, niby żywe srebro po izbie biegała, kręciła się, wyskakiwała do sieni, wracała, we wszystkie kąty zaglądała, a sama nie wiedziała czego, i zewsząd do Kuźmy powracała, stawała przed nim, śmiała się na przemian to płakała i znów biegła po coś, czy po kogoś.

O rozmowie ani myśleć można było. Trzech wyrazów nie było sposobu tak skleić razem, aby one jakiś sens w sobie zawarły, aby jakowąś myśl wyraziły. Imię Boga często było wymawiane, z czego można było domyślić się, że wszyscy oni razem i każde z osobna do Boga się w tej chwili myślą i uczuciem na wskroś wdzięcznością przejętemi wznosili. Radość przeszkadzała im mówić, lecz piersi ich przepełnione były modlitwą.

Na Jerynce wieść o przybyciu Kuźmy dziwne zrobiła wrażenie. Zerwała się zrazu i biedz chciała: — raptem się zatrzymała i niby skamieniała na miejscu; potém drżeć poczęła, jakby febry dostała.

— Chodź...— rzekła do niej wybierająca się matka.

Jerynka nic nie odpowiedziała. Wróciła i usiadła na ławie, i zrobiła się blada jak ściana.

Matka to spostrzegła.

— Co ci?...— zapytała.

— Nic, mamo...— odrzekła dziewczyna.

— Ty taka blada... Czego to?...

— Nie wiem, czego...

— Kuźma przyjechał....

Jerynka się *uśmiechnęła*.

— Chodź...

— Nie, ja teraz nie pójdę...

— Czemu?...

— Och! nie wiem... Ale, niechajno... To przejdzie... Ja czegoś osłabła... Na nogach ustać nie mogę... Ja się czegoś boję...

— *Możeby tobie dać wody?...— zapytała matka.*

— Ach!... prawda!...— zawołała dziewczyna — wody!... tak... wody!...

Matka podała jéj wody, a babka przyszła i powiedziała:

— Jéj nie wody potrzeba... Na nią jakieś złe oczy popatrzały.... Jéj trzeba zlizać...

I zlizała Jerynce z czoła trzy razy i trzy razy splunęła na ziemię, i trzy razy wymówiła zaklęcie na odegnanie uroków:

— Tfu!... pek ta cur! sczesnijcie, przepadnijcie złe oczy!... uroki za łasy ta za góry odejdźcie...

Nie wiadomo, czy po wodzie matczynéj, czy po zliza-

niu babczynem, Jerynce zrobiło się lepiej. Rumieniec wrócił jéj na twarz, siły się wzmogły, wstała i poszła z matką do mielnika chaty.

Przybycie Jerynki z matką, następnie babki, potém Semena i Jeryńczynego ojca, mnożyła i potęgowała radość, która wciąż jednakże w stanie niemoty się utrzymywała. Mielnik i mielniczka cieszyli się z razu synem, a teraz tém, że inni wszyscy nim się cieszą Uciechę wyrażano krótkiemi, urywanemi i wpół niedopowiedziami wyrazami. W tém tylko zaszła zmiana, że Kuźma, który dotychczas rozstrzeloną miał uwagę, po przyjściu Jerynki, na niéj jąześrodkował i oka z niéj nie spuszczał. Ona w niego także jak w tęczę się patrzyła. On się śmiał do niéj, ona śmiała się do niego, a patrząc się na nich, uśmiechali się i śmieli: mielnik i mielniczka, Semen i Semenycha, ojciec i matka Jerynki.

Nie prędko przyszło do takiego stanu, że można się było rozmówić. Najpiérwszy opamiętał się Semen.

— Zrzuć-że z siebie to żelastwo...— rzekł do Kuźmy, który jak przyjechał w całém uzbrojeniu, tak zdjąwszy tylko hełm, we wszystkiém resztą pozostał.

Na te słowa kobiety poskoczyły do Kuźmy, chcąc mu dopomódz rozbierać się. Semen odepchnął kobiety i sam mu pomógł. W kilka chwil bohater nasz pozostał w lekkim kaftanie.

— A gdzie mój czuhaj?...— zapytał matki.

— Twój czuhaj?... tobie czuhaj? zawołała mielniczka

zdziwionym tonem, i wybiegła do komory, i wróciła bez czuhaja, bo zapomniała po co była wyszła.

Lecz spojrzawszy na syna, wnet sobie przypomniała, wybiegła powtórnie i tym razem z czuhajem powróciła.

Kuźma wdział czuhaj i usiadł na ławie. Natychmiast obok niego przysiadła matka, z drugiéj strony Semenycha, a Jerynka i czarnobrewa Handzia przed nim stanęły.

— Ta czegoż-to zastępujecie!... — zawołał Semen.— Niech i my na niego popatrzymy się...

Handzia i Jerynka rozstąpiły się.

— Ta on z drogi... musi być, jeżeli nie zmęczony, to przynajmniéj głodny...— odezwał się Semen.

— To prawda...— potwierdził mielnik.

— Ach!... prawda...— krzyknęły kobiety i wszystkie, wyjąwszy Jerynki, poczęły się krzątać.

Wówczas Jerynka, która—powiedzmy— zupełnie przyszła do siebie, siadła obok kochanka i co chwila w oczy mu zaglądała.

— Gdzie ty dziś nocował?...— spytał Semen.

Kuźma odpowiedział.

— A jak tam zboża pokazują?...— zapytał mielnik.

Kuźma i na to odpowiedział.

I powoli, powoli zawiązała się rozmowa, o zbożach, drogach, pogodzie, o noclegach i popasach, o cenach owsa i siana i innych tym podobnych przedmiotach, dla rolników ważnych i interesujących.

Porządek wrócił,— radość się uspokoiła,— pomyślano o ugoszczeniu drogiego przybysza.

Mielniczka wyszukiwała i znosiła wszystkie przysmaki, jakie tylko w jéj chacie znaleźć się mogły, a znosząc uśmiechała się do syna i powiadała:

— Bo to ty do pańskich przywykł łakoci... Toż ja dla ciebie umyślnie, od powrotu Jerynki, zbierała...

— Od jakiego powrotu?...— chciał Kuźma spytać, lecz mu przeszkodził Semen, który w téj chwili coś swego wtrącił.

Na goszczeniu zeszedł cały wieczór. Ze wsi zaglądał to ten, to ów, ale na krótko, bo co kto przyszedł, to natychmiast poznał, że jest trzecim zbytecznym świadkiem.

Późnym wieczorem mielnik, mielniczka i Kuźma pozostali sami.

— O! jakiż ja rad, żem się pomiędzy was dostał!..— rzekł ten ostatni.— Jakoś mi aż lżéj na sercu...

— Ale u ojca i matki nie będzie ci tak jak na świecie...— odezwała się mielniczka.

— I!...— odparł Kuźma.— Te światowe wygody, to niby piana; niby to one dobre, ale nie pożywne.

— Ja tobie, moje dziecko, i posłać nie potrafię tak, aby ci było miękko..— podchwyciła mielniczka.— Chyba przyniosę *żytniej* słomy...

I ruszyła po słomę, lecz ją Kuźma wstrzymał:

— Nie trzeba matko.... Niech mnie od razu będzie w domu, tak jak było... Bo ot, gdy wszedłem pod waszą strzechę, to już mi się zdaje, że cały ten rok był snem... Śniło mi się, żem po pałacach chodził, a teraz obudzi-

łem się... Niech-że sen snem sobie pozostanie, a na jawie niech będzie tak, jak przed rokiem było...

Zaniechała więc mielniczka zabiegów mających wygodę na celu i bohater nasz zaległ dębową ławę, na której tak smacznie a może i smaczniej się przespał, jak w puchach pałacowych u logoteta, albo w starościńskim zamku, i obudził się, tak jak się niegdyś budził, o dnia świtaniu.

Obudziwszy się, natychmiast wstał i ubrał się zupełnie po dawnemu. Z sukni jego znikły wszystkie, do najdrobniejszych, ślady pańskości, które jednakże pozostały na ciele. Delikatność rąk świadczyła, że bohater nasz oddawna pługa nie prowadził ani cepem wywijał, ale za to blizny dawały wymowne świadectwo, że innego rodzaju pracy szczerze się oddawał.

— *Dziś zejdzie się starszyzna...— przestrzegł mielnik* żonę, jak tylko oczy otworzył.

Mielniczka natychmiast poczyniła stosowne przygotowania i zaledwo takowe pokończyła, chata napełniła się hryneńskiemi starcami, na czele których przyszedł wójt.

Po krótkich pozdrowieniach i powitaniach, wójt natychmiast przystąpił do rzeczy, tak się z téj skwapliwości tłómacząc:

— Teraz czas gorący, roboczy.... Trzeba spieszyć w pole... Zaszliśmy więc pozdrowić z drogi naszego wojennego przedstawiciela i spytać go, co on nam dobrego przywozi?

Kuźma, nic na to nie odpowiedziawszy, podał wójtowi gromadzki dokument.

Wójt rozłożył papier, przebiegł okiem obojętnie znane sobie pismo od góry do dołu i na dole zatrzymał wzrok, który mu żywiéj zajaśniał.

— A to co?...— sam siebie zapytał.

— Ehe...— sam sobie odpowiedział — to, jak widzę postawił swój podpis pan Jan Potocki, Starosta Kamieniecki i swoją pieczęć przypieczętował... Cóż jego wielmożność pisze?

I począł czytać:

—«Niżéj na podpisie wyrażony, poświadcza niniejszém, że imćpan Kuźma Jeż, wysłany przez gromadę wsi Hrynenek (jak o tém z powyższego dowiaduję się dokumentu), służąc w czasie wołoskiéj potrzeby jako towarzysz w rocie pancernéj, taką odznaczył się walecznością i cnotą, że zasłużył na publiczny dank ze strony Wielkiego Hetmana Koronnego, wszystkich wodzów, przełożonych i towarzyszy. Niżéj podpisany, w imieniu Rzeczypospolitéj, dziękuje gromadzie wsi Hrynenki.— Dan 9-go maja 1601, w Kamieńcu.— Jan Potocki, Starosta Kamieniecki.»

— Aha!... A widzisz!... Sam pan Potocki odpisał naszéj gromadzie...— odezwał się wójt.

Mielnik spojrzał na syna rozrzewnionym wzrokiem, a starcy spojrzeli po sobie. W przygasłych ich wzrokach błysnęło coś nakształt dumy, albo raczéj zadowolnienia godności osobistéj.

— Toś ty, synu, dobrze się sprawił...— rzekł wójt do Kuźmy.— A ponieważ pan Potocki, w imieniu Rzeczypospolitéj, dziękuje nam, to takiémże prawem, w imieniu téj-

że Rzeczypospolitéj, my dziękujemy tobie... Niech ci Bóg wynagrodzi za to, żeś dobrą sławą okrył gromadę...

Kuźma pokłonił się starcom, z których każdy po kilka wyrazów pochwały mu powiedział.

— Zostaniesz teraz z nami?... — zapytał go jeden z nich.

— Zostanę...

— Na długo?...

— Póki znów nie otworzy się potrzeba...— odpowiedział jeden ze starców.

Wszak on ma się żenić...— zauważał inny.

— To jedno drugiemu nie przeszkadza... — odparł wójt i zwracając się do Kuźmy:

— Prawda?...— zapytał.

Bohater nasz potwierdził.

— Kiedyż wesele?...— zagabnął inny starzec.

Semen i mielnik spojrzeli po sobie, a ten ostatni odpowiedział:

— Jeszcze czas nie naznaczony... Ale zdaje się... hm!:..

Widocznie był w kłopocie i spoglądał na Semena, który jakoś nie przychodził mu z pomocą.

— Niech będzie po żniwach... w jesieni... jak da Bóg doczekać...— odezwał się wójt.

— Niech będzie...— odpowiedzieli jednym głosem Semen i mielnik.

— A może tobie to nie w smak...— rzekł wójt do Kuźmy— że tak długo masz czekać...

— Czekałem dłużej, to poczekam króciej...— odrzekł Kuźma z uśmiechem.

Zabierali się już starcy do wyjścia i już czapki powkładali na głowy, gdy jeden z nich, jakby coś sobie raptem przypomniał, na głos się odezwał:

— Hej! panowie gromada!... Jedno słówko!...

Starcy się zatrzymali, a on prawił:

— Tam w piśmie pana Potockiego stoi napisano «Kuźma Jeż»... Zkąd się wziął ten dodatek: «Jeż»?...

Wszystkich pytające wzroki zwróciły się na Kuźmę, a on tak odpowiedział:

— Jeżem przezwał mnie pan Lisowski i dał mi na pamiątkę od siebie ten oto pierścień, na którym jest Jeż wyrznięty...

— Co za Lisowski?...— zapytał wójt.

— A tenże *raby szlachcic*...

— A!...— jednym głosem wszyscy krzyknęli, a wójt za wszystkich się odezwał:

— To niechże zostanie przy tobie to przezwisko, jakie on ci dał...

— Niech zostanie...— powtórzyli inni chórem a wesoło, i oglądając przechodzący z rąk do rąk sygnet, rozpytywali *się o rabego szlachcica.*

— Kazał się wam pokłonić i pozdrowić was, panowie gromada i wszystkich razem i każdego z osobna...— odpowiedział Kuźma kilkakrotnie.

Poczém odezwało się w gronie starców —«nie czas nam tałakać»— i rozeszli się.

I rzeczy w Hrynenkach weszły w taki sam tryb, w jakim widzieliśmy je przed przybyciem Lisowskiego i jakim szły ciągle.

Tylko jedna niespodzianka spotkała jeszcze naszego bohatera.

W wolnych od pracy chwilach rozpowiadał on o tém co widział na świecie, a przytém i o tém co się jemu samemu przytrafiło. Jakże się zdziwił, gdy się dowiedział, *że większa połowa tyczących się jego osoby wypadków znaną* była w Hrynenkach.

— Kto wam to rozpowiedział?...— zapytał.

— To któż miałby rozpowiedzieć, jeżeli nie Jerynka...

— A zkądże ona o tém się dowiedziała?...

— Alboż ona tam nie była!...

— Gdzie?!... kiedy?!...— z najżywszém zdziwieniem pytał Kuźma.

— To ty chyba o niczém nie wiesz....

— A o niczém... O czém-że miałbym wiedzieć!... Zostawiłem Jerynkę w Hrynenkach, i zawsze myślałem, że ona na mnie czeka...

Tu opowiedziano mu niektóre znajomsze szczegóły Jerynczynéj ucieczki i wycieczki, podczas któréj złączyła się była z *kochankiem na dni kilka, na telezyńskiém pobojowisku.*

— To to ona najpiérwsza mnie opatrzyła!...— zawołał Kuźma i łzy mu nabiegły w oczach, i nie myśląc bynajmniéj otém, że to wstyd płakać, zapłakał.

— Prawdę mówił Lisowski: «że i Pani Wolska Jerynki nie warta»...

Co po tém odkryciu nastąpiło— jak się pokochali narzeczeni— tego się domyślny czytelnik z łatwością domyśli.

A jakie było wesele!... Szkoda, że tak się dawno odbyło— od dzisiejszéj licząc daty, równo *dwieście sześćdziesiąt lat temu.* Nie pozostał więc żaden naoczny świadek, a co najgorzéj, ani nawet powieściarz powiedzieć może:

—«I ja tam byłem,
Miód, wino piłem,
I po wąsach mi ciekło»...

Ale za to śmiało mógł- to powiedzieć każdy ze spółczesnych onemu weselu mieszkaniec Hrynenek, z tém jednakże, że zamiast «wino» należy podstawić «piwo», którego było podostatkiem. Wino zaś «świeciło— jak się dziś wyrażają— zupełną nieobecnością.» Nie zdobyli się na nie mielnikowstwo, ale i nie potrzeba było, bo je doskonale zastąpiły: beczka gorzałki, beczka miodu, i dwie beczki piwa, które co do kropli wysuszone zostały.

Hryneńczanie długo o tém weselu wspominali, zwłaszcza parobcy i dziewczęta, dla których stało się ono pewnym rodzajem wzoru, około którego ich nadzieje, życzenia i rojenia krążyły. Jeżeli np. mówiono o tém, jakąby to wypadało mieć muzykę, to powiadano:

— E, gdybyż to taką, jak na Kuźmy Jeża weselu!...

— Jeżeli mówiono o kołaczach i korowaju, albo o czém bądź wesela się dotyczącém, to zawsze i zawsze zsyłano się na wesele u mielnika.

EPILOG.

Kuźma ożenił się z Jerynką.

— Na tém koniec!...— powiecie.

Nie, nie na tém. Bo Kuźma, jeżeli sobie łaskawi czytelnicy z piérwszéj części przypominacie, jest pra-pra-pra... dziadkiem w prostéj po mieczu linii bohatera piérwszéj części, Jana Jeża. Kuźma Jeż spłodził niewiem kogo, ten— także nie wiem kogo i t. d., aż do Ksawerego Jeża, który był Jana ojcem. Więc na Janie byłby koniec; lecz i ten jeszcze nieskończony.

Ksawery Jeż był dziedzicem i właścicielem Hrynenek, a przytém szlachcicem. Jakim to stało się sposobem, kiedy Kuźma, który piérwszy w tym rodzie nazwisko Jeż przyjął i nosił, *nie przyjął nobilitacyi*.

Tego z zapisków Jana dojść nie mogłem. Znalazłem w nich wprawdzie dużo jeszcze o Kuźmie, a mianowicie: że należał do rokoszu Zebrzydowskiego i tułał się za granicą banicyą dotknięty, że był w Lisowczykach, że nawet na sejmikach występował i głos zabierał, że w Hrynenkach

rej wodził i stał się wyrocznią gromady; ale tego, żeby się kiedy nobilitował, nie znalazłem. Musiało to nastąpić później, na osobie jednego z jego potomków.

Również później nastąpić musiało i objęcie przez Jeżów Hrynenek w dziedziczne posiadanie. Tyle wstrząśnień w owych stronach miało miejce w ciągu XVII wieku... To może dobrowolnie gromada, przechowując tradycyjnie w poszanowaniu pamięć Kuźmy, oddała się jednemu z jego potomków w poddaństwo, a może też jeden z jego potomków zagarnął władzę przez nadużycie, prawem mocniejszego, jak to nieraz dawniej czyniono.

O tem coś jakby przeczuwał Jegomość pan Ksawery (patrz 1-szą część niniejszej powieści). To pokazywało się w całem jego postępowaniu, które dążyło nieustannie do wymiaru jak najsprawiedliwszej sprawiedliwości w urządzaniu stosunków dziedzica do włości. Zdawało się, jakby chciał wynagrodzić nadużycie przez przodków popełnione i powrócić do tego stosunku, w jakim do gromady stał przodek Jeżów, Kuźma. Zdawało się, jakby się czuł odpowiedzialnym za przodków i nie podzielał tego wygodnego ale nie chrześcijańskiego zdania, że «przedawnienie krzywdy jest uprawnieniem krzywdy,» a przeciwnie myślał, że pokrzywdzenie słabszych przez mocniejszych jest grzechem o pomstę do Boga w najpóźniejszych pokoleniach wołającym.

Postępowanie więc pana Ksawerego i Jana związanem jest nitką tradycyjną ze stanowiskiem Kuźmy, jak skutek z przyczyną, jak czyn z pobudką czynu.

Tyle o związku pomiędzy dwiema powieściami, dwiema historyami — o pra-pra-pra...wnuku i pra-pra-pra... dziadku.

Pozostaje mi rzec słówko o zarekomendowanych czytelnikowi dwóch wyrazach: «do widzenia» i «kluczka.»

Pierwszy ściąga się do tego, że Kuźma spotkał się z Lisowskim w rokoszu Zebrzydowskiego, na banicyi i w Lisowczykach.

Drugi ściąga się wyłącznie do Lisowczyków.

Przypomina sobie czytelnik ową scenę fantastyczną, widzianą jakoby przez Jana w podziemiu, której aktorami były kościotrupy. Przetłómaczyłem ją żywcem z Janowych zapisek. Głównemi w niej postaciami są: jakiś starzec hetmański i jakiś rycerz szlachecki. Ten ostatni, to Lisowski. Pierwszego, ktoby on był?— dojść dokładnie nie mogłem. *Domyślałem się w nim, nie Jana Potockiego, który* Hetmanem nie był, ale to Zamojskiego, to Żółkiewskiego, to Chodkiewicza i ostatecznie zatrzymałem się na Chodkiewiczu. Ten bowiem był z Lisowskim w bardzo bliskich stosunkach i wpłynął na to, że Lisowski zorganizował Lisowczyków, którzy ani szlachtą, ani chłopami, albo raczéj i szlachtą i chłopami byli i mogli być uorganizowanymi *w takim celu, aby stanąć jako podstawa równowagi* pomiędzy dwóma rycerstwami — herbownem i nieherbownem. Ten cel nie został osiągniętym, a nawet w następstwie skrzywionym i zhydzonym— to może winą środków, nie chęci, brakiem umiejętności w wykonaniu, nie zaś doniosłości w zamiarach.

Jest to przypuszczenie, uczynione przezemnie dla tego tak śmiało, że osnułem na niém powieść, nie zaś wywód historyczny. Gdybym pisał historyę owéj epoki, to rozpatrzyłbym je pilniéj, alebym go nie pominął, a to z téj przyczyny, że Lisowski posiadał dwie niepospolite zalety: światło i żelazną wolę — które czynią go niepospolitą w dziejach naszych postacią.

Światłem więc mógł z góry przedsiębrać zamiary, w duchu poprawiania polityczno-społecznego porządku, który go interesował, jak o tém świadczy uczestniczenie jego w rokoszu Zebrzydowskiego.

Wolą mógł uporczywie dążyć do urzeczywistnienia tych zamiarów. Świadectwo woli tego męża dają Lisowczyki, z któremi on cudów dokazywał, uzbroiwszy ich jedynie w gołe męztwo.

Mógł zatém (zawsze to przypuszczenie), przy pożegnaniu z Kuźmą, zamówić go sobie na przyszłość— wspomnieć mu o «kluczce», powiedzieć «do widzenia» i rozwijać daléj rozpoczęte dzieło—dzieło, które przez rozmaite przeszedłszy przemiany i przekształcenia, dziś jeszcze nie jest zakończoném.

KONIEC.

SPIS ROZDZIAŁOW

Tomu 2-go.